

40. ROCZNICA ATAKU NA SOLIDARNOŚĆ

Alfabet stanu wojennego
pióra Piotra Semki



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 50/455 13-19 GRUDNIA 2021



Sojusz przeciwko szaleństwu
- Ziemkiewicz o kulisach
szczytu prawicy w Warszawie

**JAK PUTIN
ROZGRYWA
ROSJAN
I UMACNIA SWĄ
WŁADZĘ**



Kto sieje głupotę?
- Warzecha kontra „Newsweek”

Marek Jurek polemizuje z Tomaszem Terlikowskim

MANIFEST PRZECIW IMIGRACJONIZMOWI



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 55 600 egzemplarzy

eprasa.pl 7918b13667

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**TAJEMNICA WYROKU
NA DOWÓDCĘ
MUSZKIETERÓW**

Jacek Bartosiak – Trzecia wojna światowa

Jan Sadkiewicz – Koniec Pax Americana?

Mikołaj Iwanow – Mord w rodzinie Stalina

Jakub Polít – Chiny: z dna na szczyt

Piotr Zychowicz – Esesmani w niewoli

Jakub Ostromięcki – Prawda o czterech pancernych

Iain Ballantyne – Sekrety wojny podwodnej

Krzysztof Masłoń – Sylwetka Jana Himilsbacha

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Tresura

Stało się to, co stać się musiało i co było oczywiste dla każdego, kto ma oczy i chce widzieć. Unia Europejska skutecznie posłużyła się szantażem wobec pięciu polskich samorządów i – dokładnie jak to bywa w filmach opowiadających o porywaczach – w zamian za posłuszeństwo i zapłatę okupu oddała zakładników. Tymi ostatnimi były należne Polsce fundusze, które trafią do samorządów. Żeby je dostać, musiały one wcześniej zapłacić, to jest publicznie ogłosić kapitulację i wycofanie się z uchwał chroniących, deklaratywnie przynajmniej, przed ideologią LGBT. Szantaż polegał na wstrzymaniu środków. Ofiarami napaści ze strony Komisji Europejskiej było pięć polskich samorządów: małopolski, świętokrzyski, podkarpacki, lubelski i łódzki. To, że Unia da im pieniądze w zamian za rezygnację z uchwał, wielokrotnie od miesięcy powtarzali unijni urzędnicy – nigdy nie spotykając się z publicznym potępieniem ze strony polskiego rządu.

Teraz nadszedł moment zapłaty: 125 mln euro z funduszu REACT-UE, stworzonego do walki ze skutkami lockdownów, powołuje do władz samorządowych. Inaczej jednak niż na filmach tutaj wszystko odbywa się w biały dzień. Szantażyści nie ukrywają swoich intencji i nie boją się chełpić z odniesionego zwycięstwa. Rzecznik KE w rozmowie z dziennikarką RMF FM w Brukseli nie ukrywał satysfakcji. Środki dla polskich samorządów zostały odblokowane, bo „wszystkie te pięć regionów zobowiązało się do niedyskryminacji ze względu na płeć, pochodzenie rasowe lub

etniczne, religię lub światopogląd, niepełnosprawność, wiek lub orientację seksualną. Na tej podstawie służby Komisji wznowiły negocjacje poprawek do programu REACT-UE dla tych pięciu regionów” – stwierdził. Są grzeczni, dostaną papu. Tylnymi drzwiami zatem wprowadza się do Polski prawo zakazujące dyskryminacji ze względu na orientację seksualną – pojęcie do tej pory w przepisach nieobecne. Chociaż „zakaz dyskryminacji ze względu na orientację seksualną” nie występuje w żadnym polskim kodeksie, to faktycznie został w stosunku do samorządów wprowadzony.

To zresztą otwiera drogę do dalszych działań: jeśli samorzady zadeklarowały stosowanie się do tej zasady, to musi pojawić się instytucja, która będzie sprawdzała, czy z tej obietnicy się wywiązują. Można się zatem spodziewać, że właśnie na terenie tych samorządów grupy homoseksualnych działaczy będą szczególnie aktywne. To na pewno nie koniec zabawy.

Bo – jak znowu uczą filmy – kto raz ulegnie szantażowi, ten wpada w wir. Staje się ofiarą nieustannych nacisków i mnożących się żądań. Szantażyści, widząc słabość ofiar, zawsze chcą więcej. Nic dziwnego, że Unia uznała, jak wynika z doniesień medialnych, że ma „bardzo skuteczne środki perswazji”. Należy oczekiwać, że metoda tresury, tak skutecznie zastosowana wobec regionów i samorządów, zostanie teraz wykorzystana w relacji z Polską. Celem będzie wprowadzenie do polskiego prawa przepisu o „zakazie dyskryminacji ze względu na orientację seksualną” i ściśle z nim związanych innych pomysłów: tzw. małżeństw jednopłciowych i następnie prawa do adopcji dzieci przez te

pary. Formą nacisku będą znowu fundusze unijne i ciągła groźba, że nie trafią one do Polski.

Z całej historii można wyciągnąć kilka nauk. Pierwsza: Komisja Europejska, jeśli chodzi o wprowadzanie ideologii, działa bezwzględnie i bez skrupułów. Dla realizacji celu – wprowadzenia reguł wspierających genderyzm – gotowa jest poświęcić zarówno zasadę pomocniczości, jak i demokrację. Uchwały samorządowe zostały podjęte przez legalnie wybrane władze i były zgodne z polskim prawem!

Druga: odpowiednia presja przynosi efekt. Polscy samorządowcy może i prężą mięśnie, ale w obliczu szantażu finansowego można im złamać kark. Czy tylko samorządowcy?

Trzecia: w zderzeniu z gigantyczną machiną unijną samorządowcy zostali pozostawieni przez rząd sami sobie. Nie tylko, że nie mogli liczyć na wsparcie, lecz także w kluczowym momencie negocjacji rząd ich opuścił. Tym, co przechyliło szalę, był przecież list wiceministra finansów pana Waldemara Budy, który zasugerował poddanie się presji unijnych urzędników.

Czwarta: takie zachowanie rządu nie tylko stanowi zachętę dla Unii do wywierania dalszej presji, lecz także podcina wolę oporu u tych Polaków, którzy na poważnie chcieli przeciwstawić się ideologicznemu walcowi z Brukseli. Jaki sens ma opór, jeśli w najważniejszym momencie zostawia się nas samych na placu boju?

Nie da się ukryć, że są to wnioski mało optymistyczne. Szlak został przetarty, metoda sprawdzona. 125 mln euro wystarczyło, by złamać samorządy. Ciekawe, jaka jest cena za uległość Warszawy? ©



TEMAT TYGODNIA

22 MAREK JUREK

PUŁAPKA IMIGRACJONIZMU

Dlaczego Polacy bronią granicy

KRAJ

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

SOJUSZ PRZECIWKO SZALEŃSTWU

Spotkanie dające nadzieję?

28 ROZMOWA Z KOSMĄ ŻŁOTOWSKIM

MIESZKAŃCY EUROPY NIE CHCĄ JEDNEGO FEDERALNEGO PAŃSTWA

30 MACIEJ PIECZYŃSKI

NA GRANICY ROZUMU

32 KAMILA BARANOWSKA

KOBIETA KOBIETOM

34 TOMASZ ROWIŃSKI

CZEKAJĄC NA OPAMIĘTANIE

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

DLACZEGO NIE CHCĄ ŻYĆ?

KULTURA

38 WIESŁAW CHEŁMINIAK

POLSKIE STYLE

Polskie widzenie nowoczesności

40 PIOTR GOCIEK

O POŻYTKACH Z KICZU

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

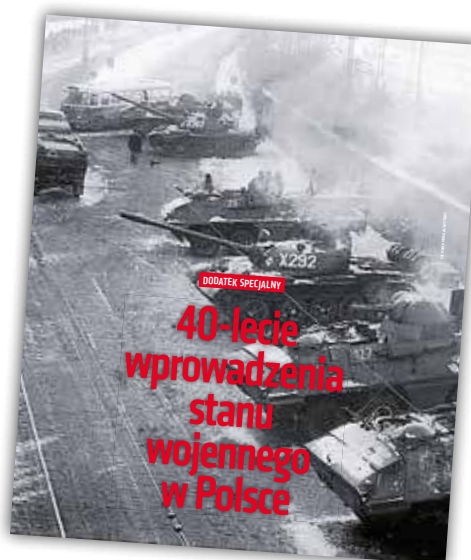
50 ŁUKASZ WARZECHA

DEMAGOGIA „NEWSWEEKA”

Kim są prawdziwi siewcy głupoty

52 ROZMOWA Z RAFAŁEM PIECHEM

ZATRZYMAĆ DIABELSKI PLAN



DODATEK SPECJALNY

55

40-LECIE WPROWADZENIA STANU WOJENNEGO W POLSCE

ŚWIAT

78 ROZMOWA Z MATHIEU BOCK-CÔTÉ

TO NOWY TOTALITARYZM

Imperium amerykańskie może pociągnąć nas w przepaść

82 FRAGMENT KSIĄŻKI „NAWALNY.

NEMEZIS PUTINA? PRZYSZŁOŚĆ ROSJI?”

SERCA I UMYSŁY

Jak Putin rozgrywa Rosjan i umacnia swą władzę

EKONOMIA

84 ROZMOWA Z ADWOKATEM JANEM STYLIŃSKIM

POLITYKA KLIMATYCZNA WINDUJE CENY MIESZKAŃ

„Fit for 55” kontra budownictwo

87 JACEK PRZYBYLSKI

NADCHODZĄ WOLNE PIĄTKI?

90 ŁUKASZ ZBORALSKI

PRAWDZIWE BIAŁE SZALEŃSTWO

O ZDROWIU

96 ROZMOWA Z PROF. MARKIEM RĘKASEM

PROGRAM, KTÓRY RATUJE WZROK

Cukrzycowy obrzęk płamki

98 KATARZYNA PINKOSZ

DLACZEGO NIE ODCZULAMY W PRZYZIODNIACH?

FELIETONY: SEMKA (10), ZIEMKIEWICZ, JUREK (12), KOWALCZUK (14), GMYZ, GOCIEK (20), ZYCHOWICZ, KOPER (54), PRZYBYLSKI (76), GABRYEL, WARZECHA (92), KOMUDA (102), KARWELIS, POSPIESZALSKI (103), JĄSTRĘBOWSKI, WOŁCZYK (104), NOWAK (105), CEJROWSKI (106)



Z Facebookiem Europejczycy budują społeczności.

Ponad 200 mln Europejczyków należy do aktywnych grup na Facebooku. W Hiszpanii kolarka ręczna Mila zauważyła, że brakuje jej wsparcia przeznaczonego dla parasportowców. Dlatego prowadzi teraz na Facebooku grupę Locos x el Deporte Adaptado, dzięki której może nawiązywać kontakty z innymi członkami społeczności sportowców uprawiających sporty adaptacyjne.

Grupa liczy już ponad 2000 osób i jest to przyjazne forum, które udostępnia informacje o różnych dyscyplinach parasportowych – od kolarstwa ręcznego po koszykówkę na wózkach. Członkowie grupy mogą organizować spotkania i dowiadywać się o imprezach.

Mila mówi: „Cieszę się, że mogę pomóc ludziom znajdować informacje o imprezach sportowych i programach szkoleniowych dotyczących sportów adaptacyjnych i dzielić się innymi przydatnymi informacjami”.

Z Facebookiem Europejczycy budują społeczności.

Dowiedz się więcej na stronie about.fb.com/pl/europe

FACEBOOK



**TYGODNIK LISICKIEGO
DO
RZECZY**
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

 Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Czejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz
Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Toraniński, Szezech Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca,
 także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja),
Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Siernikowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło

 Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (kierownik),

Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

 Fotoedytacja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

 Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczak-Stefaniak**

 Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**

 Okładka: **Viktor Tolochko/SPUTNIK Russia/East News**
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: Piotr Pech tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 55 600 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynnie
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Przestrzeń do debaty

Szanowna Redakcjo!

Jestem czytelnikiem tygodnika „Do Rzeczy” od jego powstania. Przygotowując studentów do pisania prac magisterskich, wskazuję ten periodyk jako przykład obiektywizmu i zdolności prowadzenia polemiki. Podkreślam również rolę przysięgi doktorskiej, w której określono nadrzędny cel prowadzenia badań naukowych, którym jest dążenie do prawdy. Stąd

proszę przekazać gorące podziękowania Redaktorowi Łukaszowi

Warzeście za tekst „Dokopać »foliarzom«” w numerze 48/2021.

Prowadzenie niezależnych badań naukowych musi być otwarte na

zaskakujące wyniki. Niezależny naukowiec musi posiadać pewien rodzaj pokory, dopuszczający ewentualność popełnienia błędu w rozumowaniu. W innym przypadku nauka służy demagogii i musi stosować protezy w postaci konsensusu. Rolą rzetelnych mediów jest popularyzacja zawłości nauki i docieranie do szerokiego grona odbiorców z przekazem, który może się nie spodobać zarówno władzy, jak i części społeczeństwa. Państwa Redakcja jest tego przykładem. Jednak doniesienia Piotra Kowalczyka z tego samego numeru piętnują w sposób wysoce brutalny postępowanie młodzieży, pomijając bez krytyki nierozsądne (to eufemizm) rozporządzenia sanitarne. No, ale właśnie to jest zaleta „Do Rzeczy” – różnorodność poglądów.

Dziękuję i życzę wytrwałości w dążeniu do prawdy.
dr hab. inż. Krzysztof Kud

Polemika z listem

Droga Redakcjo,
 w liście Pani prof. Zofii Adamowicz opublikowanym w „Do Rzeczy” nr 48/2021 zna-

lazłem passus dotyczący praworządności w RP z absurdalną tezą o obronie polskiej konstytucji przez UE. Początek tej konieczności według Profesora to brak publikacji orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego „pod kierunkiem Andrzeja Rzeplińskiego” z 2015 r., stanowiący jakoby złamanie Konstytucji RP. Orzeczenie to zostało jednak opublikowane z adnotacją, że „zostało wydane z naruszeniem prawa”. Naruszenie to polegało na podjęciu orzeczenia przez TK w niepełnym składzie wobec wymaganego 15-osobowego (prezes Rzepliński nie dopuszczając do orzekania trzech sędziów, złamał tym samym prawo, co sam przyznał dwukrotnie w wywiadach telewizyjnych). Sytuacja ta stanowiła o nieważności tego postępowania na podstawie art. 379 pkt 4 kpc, do którego odsyła ustawa

o postępowaniu przed TK w razie braku – tak jak w tym przypadku – unormowania nieważności w jej przepisach. Powołanie trzech sędziów przez tandem PO/PSL przed upływem kadencji dotychczasowych („swój” skład sędziowski umożliwił blokowanie ustaw uchwalonych przez zwycięską Zjednoczoną Prawicę) było złamaniem prawa, co przyznał ostatnio sędzia Tuleja (celowo powołuję się tu na niego).

Publikacja orzeczenia z cytowaną adnotacją nie była kontestowana przez środowisko sędziowskie. Pani Profesor przeoczyła tę publikację (w Parlamencie Europejskim słyszałem ostatnio p. Sikorskiego kierującego ten sam zarzut do p. Szydło), a z domniemanego jej braku wyciągnęła kuriozalne tezy, z którymi polemizował Pan marszałek Marek Jurek – na tych samych łamach. Do jego odpowiedzi dodam tylko, że trójpodział władzy obejmuje również wzajemną kontrolę. W przypadku władzy sądowniczej kontrola ta polega na jej organizacji przez władzę ustawodawczą i wykonawczą. Naukowo rzecz ujmując: błędne założenie prowadzi do kiepskiej syntezy, a nienaukowo: trzeba dawać odpór intelektualny kłamliwej propagandzie. Dla oszczędności łamów w telegraficznym skrócie.

Z poważaniem, Andrzej Łuszczynski





Polski Ład zapewnia nowy instrument wsparcia dla rodzin z małymi dziećmi

1 stycznia 2022 r. wchodzi w życie Rodzinny Kapitał Opiekuńczy – kolejny element polityki prorodzinnej prowadzonej przez Rząd Premiera Mateusza Morawieckiego. To 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w rodzinie, w wieku od ukończonego 12. do 36. miesiąca życia. Świadczenie będzie wypłacane bez względu na wysokość dochodów rodziny.

Rząd Zjednoczonej Prawicy poświęcił rodzinie wiele uwagi przygotowując w okresie sześciu lat rządów szereg nowatorskich rozwiązań prorodzinnych – w tym m.in. programy Rodzina 500+, Dobry Start, Mama 4+ – co po raz pierwszy w historii w sposób tak spektakularny odmieniło życie wielu polskich rodzin. Tylko w ramach Programu Rodzina 500+ do rodzin trafiło już blisko 170 mld zł. Warto też wspomnieć o ponad dwukrotnym zwiększeniu dostępności miejsc w instytucjach opieki nad dziećmi do lat 3 dzięki rozwojowi Programu Maluch+. Dzisiaj dla najmłodszych dzieci zabezpieczonych jest blisko 211 tys. miejsc „opieki łobkowej”.

Inwestycja w rodzinę

Inwestowanie w rodzinę, a co za tym idzie w kapitał ludzki jest sukcesywnie i stale zwiększane. Planujemy, że budżet Programu Maluch+ wzrośnie 3-krotnie do 1,5 mld zł rocznie. W ramach programu Dobry Start w latach 2018–2021 do rodzin trafiło ponad 5,2 mld zł, w tegorocznej edycji objętych nim było prawie 4,5 mln dzieci. Z Karty Dużej Rodziny korzysta już 1,1 mln rodzin wielodzietnych.

Z jednej strony programy skierowane do rodzin z dziećmi, to odpowiedź na oczekiwania Polaków, dla których rodzina jest najważniejszą wartością; z drugiej – odpowiedź na negatywne trendy demograficzne. Niska dzietność, starzejące się społeczeństwo w konsekwencji może być bowiem przyczyną wielu problemów, w tym nawet zahamowania rozwoju gospodarczego.

– 98% Polaków deklaruje, że chce mieć dzieci. Naszą rolę jest likwidowanie barier, które sprawiają, że te marzenia nie urzeczywistniają się – tworzenie takich warunków, żeby rodzice mieli komfort podejmowania decyzji prokreacyjnych i wychowywania dzieci. Rodzinny Kapitał Opiekuńczy jest właśnie takim instrumentem. Ma zapewnić rodzicom małych dzieci wsparcie w wychowaniu i opiece nad nimi, dać poczucie bezpieczeństwa – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Rodzinny Kapitał Opiekuńczy – dla kogo?

Rodzinny Kapitał Opiekuńczy, to 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w rodzinie w wieku od ukończenia 12. do 36. miesiąca życia. Rodzice sami wybiorą sposób wypłacania świadczenia oraz zdecydować, na co przeznaczyć pieniądze. Świadczenie może być wypłacane po 1000 zł miesięcznie przez rok lub po 500 zł przez dwa lata.

– Po ukończeniu przez dziecko pierwszego roku życia, kiedy kończy się urlop rodzicielski, a przed możliwością posłania dziecka do przedszkola jest to z punktu widzenia opieki nad dzieckiem najbardziej wymagający dla rodziców czas. Wtedy też często zapadają decyzje o kolejnych dzieciach. Chcemy, żeby rodzice mieli wybór i komfort po-



dejmowania decyzji czy to o powrocie do pracy, czy pozostania w domu na czas opieki nad dzieckiem, a może o kolejnych dzieciach. Mamy pełne zaufanie do polskich rodziców i wiemy, że tak jak w przypadku środków pochodzących z Programu Rodzina 500+, tak i Rodzinny Kapitał Opiekuńczy zostanie wykorzystany w sposób, który rodziny uznają za najbardziej dla nich odpowiedni. My pozostawiamy rodzinom wybór – tłumaczy minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Co ważne, w procesie przyznawania tego świadczenia nie będzie brane pod uwagę kryterium dochodowe. Oznacza to, że rodzice otrzymają je na wszystkie uprawnione dzieci, niezależnie od wysokości dochodu rodziny. Ponadto środki te nie będą opodatkowane.

– Rodzinny Kapitał Opiekuńczy, to nie tylko kolejna inwestycja w rodzinę, w kapitał ludzki, to również wyraz solidarności społecznej. Bowiemy to ile będzie się rodziło Polaków, jest sprawą nas wszystkich, całej naszej wspólnoty – dotyczy przyszłości

Polski. Bez odwrócenia negatywnych trendów demograficznych, bez wzrostu dzietności, bez inwestowania w rodziny zrównoważony rozwój Polski będzie zagrożony. Przy czym inwestowanie w rodziny zawsze wymaga poszanowania jej autonomii i podmiotowości – podkreśla minister Marlena Maląg.

W 2022 r. Rodzinny Kapitał Opiekuńczy obejmie ca. 615 tys. dzieci. To ok. 3 mld zł dodatkowego wsparcia dla polskich rodzin.

Jak złożyć wniosek?

Tak jak w przypadku świadczeń z programów Rodzina 500+ czy Dobry Start, aby uzyskać prawo do Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego, konieczne będzie złożenie wniosku. Można to zrobić za pośrednictwem portalu Empatia, PUE ZUS lub poprzez bankowość elektroniczną. Środki będą przekazywane na wskazane przez rodziców konto bankowe, w wybranej wysokości i okresie wypłacania.

Dofinansowanie do pobytu dziecka w żłobku

Rodzice dzieci, które nie zostaną objęte Rodzinnym Kapitałem Opiekuńczym, będą mogli skorzystać z dofinansowania do pobytu dziecka w żłobku, klubie dziecięcym lub w dziennym opiekuna w maksymalnej wysokości 400 zł miesięcznie. Środki te będą przekazywane bezpośrednio instytucji opieki, do której uczęszcza dziecko (nie więcej niż wysokość opłaty ponoszonej przez rodziców). Według szacunków tym świadczeniem zostanie objętych ok. 110 tys. dzieci.

Inwestycja w przyszłość Polski

Rodzinny Kapitał Opiekuńczy to kolejna ważna inwestycja w rodzinę. To także dowód zaufania polskim rodzinom, docenienie ich znaczenia i niezmiennie ważnej roli w społeczeństwie – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Rodzinny Kapitał Opiekuńczy

od  1 stycznia 2022 r.

+ 12 000 zł

na 2. i każde kolejne dziecko
od 13. do 36. miesiąca życia

gov.pl/rodzina



WIDEOKONFERENCJA PUTINA Z BIDENEM: UKRAINA ZA NORD STREAM 2?

Ponad dwie godziny trwała wideokonferencja prezydenta USA Joe Bidena i prezydenta Rosji Władimira Putina. Amerykański przywódca miał w jej trakcie powiedzieć Putinowi, że jeśli chce, aby rosyjski gaz mógł płynąć przez rurociąg, to nie powinien atakować Ukrainy. Biden wyraził też nadzieję na ponowne spotkanie z Putinem w cztery oczy. Po zakończeniu wideokonferencji amerykański Kongres wycofał się z planów zaostrzenia sankcji wobec Rosji, m.in. przywrócenia blokady Nord Stream 2, odłączenia Rosji od międzynarodowego systemu bankowego SWIFT, a także objęcia sankcjami ludzi z otoczenia gospodarza Kremla.

Jednocześnie władze w Kijowie oraz służby wywiadowcze państw NATO ostrzegają, że Putin zgromadził na granicy z Ukrainą – w okolicach Doniecka i Ługańska – już 120 tys. żołnierzy. Według zachodnich służb wywiadowczych pod koniec obecnego roku lub na początku roku 2022 Ukrainę może zaatakować nawet 175 tys. rosyjskich żołnierzy.

Po szczycie USA-Rosja premier Mateusz Morawiecki udzielił wywiadu dla włoskiego dziennika „La Repubblica”, w którym skrytykował prezydenta Władimira Putina za próbę budowania podziałów w Europie. – Jego podstawowy cel to odbudowa imperialnej potęgi Rosji kosztem sąsiadów. Na pierwszej linii ognia staje dziś Ukraina – zauważył Mateusz Morawiecki, podkreślając, że Władimir Putin sięga po metody siłowe na każdej płaszczyźnie, w tym również w gospodarce.

Premier Polski zauważył także, że doświadczenie uczy, że polityka ustępstw wobec Władimira Putina się nie sprawdza. – Muszę powiedzieć, że wnioski po rozmowie prezydenta Bidena i prezydenta Putina są niepokojące. Warunkowa zgoda na Nord Stream 2 i brak sankcji wobec Rosji oznaczałyby politykę ustępstw wobec imperialnej polityki Kremla – oznajmił szef rządu w Warszawie.

Spotkanie przywódców Rosji i Stanów Zjednoczonych pokazało jasno, że za rządów Joe Bidena Ameryka w obronie Ukrainy nie tylko nie pójdzie na wojnę z Rosją, lecz także będzie kontynuować politykę ustępstw, która pozwoli Putinowi wyjść z twarzą, nawet jeśli znów nakaże dziesiątkom tysięcy żołnierzy powrót do baz nad ukraińską granicą. Władzom w Moskwie pozwolono więc świetnie rozegrać wideokonferencję Putina z Bidenem na użytek propagandowy, zarówno wewnętrzny, jak i na arenie międzynarodowej. Podczas trwania szczytu jej fragmenty można było zobaczyć jedynie w rosyjskiej telewizji, a na rozpowszechnianych nagraniach – jak łatwo się domyślić – władca Rosji wyglądał nieporównywalnie lepiej niż prezydent USA. Dopiero po zakończeniu szczytu Białe Dom zamieścił własne zdjęcie. (jap) © ©

CZYTAJ TAKŻE KOMENTARZ „POWIAŁO DUCHEM JAŁTY” NA STRONIE 10





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Powiało duchem Jałty

Jedyny konkret, który już można wiązać z teleshczytem Joe Bidena z Władimirem Putinem, to decyzja demokratów o usunięciu z projektu budżetu pozycji umożliwiających dodatkowe sankcje przeciwko Nord Stream 2. Republikanie chcieli nowych sankcji, ale demokraci ulegli dyskretnym sugestiom Białego Domu. Rosjanie mogą spać spokojnie. A oprócz Rosjan Niemcy, przynajmniej ci z SPD i FDP, którzy z niezwykle zapalem bronią bałtyckiej rury. Krótko mówiąc – Putin, grożąc hipotetyczną inwazją na Ukrainę, odsunął od Nord Stream 2 groźbę sankcji. A Ameryka za polityczny fantom sprzedała plan zatrzymania rurociągu, który znacznie mocniej przykuje Niemcy do Rosji, niż to się doradcom Bidena wydaje.

Rozmowa Bidena z Putinem zawierała jednak jeszcze jedną dodatkową groźną zapowiedź. Oto obaj przywódcy uzgodnili, że kilka najważniejszych państw NATO, jak można się domyślać, Ameryka, Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Włochy, rozpocznie rozmowy z Rosjanami na temat wyjaśnienia

ich obaw w stosunku do polityki sojuszu. Jest to sytuacja, w której jedno państwo NATO negocjuje z przeciwnikiem paktu, którym jest Rosja, sytuacja, która nie miała precedensu w ponad 70-letniej historii sojuszu.

Cała ta dziwaczna i nieszcześna polityka Bidena zdumiewa swoją nieporadnością i naiwnością. Rosja nauczyła się, że wystarczy odpowiednio podkreślić spiralę zagrożenia wojennego, aby otrzymać jakieś nagrody pocieszenia. Sukces „operacji Ukraina” skłoni jednak Kreml do pisania kolejnych scenariuszy, podkręcania napięcia i łaskawego wycofywania się za cenę korzystnych koncesji. Skojarzenie ze zniedołężniałym prezydentem Franklinem Delano Rooseveltem, który zgadzał się w Jałcie na wszystko, czego chciał Stalin, jest dojmujące. Po ucieczce z podkulonym ogonem z Afganistanu administracja Bidena pokazuje, że absolutnie nie jest w stanie zrozumieć polityki siły Sowietów. Jak w koszmarnym śnie przypominają się ustępstwa Ameryki z końca drugiej wojny światowej, słabość z czasów rzą-

dów prezydentów Geralda Forda i Jimmy'ego Cartera czy wreszcie niezdecydowanie Billa Clintona.

I pomyśleć, że jeszcze parę lat temu wszystkie liberalne media powtarzały jako dogmat tezę o prorosyjskości Donalda Trumpa. A jednak Putin w ciągu czterech lat rządów republikańskiego prezydenta nigdy nie zdobył się na taką próbę presji na USA i – szerzej – na Zachód, jaką widzieliśmy ostatnio w wypadku markowania inwazji na Ukrainę. To pokazuje, ile są warte analizy pseudomędrców z profesorskimi tytułami, którzy czerpią wiedzę o świecie ze stacji CNN i „New York Timesa”. A jeśli Joe Biden jest przekonany, że ustępowanie Putinowi wzmocni go w jego rozgrywkę przeciw Chinom, to mamy się złudzeniami. Chiny obserwując, jak sprawnie Putin poradził sobie z Bidenem, być może same już niedługo przygotowują jakiś kryzysik w Azji, aby skłonić amerykańskiego prezydenta śpiocha do kolejnych ustępstw. A Polska powinna z tego wyciągnąć gorzki wniosek – opieranie się na przekonaniu o amerykańskiej pomocy może być bardzo zawodne. ©©



NIEZNANE NAGRANIA

„Magazyn śledczy Anity Gargas” w TVP ujawnił w ubiegłym tygodniu niepublikowane nagrania z domu gen. Jaruzelskiego. Zarejestrowane zostały w grudniu 2001 r. i wskazywały na dużą zażyłość Adama Michnika z byłym komunistycznym dyktatorem. Zapisy te były w archiwum Teresy Torańskiej, które jej spadkobierca chciał w 2020 r. wywieźć do USA. Zostały jednak wówczas zatrzymane na Okęciu i przejęte przez ekipę Instytutu Pamięci Narodowej na mocy ustawy o IPN. (luz) ©©

**NASZĄ ROLĄ
SILNA POLSKA**



POLSKI ŁAD

dla polskiej wsi

Rolniczko, Rolniku!

- Polski Ład dla Polskiej Wsi to **dla Ciebie realne korzyści**
- Dbamy o Twoją przyszłość i **wspieramy Twoje inwestycje**
- Troszcząc się o **rozwój i innowacje** na wsi – ułatwiamy Ci pracę
- Wspólnie **pielęgnujemy tradycje**



MINISTERSTWO
ROLNICTWA
I ROZWOJU WSI

SOLIDARNI  ROLNIKAMI

Zawsze aktualnych informacji o programie szukaj na
www.gov.pl/polski-lad



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Z życia demokratów

Kiedyś nazywało się to meliną, dziś – politpoprawnie – squatem. Teoretycznie squat to pustostan, porzucona ruina, w której osiedlają się bezdomni. W praktyce natomiast squaty, mnożące się w polskich miastach, tych rządzonych przez PO i lewicę, to objęte patronatem samorządów partyjne biura radykalnej lewicy, łączące funkcje noclegowni i ośrodka działalności polityczno-propagandowej. Mieszczą się w budynkach należących do miasta, fakt, że niekoniecznie tych w najlepszym stanie, ale za zgodą właścicieli. Nierzadko nawet ich mieszkańcy płacą za prawo zasiedlania symboliczną złotówkę, by uniknąć kłopotów z policją państwową. Regularnie odwiedzane są przez

dziennikarzy i innych lewicowo-liberalnych gości, dla których organizują konferencje prasowe i szkolenia.

W Warszawie prezydent Rafał Trzaskowski przyznał zasiedlającym squaty lewakom co najmniej ponad 3 mln zł na organizowane tam „szkolenia” z „grupowej aktywności miejskiej” – czyli walk ulicznych i innych form działalności bojówkarskiej – oraz pogłębiania „kryzysu kapitalizmu”. W zamian bojówkarze ze squatów są na każde zawołanie PO i Lewicy, gdy trzeba robić manifestację albo wiec prawicy czy przeciwników aborcji. Niestety, w minionym tygodniu to jakże wygodne i pożyteczne dla Trzaskowskiego stadko znarowiło się i pobiło między sobą – jeden squat

z drugim. Ponieważ, trochę jak w wypadku kiboli, poszczególne centra lewackiej bandyterki są ze sobą powiązane, bijatyka w Warszawie została nagłośniona przez kibicujące jednej bądź drugiej stronie „kolektywy”, nieprzebiegająca w słowach.

Z tych interwencyjnych wpisów w social mediach mogła się normalna Polska dowiedzieć o latających mołotowach, cegłówkach i użyciu maczet oraz o rannych. Niestety, z jakiegoś powodu tzw. wiodących mediów sprawa zupełnie nie zainteresowała. A szkoda, bo przy okazji wyszło, że „kolektywy”, na przykład, zupełnie świadomie ukrywają przestępców.

Po konflikcie w Agorze to kolejna „inba” wewnątrz „oboazu demokratycznego”. Z nadzieją czekam na kolejne. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Bolszewizm bez granic

Éric Zemmour – jako pierwszy kandydat w historii Francji – w Internecie ogłosił swój start w wyborach prezydenckich. Zanim jednak zdążył wypowiedzieć pierwsze zdanie na otwartym spotkaniu, w jego kampanię „włączyła się” Antifa, próbując rozbić wiec w podparyskiej Villepinte. Kandydatowi to nie zaszkodziło (na wiec przyszło ponad 13 tys. zwolenników), wywołało natomiast wzrost zainteresowania działalnością ultralewicowych bojówek.

Tygodnik „Valeurs actuelles” zamieścił ciekawy wywiad z Andy Ngo, jednym z najlepszych znawców amerykańskiego „antyfaszizmu”. Jego działalność Ngo poznał najdosłowniej na własnej skórze,

wielokrotnie fizycznie atakowany z powodu swoich reportaży. Spokojnie opowiada o rzeczach przerażających. Na przykład o tym, jak po trzech miesiącach awantur skrajna lewica wymusiła rozbrojenie policji w Portland, czego następstwem był rekordowy (w historii miasta) wzrost liczby morderstw.

Opisuje prosty mechanizm: „Im bardziej diabolizowano Donalda Trumpa”, przedstawiając go w mediach i przemówieniach lewicowo-liberalnych polityków jako „faszystę, który chce doprowadzić do zniesienia demokracji i eksterminacji części ludności”, tym bardziej Antifa „czuła się upoważniona do gwałtów”. To zaś stworzyło realne zagrożenie dla demokracji amerykańskiej, Antifa stała się bowiem

zbrojnym ramieniem radykalnego skrzydła Partii Demokratycznej.

Andy Ngo dzieli się też swymi obserwacjami na temat Francji. Wyraźnie bowiem widać, że w planach skrajnej lewicy Éric Zemmour ma odegrać rolę francuskiego Trumpa. Wszędzie bowiem antyfaszyści jako desygnat „faszizmu” wybierają jednego przywódcę lub sprawę i wokół niej organizują kampanie nienawiści i przemocy. Liderzy umiarkowanej opinii wyciągają stąd oczywiste wnioski: nie trzeba prowokować, nie trzeba wybierać Trumpa, nie trzeba popierać Zemmoura, nie trzeba bronić nienarodzonych. I tak bolszewizm, krok po kroku, maszeruje naprzód. ©©



NARODOWY BANK POLSKI

Departament Edukacji i Wydawnictw NBP edukuje:

INFLACJA to wzrost ogólnego poziomu cen w gospodarce. Umiarkowany wzrost cen jest normalnym zjawiskiem w rozwijającej się gospodarce. Za optymalny poziom inflacji w Polsce przyjmuje się roczne tempo wzrostu cen między 1,5 – 3,5 proc. (2,5 proc. plus/minus 1 punkt procentowy).

Wzrost cen w gospodarce może mieć przyczyny:

- popytowe,
- podażowe (kosztowe).

Z punktu widzenia banku centralnego kluczowe jest rozróżnienie pomiędzy krajowymi i zewnętrznymi (potencjalnie globalnymi) źródłami zmian cen.

W październiku 2021 r. inflacja w Polsce wyniosła 6,8 proc. w ujęciu rocznym, zatem kształtowała się na podwyższonym poziomie. Oznacza to, że przeciętnie koszt koszyka towarów i usług konsumpcyjnych dla gospodarstw domowych wzrósł właśnie o 6,8 proc. w porównaniu do analogicznego okresu 2020 r.

Analizy dotyczące cen poszczególnych towarów i usług kupowanych przez polskich konsumentów wskazują, że w październiku 2021 r. zmiany cen towarów i usług administrowanych oraz paliw (obejmujących około 21 proc. całego koszyka towarów i usług konsumenta) odpowiadały za około 46 proc. rocznego wzrostu cen konsumpcyjnych. Zatem wzrost inflacji w ostatnim czasie wynikał z czynników podażowych (kosztowych) i zewnętrznych, na które polityka pieniężna prowadzona przez Narodowy Bank Polski nie ma żadnego wpływu.

Podwyższona inflacja jest obecnie zjawiskiem globalnym, występuje nie tylko w Polsce, ale we wszystkich krajach i jest to związane ze skutkami kryzysu pandemicznego. Zjawisko to ma charakter przejściowy. Inflacja będzie się obniżać wraz z wygasaniem czynników kosztowych, a Narodowy Bank Polski nie dopuści do utrwalenia się w Polsce inflacji na podwyższonym poziomie.



RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Współczując stresu, jaki wywołuje w KE

Boże Narodzenie, życzę
całej Komisji Błogosławionych
Świąt Narodzenia Pańskiego!

cezary krysztopa

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Akceptować, **wykluczając**

Czy to możliwe? W Komisji Europejskiej jak najbardziej. Jak donosiłem w zeszłym tygodniu, komisarz ds. równości Helena Dalli popęłiła „Wytyczne do inkluzywnej komunikacji”. Wyjaśniła, że Unia powinna komunikować się ze wszystkimi, bez względu na płeć, rasę czy religię. Jak to osiągnąć? Między innymi unikając słów „Boże Narodzenie”, które należy zastąpić „czasem świątecznym”. Słowem: „inkluzywność wykluczająca”.

Do sprawy odniósł się papież: „To anachronizm. W historii wiele dyktatur usiłowało zrobić to samo. Pomyślmy o Napoleonie, dyktaturze nazistowskiej, komunistycznej. Ale to się nie sprawdziło w historii”. Potem postawił diagnozę: „Unia odeszła

od ideałów ojców założycieli. Musi uważać, by nie otwierać się na kolonizację ideologiczną”. Kilka lat temu wyjaśnił, że „wyznacznikiem kulturowej i ideologicznej kolonizacji naszych czasów są: pozbawianie wolności, wymazywanie pamięci i indoktrynacja”, czyli zamordyzm i pranie mózgu. Franciszek oddał w kierunku Brukseli potężną salwę burtową, porównując to, co tam wyprawiają, z praktykami koszmarnych totalitaryzmów. A pani Dalli kilka dni wcześniej dokument wycofała i pracuje nad ulepszoną wersją.

Cóż więc się stało? W Internecie znalazłem tekst eksperta Fundacji im. Bronisława Geremka, pana Piotra Macieja Kaczyńskiego, w którym mowa jest o wielkiej gafie, ale zaraz

potem czytamy: „Według progresywnych posłów PE Komisarz dała się wmanewrować, a jej tekst jest klasyczną wpadką, służącą wyłącznie skrajnej prawicy do ataków na Komisję Europejską”. Ekspert cytuje Karen Melchior, liberalną duńską europosłankę: „Dalli nie powinna była dać się nabrać na ten trik”.

Czyli z jednej strony chodzić może o chwilową dysfunkcję organu intelektualnego pani komisarz, ale z drugiej niewiasta musiała paść ofiarą podłych machinacji, knowań i brudnych trików. Zapewne ze strony zakonspirowanych w KE podstępnych sił najczarniejszej reakcji, jeśli nie Belzebuba. Is fecit, cui prodest – ten uczynił, czyja korzyść. Delirium. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Jak motyl Odczarować mity

Rak jajnika jest jednym z najczęściej występujących nowotworów złośliwych u kobiet.¹

Owiany mitami, które trzeba odczarować.

Nikt nie zrobi tego lepiej niż one – „Niebieskie Motyle”.

Poznaj historię siedmiu delikatnych, ale zarazem silnych i walecznych kobiet, które w książce „Jak motyl. Odczarować mity” dzielą się swoimi historiami o życiu z rakiem jajnika i nadziei. Towarzyszą im opowieści lekarzy, którzy wspierają je w walce z chorobą.

Wydawca:



Patronat:



1. Didkowska J., Nowotwory złośliwe w Polsce w 2017 roku.

WERSAL

Na Edzię Górniak posypały się gromy za to, że wystąpiła na koncercie TVP „Murem za polskim mundurem”. Nie tylko zresztą na nią – każdy jest rozliczany, że jakim prawem i dlaczego śmiał wziąć udział w koncercie wspierającym polskich żołnierzy! Przecież wszyscy powinni dziś stać murem za Basią Kurdej-Szatan! No dobrze, ale do rzeczy. Edzię przy tej okazji przeczłogać postanowił pisarz Jakub Żulczyk, któremu nie spodobało się to, że Górniak zaśpiewała Niemena. Nazwał ją „wokalistką skompromitowaną artystycznie i wizerunkowo”. – Śpiewa dla Kurskiego, Morawieckiego i Dudy, gdy ci prawdziwi ludzie dobrej woli zmieniają skarpety i noszą termosy umierającym z zimna Kurdom i Syryjczykom – zagrmiał Żulczyk. Edzia oczywiście odpowiedziała. – Wybaczam Panu szczere intencje obrażenia mnie i z przykrością, lecz także szczerze, muszę Panu tej przyjemności odmówić – zaczęła. Dalej pisze Żulczykowi, że „pomylił rolę muzyki z polityką, chcąc muzykę postawić do odpowiedzialności za politykę i cierpienie ludzi”, i zarzuca mu „przeciętny stopień kultury słowa i umiejętności posługiwania się językiem polskim, co pisarzowi nieco jednak nie przystaje”. – Pan nawołuje do podziałów i agresji, ja do łagodności i pojednania. Wychodzę na scenę w obronie normalności, której ludzie ogromnie potrzebują, i z misją pokojową. Nawet jeśli czyjaś percepcja tego nie pojmuje – stwierdziła, przesyłając Żulczykowi na koniec „światłość i modlitwę”. Ten grzecznie podziękował i pożyczył Edzi „szeroko pojętego zdrowia”. Tak, my też jesteśmy rozczarowani. I to jak! Zapowiadało się na celebryckie Fame MMA, a skończyło prawie, że Wersalem! Żenada.



FOT. PAVEL GROMADA

MILCZENIE JEST ZŁOTEM

Prowadząca „Dzień Dobry TVN” Dorota Wellman udzieliła wywiadu Magdzie Mołek, która zapytała ją między innymi o to, jakie pytanie zadałaby pierwszej damie Agacie Dudzie, gdyby miała taką możliwość. Wellman odpowiedziała, że nie byłaby zainteresowana takim wywiadem. – Nie chcę rozmawiać z Agatą Dudą. Nie interesuje mnie, co ma do powiedzenia – dodała. Dziennikarka opowiadała też, jak postrzega polskie kobiety. – Kobiety są same sobie winne, bo dają sobie te usta zamknięć, czego zupełnie nie rozumiem. Boją się własnego cienia, wygłaszać własne poglądy. Uważają, że zostaną za to ukarane [...]. Mają w sobie wielką odpowiedzialność za rodzinę, za to, że może się

zdarzyć coś, co zaszkodzi nie tylko mnie, lecz także moim bliskim. I to może hamować kobiety przed otwartością i wygłaszaniem swojego zdania głośno i wyraźnie – oceniła dziennikarka. Pani Wellman jest inna niż polskie kobiety, bo jej przed otwartością i wygłaszaniem swojego zdania nic nie hamuje. Niestety.

TO JA POWIEDZIAŁEM?

Oberwało się aktorowi i muzykowi Pawłowi Domagale za to, że w tym roku zagra podczas

sylwestra z Polsatem. Dlaczego? Bo jeszcze dwa lata temu ten sam Domagała twierdził, że nigdy, przenigdy tego nie robi, bo ten wieczór zawsze spędza z rodziną, „z dala od tłumów i hałasów”.

„Kochani, bo dochodzą mnie różne głosy. Chciałem tylko powiedzieć, że nie planuję i nigdy nie planowałem występować na imprezach sylwestrowych – ani zamkniętych, ani otwartych, ani telewizyjnych, ani darmowych, ani płatnych... Nowy Rok od zawsze witam z Rodziną, z dala od tłumów i hałasów. I bardzo sobie to cenię” – pisał w grudniu 2019 r. Zapomniał dodać, że najbardziej ceni sobie to wtedy, gdy nie ma żadnych innych propozycji. Bo gdy się pojawiają, to nagle tłumy i hałasy nie takie straszne.

BUJNY WŁOS

Aktor Misiek Koterski wraz z matką swojego dziecka Marcelą Leszczak (też celebrytką, znaną z „Top Model”), z którą dopiero co się rozstał i dopiero co się zszedł z powrotem, udał się do Turcji. Wszyscy byli przekonani, że na wakacje, by uczcić fakt, że znów są razem, ale okazało



FOT. WPHOTO/FAST NEWS

się, że nie, cel podróży jest całkiem inny! Otóż Misiek Koterski wyjechał, aby przeszczepić sobie włosy. Serio. I uznał, że warto pochwalić się tym na Instagramie. Serio, serio. I żeby tylko na chwaleniu się skończyło. Nic z tego. Na zamieszczonym filmiku Koterski zaprezentował dokładnie światu swoje obszerne zakola, które zamierza zlikwidować, i wyznał, że się stresuje. – Jak widzicie, z moimi włosami wyglądam jak Baba-Jaga. Trafiłem tutaj do jednej z najlepszych klinik w Europie. Boję się bardzo, jestem zestresowany, no, ale do odważnych świat należy – wyznał. – Może będzie bujny włos. Zobaczmy, jak to będzie. Będę wam relacjonował – zapowiedział. No raczej! Najlepiej na żywo i z komentarzem Marceli. Nie wyszło Fame MMA z Edzię i Żulczykiem, to może chociaż Misiek z relacją z przeszczepu włosów uratuje honor polskiego show-biznesu! ☺



Pokonać zaćmę

Dorota Katarzyna Świrydowicz

Pandemia spowodowała wielki spadek liczby przeprowadzanych operacji zaćmy. Tymczasem nie warto zwlekać z tym zabiegiem. Nieleczona zaćma prowadzi do pogorszenia wzroku i staje się trudniejsza do zoperowania

Zaćma to zmętnienie przejrzystej soczewki oka. Jej przyczyną najczęściej jest starzenie się narządu wzroku. Nie ma sposobów na to, by zapobiec zaćmie, ani też terapii, które powstrzymałyby jej rozwój. Okuliści przestrzegają: zaćma sama się nie cofnie, a jeśli ktoś już ją ma, to będzie ona postępować.

Pierwsze objawy zaćmy związane są z pogorszeniem wzroku: widzi się jak przez zabrudzoną szybę, kształty stają się nieostre, kolory blakną lub ciemnieją i pojawiają się problemy z widzeniem po zmroku.

Jedynym sposobem leczenia zaćmy jest operacja. Dziś to bezpieczne, szybkie zabiegi ambulatoryjne, dające minimalny odsetek powikłań.

PANDEMIA POGARZA WZROK

W wyniku pandemii COVID-19 liczba przeprowadzonych w Polsce zabiegów usunięcia zaćmy spadła w 2020 r. o ponad 40 proc. w porównaniu z rokiem 2019 (odpowiednio: 166,9 tys. i 291,4 tys.), a dane za obecny rok pokazują, że ta tendencja się nie odwróciła.

Przyczyny? Nie tylko wstrzymanie przeprowadzania zabiegów w pierw-

szych tygodniach pandemii. Również to, że znaczny odsetek pacjentów ze skierowaniem na operację nie zgłosił się na zabieg ani nie ustalił nowego terminu i przez to wypadł z kolejki. Wiele osób w obawie przed COVID-19 po prostu zrezygnowało z operacji.

Dużą rolę odegrało ograniczenie dostępności podstawowej opieki zdrowotnej. Diagnostyka zaćmy i wystawia skierowanie na zabieg okulista, ale żeby dostać się do niego, potrzebne jest skierowanie od lekarza POZ. Tak więc wielu chorych na zaćmę w ogóle nie zdiagnozowano z powodu problemów z dostępem do POZ i do okulistów.

NIE MA NA CO CZEKAĆ

– Apelujemy do pacjentów, aby nie odkładali operacji usunięcia zaćmy na później. Czas w przypadku tej choroby działa na naszą niekorzyść – zachęca Andrzej Brzeziński, prezes Zarządu Głównego Polskiego Związku Niewidomych.

Odraczanie wykonania zabiegu prowadzi do rozwoju choroby i pogorszenia się wzroku, a nawet jego całkowitej utraty.

– Im później wykonuje się zabieg, tym zaćma jest twardsza i trudniejsza do zoperowania – tłumaczy prof. dr hab. n. med. Robert Rejdak, kierownik Katedry i Kliniki Okulistyki Ogólnej i Dziecięcej UM w Lublinie – Przy zwłoce

Pod hasłem „Mamy zaćmę na oku” trwa kampania edukacyjna, której celem jest zachęcenie pacjentów do pojęcia działań w kierunku leczenia zaćmy. Informacje o zaćmie i jej leczeniu na stronie: www.zacmanaoku.pl oraz na profilu „Mamy zaćmę na oku” na FB.

równocześnie zwiększa się ryzyko, że przez to, że pacjent gorzej widzi, może się potknąć, złamać nogę czy biodro. Zachęcam pacjentów, żeby nie zwlekali z operacją zaćmy – dodaje prof. Rejdak.

Warto wiedzieć, że w ośrodkach okulistycznych wprowadzono pandemiczne reżimy sanitarne.

– W Klinice Okulistyki w Lublinie przy ul. Chmielnej zagrożenie infekcją podczas zabiegu jest znikome. Od początku pandemii nie odnotowałem u nas żadnego przypadku koronawirusa – podkreśla prof. Rejdak.

Po to, by zminimalizować ryzyko zakażenia, została zmieniona organizacja pracy. Jak tłumaczy prof. Rejdak, przyjęcia zostały rozpisane na godziny. – Jedni pacjenci wychodzą, przychodzą następni. Operujemy na dwie zmiany, po to by nie dopuścić do zagęszczenia pacjentów – dodaje prof. Rejdak.

Operacje są przeprowadzane w trybie jednodniowym, są wykonywane jednoczesne zabiegi obuocznego. To również zmniejsza narażenie na zakażenie.

DOGODNY CZAS NA ZABIEG

Kolejki do zabiegu usunięcia zaćmy w większości ośrodków są teraz krótkie. Terminy i placówki, które oferują leczenie zaćmy „na NFZ”, można sprawdzić na stronie terminyleczenia.nfz.gov.pl. W polu „świadczenie” w wyszukiwarce należy wybrać „Zabiegi w zakresie soczewki (zaćma)”, a następnie – województwo i miasto. Z kolei wybierając świadczenie „poradnia okulistyczna”, można sprawdzić listę poradni z kontraktem z NFZ.

Zabieg likwidacji zaćmy pozwala zobaczyć świat na nowo. Podwyższyć jakość życia, poprawić własne bezpieczeństwo. Nie warto czekać!



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż rząd planuje jakieś dalek idące zmiany i obostrzenia dla niezaszczepionych. Ponieważ jest to ten rząd, to zabierze się za to od doopy strony i nic sensownego z tego nie wyjdzie.

Dlatego też przygotowaliśmy własny pakiet propozycji, tzw. pakiet wstydu dla niezaszczepionych:

- 1) W tym roku nie przyjdzie do nich Mikołaj. Ani w następnym.
- 2) W autobusie zawsze będą siedzieć na przednich miejscach.
- 3) Nikt nie będzie chciał być w ich bandzie.
- 4) Zawsze będą stawać w najwolniejszej kolejce do kasy.
- 5) Będą mieli wyświetlanych więcej reklam na jutubie.
- 6) W knajpach będą mogli zamówić tylko jedno piwo.
- 7) Na autostradach będą mogli jeździć tylko prawym pasem, dostaną też zakaz wyprzedzania tirów.
- 8) Odbierze się im zwierzęta domowe.
- 9) Dostawcy będą im przywozić zawsze zimne jedzenie.
- 10) Na stadiony będą mogli wchodzić tylko w sytuacji, kiedy ich drużyna przegrywa.

Mamy nadzieję, iż jest to zawsze jakaś inspiracja do podjęcia kolejnych, dalek idących kroków.

Wogóle to z tymi kolejnymi dawkami szczepień jest taki zapierdziel, że niedługo będą podawali piątą dawkę jeszcze przed czwartą, a szóstą

i siódmą jednym zastrzykiem, żeby dwa razy nie chodzić.

Po raz kolejny odbyło się to smutne głosowanie nad zjawiskiem, jakim jest „młodzieżowe słowo roku”.

Wygrał „śpiulkołot”, a więc słowo,

*Pięta kolumna Putina w Polsce
tępi Pięta kolumny Putina w Polsce*



którego chyba nikt nigdy i w żadnych okolicznościach nie wypowiedział, a które po prostu pochodzi z mema.

Co natomiast nas zaskoczyło znacznie bardziej, to obecność na trzecim miejscu słowa (?) „twoja stara”. I teraz uważajcie, kapituła opisała je tak: „Dezaprobująca odpowiedź na pytanie: »Kto?« lub na dowolną inną wypowiedź”. Zabrakło jak dla nas informacji, że za czasów, kiedy pierwsze gimbusy miały wobec siebie „twoją starą”, to inne rzucały kamieniami w dinozaury. Mamy propozycję, aby w następnej edycji nominowane stały się

takie krejzolskie słowa jak „cool”, „spoko”, „siema” albo – uwaga! jedziemy po bandzie – „czadowy” albo nawet „czaderski”, albo i – kto wie? – „twój stary”. Ależ to będzie rywalizacja!

Może i Komisja Europejska się wstępnie wycofała z projektu uniwersalizacji humanistycznej okresu Winter Holidays i zaleceń, aby nie posługiwać się imionami typu „Maria” czy też pojęciami „Boże Narodzenie”. My jednak jesteśmy kolektywem postępowym i w związku z tym postanowiliśmy, iż będziemy się komunikować wokół tego tematu, jak na nowoczesnych Europejczyków przystało.

Przed wszystkim rezygnujemy w tym roku z tej otoczki, która sprawiała, iż traktowaliśmy okres Winter Holiday inaczej niż inne okresy w roku. A zatem: likwidujemy choinkę, nie wręczamy sobie prezentów, nie dzielimy się humanistycznie opłatkiem, nie zakładamy do korpo swetrów w renifery i śmiesznych mikołajowych czapek.

Na razie trochę nam z tym dziwnie, ale wiadomo, iż postęp nie realizuje się od razu. Ciekawe tylko, czy jak pojedziemy do małych ośrodków na W....ę, to czy od barszczu, pierogów i – no cóż – choinki cały wcześniej włożony wysiłek nie pójdzie na zmarnowanie. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Wyjątek dla SOP-u

Adam, będziemy mieli problem z tymi służbami mundurowymi. A co, Jacek, nie chcą się szczepić?

A nie, to inna sprawa. Ale to nie mój problem, niech się Mariusz martwi. Problem mamy z SOP-em.

Ale że co?

Tam jest tyle samo niezaszczepionych, co gdzie indziej. Ze 40 proc.

No i co? To się na nich wymusi.

No właśnie nie za bardzo. Bo niby jak wymusisz?

Jak to jak? Wyśle się ich na zwolnienie albo wywali.

Tak? A ty wiesz, ilu mamy kierowców z jakimiś kwalifika-

cjami? Nawet ze zwykłą ochroną jest problem. Sam chodzę tylko z jednym, bo nie ma ludzi. To jest, rozumiesz, także nasz problem. No tak... No to się zrobi wyjątek dla SOP-u.

Jak się zrobi jeden wyjątek, to każdy będzie chciał.

Jacek, ja ci powiem szczerze: ty wiesz, co będzie w marcu? No właśnie. Ja też nie. Więc na razie lepiej nie robić nic. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To jest zdrada narodowa”.

DONALD TUSK, przewodniczący Platformy Obywatelskiej, o zjeździe prawicowych partii z Europy zorganizowanym przez PiS w Warszawie

40. LECIE

STANU WOJENNEGO
W POLSCE OPISANE
TWÓRCZOŚCIĄ
PRZEMYSŁAWA
GINTROWSKIEGO

„BURZA PRZED CISZĄ”

13.XII.21

ZOBACZ NA
WWW.GINTROWSKI.PL

MECENASI:



PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNERZY:



Jak grom z jasnego nieba gruchnęła wieść, że prokurator krajowy odchodzi ze stanowiska. Powiedzmy szczerze – czytelników naszej rubryki to nie zaskoczy. Od pewnego czasu informowaliśmy, że Bogdan (zwany Bogusiem) Świączkowski odgraża się, że odejdzie. Ciekawsze jest to, dokąd odejdzie.

Tak się bowiem składa, że jest wolne miejsce w Trybunale Konstytucyjnym. Sędziemu Leonowi Kieresowi kończy się kadencja. Krzyczącym o łamaniu apolityczności Trybunału przypominamy, że Kieres to były senator PeŁo i były szef IPN. Mniejsza o to. Znacznie ciekawsze jest to, co się kryje za przeprowadzką Bogusia na al. Szucha.

Już tłumaczmy. Tak naprawdę nikt nie wie, ile powinna trwać kadencja obecnej prezes Trybunału Julii Przyłębskiej. Poprzedni prezesi TK urzędowali do końca kadencji na stanowisku sędziego. Ta zaś trwa dziewięć lat. Czyli teoretycznie Przyłębska byłaby prezesem do roku 2024. Ale zmieniona ustawa mówi, że kadencja prezesa to sześć lat. Czyli mogłaby wygasnąć już w roku 2022. Ale przepis ten wszedł w życie, kiedy Julia Przyłębska już była prezesem. No i co z tym zrobić?

No więc posłuchajcie uważnie, bo nie będziemy dwa razy powtarzać – gdyby uznać, że kadencja wygasa w przyszłym roku, to zaistnieje konieczność wyboru nowego prezesa Trybunału. Na kolejne sześć lat. Innymi słowy: rządziłby on aż do roku 2028. Czyli całą kolejną kadencję parlamentu i jeszcze rok następnej. Jesteśmy w domu? Bogusiowi życzymy zaś długich lat. Jednocześnie czekamy na wysyp tekstów autorytetów, które twierdziły dotąd, że kadencja obecnej prezes wygaśnie za rok. Teraz będą przekonywać, że jednak w 2024 r.

Kto obejmie Prokuraturę Krajową po Bogusiu? Pisaliśmy, że na giełdzie mocno stoi nazwisko Dariusza Barskiego. Ale sam Boguś widziałby na tym stanowisku kogoś innego. Wiemy kogo, ale to zachowamy do swojej wiadomości. Tak długo, aż otrzymamy potwierdzenie tej informacji z drugiego źródła.

Będzie wesele. Wiceminister finansów Piotr Patkowski się oświadczył. Wybranką serca jest wiceminister od rozwoju Olga Semeniuk. Oświadczyły zostały przyjęte. Popieramy. Czas najwyższy, by rząd bardziej angażował się w politykę demograficzną. Wiceminister Patkowski nazywany jest powszechnie „Harrym Potterem” ze względu na uderzające podobieństwo i chłopięcy urok. Co oczywiście skłania do pytania, czy wiceminister Semeniuk otrzyma teraz ksywę Ginny Weasley.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W związku z kontrowersjami objaśniamy symbolikę plakatu na Boże Narodzenie... Wróć... na winter season, przygotowanego przez miasto Warszawę. Zwróćmy uwagę na łyżwiarzy. Bardzo się śpieszą, żeby ich nie wywalono z korpo. Jadą po lodzie. Tak, praca w stolicy to kruchy lód. Myny mają smutne. Gdyż martwią się PiS. Jadą w prawą stronę??? Otóż nie! Z punktu widzenia plakatu jadą w lewą stronę, więc wszystko jest OK! Uff...

W związku z kontrowersjami objaśniamy symbolikę pożegnania kanclerz Angeli Merkel. Otóż, owszem, był marsz z pochodniami, ale zauważamy, że po ciemku. Ciemności symbolizują Europę w szponach prawi-

cowych partii z Warsaw Summit. Płonące pochodnie symbolizują Niemcy, jedyne źródło światła na dzikim kontynencie. Skojarzenia z nazizmem mogły zrodzić się jedynie w umyśle posłanki Żukowskiej.

Ąpropos Warsaw Summit. Szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński jest mało zadowolony ze szczytu prawicy w naszej stolicy. Zabrakło kluczowych graczy: Włocha Salviniego oraz nowego premiera Czech Petra Fiali. No i zabrakło też konkretów, bo deklaracja, że wszyscy sobie osobno będą walczyć o to samo, to żadna deklaracja.

Uwaga! Ważna wiadomość dla polskich polityków! Wedle podręcznika pani Heleny Dalli (taka europejka z Malty) o „komunikacji inkluzywnej” na usunięciu z języka słów „chrzest” i „Boże Narodzenie” się nie kończy. Imiona Jan i Maria mają zostać zastąpione imionami Juliusz i Malika. Zatem mówimy odtąd Juliusz Malika Rokita. Oraz Juliusz Malika Jackowski. Ten pierwszy ma łatwiej, bo oprócz „Jan Maria” ma też w zanadrzu „Piotr Władysław”. Proponujemy zamienić je na Ahmed i Wunderbar. To ostatnie ku czci Niemców, którzy biją.

Czy wiecie, że „przez ostatnie dni mamy do czynienia z największym atakiem politycznym po 1989 r.”? To znaczy atakiem na Meję Łukasza. Tak przynajmniej utrzymuje Mejza. Nie zgadzamy się z nim. Uważamy, że jest to największy atak polityczny XX i XXI stulecia, przy którym atak Niemiec na Polskę błędnie. My się z Mejzą nie zgadzamy, ale on pewnie by się z nami zgodził.

Uwaga, cytata: „Żeby województwo lubuskie się rozwijało, trzeba postawić na ludzi młodych. Trzeba stworzyć warunki do godnego życia i pracy dla ludzi takich jak pan Łukasz Mejza. Młody człowiek, który będzie walczył w sejmiku województwa lubuskiego o stworzenie warunków życia i pracy dla ludzi młodych”. Tak Mejzę rekomendował w roku 2014 sam Władimir Wyszczewski, legenda PeŁo i bezpartyjnych samorządowców, miłośnik Petru i Hołowni. Ponieważ PiS stworzył Mejzie warunki godnego życia i pracy, mamy pytanie: Odkąd to opozycja krytykuje rząd za spełnianie własnych postulatów? ©©

#włączprawdę



MÓWI SIĘ...

poniedziałek-czwartek
20:25

zaprasza **Jacek Sobala**

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, oraz droga naziemną w systemie DVB-T w Katowicach i okolicy oraz w systemie DVB-T2 w Warszawie na kanale 23, Wrocławiu i okolicach tych miast na kanale 41. Transmisja na żywo dostępna jest również na stronie www.tvrepublika.pl



Pułapka imigracjonizmu



Marek Jurek

Dlaczego masowa imigracja muzułmańska nie kieruje się na rynki wschodzące, do muzułmańskich krajów Azji Południowo-Wschodniej, do bogatych islamskich państw Zatoki Perskiej? Dlaczego imigranci nie chcą pozostać w Turcji, ale chcą się dostać do Europy?

Bob Woodward, znana postać (we „Wszystkich ludziach prezydenta” grał go sam Robert Redford), w swej książce „Strach. Trump w Białym Domu” opowiada interesującą historię: „Jared Kushner zaprosił prezesa Goldman Sachs Gary’ego Cohna na 30 listopada [2016 r. – przyp. aut.] na rozmowę ze swoim teściem o gospodarce. Spotkanie zorganizowano w Trump Tower [trwał bowiem jeszcze okres przejścia władzy przed styczniowym zaprzysiężeniem nowego prezydenta – przyp. aut.]. [...] Cohn powiedział Trumpowi, że gospodarka amerykańska jest zasadniczo w dobrej kondycji, ale jeśli podejmie się odpowiednie działania, to może dojść do skokowego

wzrostu”. Po czym przypomniał, że „USA są imigracyjnym centrum świata” i „imigracja musi trwać dalej”.

Woodward napisał swą książkę przeciw Trumpowi, bez intencji atakowania korporacji, banków czy w ogóle krytyków byłego prezydenta. Dlatego to świadectwo jest tak interesujące.

IDEOLOGIA IMIGRACJONIZMU

Wiele razy sam byłem świadkiem wypowiedzi Dimitrisa Awramopulos, który w poprzedniej Komisji Europejskiej odpowiadał za kwestie imigracyjne, w których pojęć „uchodźstwo” i „imigracja” używał zamiennie, by w końcu otwarcie stwierdzić, że akceptację pozaeuropejskiej

imigracji dyktują zarówno racje humanitarne, jak i ekonomiczne.

12 kwietnia 2016 r., w szczycie fali imigracyjnej przez Morze Śródziemne, Awramopulos ogłosił, że „nadszedł czas, by zastąpić chaotyczną imigrację otwarciem legalnych dróg”. Dla Komisji Europejskiej pod przewodnictwem Jeana-Claude’a Junckera owo „otwarcie legalnych dróg” stało się wręcz oficjalną doktryną. Juncker mówił wtedy jasno: „Legalna imigracja to konieczność”. Te deklaracje wprost zachęcały do kontynuacji imigracji nielegalnej. Dlatego właśnie Marine Le Pen złożyła wniosek o wotum nieufności dla przewodniczącego Komisji, który podpisałem wówczas jako jedyny, niestety, poseł naszego klubu.

Gdy w 2018 r. Donald Tusk sprzeciwił się wznawianiu polityki dyslokacji imigrantów po krajach UE, Awramopulos (przy wtórze jeszcze bardziej agresywnych wypowiedzi lidera liberałów w Parlamencie Europejskim, Verhofstadta) zarzucił przewodniczącemu Rady Europejskiej prezentowanie „anty europejskiego” stanowiska. W ich polityce Europa i imigracja stanowią iunctim.



Migranci szturmujący polską granicę z Białorusią, 16 listopada 2021 r.

FOT. VIKTOR TOLOCHKO/SPUTNIK/EAST NEWS

W Komisji Swobód Obywatelskich wielokrotnie słyszałem wypowiedzi streszczające się w zgrabnej formule jednego z „ekspertów”: „Jeśli imigracja jest prawem człowieka, to pojęcie nielegalnej imigracji nie ma żadnego sensu”. Ta mieszanka wyrachowanej chciwości i piękno duchowskiej ojkofobii może dziwić i zdziwiła nawet tak wnikliwego badacza, jak ks. Grégoire Celier, który opisuje imigracjonizm jako „zaskakujący sojusz najbardziej bezwstydnego kapitalizmu (żądnego taniej i łatwej siły roboczej) i utopijnego postmarksizmu”. Ja w tym przymierz nie widzę jednak niczego zaskakującego, nie tylko dlatego, że nasze pokolenie z bliska oglądało „działający ruch robotniczego” transformujących się w kapitalistów wyrzucających robotników na bruk. Przede wszystkim dlatego, że wspólny ideał korporacyjnego kapitalizmu i marksizmu to „obumieranie państwa”, które praktycznie (nie da się bowiem żyć w utopii) zastąpić mają rozbudowywane regulacje międzynarodowe.

Piszę o tym, bo w długiej dyskusji, którą w kwestii imigracji prowadzę z Tomaszem Terlikowskim (najpierw był jego tekst w „Plusie Minusie”, potem moja re-

akcja w „Magazynie Kontra” i odpowiedź Tomasza w Tysol.pl), mój przyjaciel oponent zanegował istnienie ideologicznych przesłanek akceptacji masowej imigracji, która zmieniła oblicze społeczeństw zachodnioeuropejskich. Negować rzeczywistość można, również negując istnienie kształtujących ją poglądów. A o Tomasza Terlikowskiego (nieświadomej zapewne) negacji rzeczywistości świadczy najdobitniej to, że polemizuje z tezami, które sam tworzy. Otóż wbrew temu, co pisze, ani w „Magazynie Kontra”, ani nigdzie indziej nie pisałem o „ideologii imigracjonizmu” jako źródle „tolerancji dla nielegalnej migracji”. Pojęcia mają znaczenie kluczowe, a ich deformacja może być początkiem deformacji rzeczywistości, którą opisują. Piszę o imigracjonizmie i imigracji. Migracja to wędrówka zapoczątkowana emigracją, wyjazdem, imigracja to przyjazd w określone miejsce. Imigracja tylko wtedy jest naturalnym następstwem migracji, gdy chodzi o kraj sąsiadujący, będący (wskutek takich czy innych okoliczności) jedynym możliwym kierunkiem wyjazdu. Reszta, począwszy od przekroczenia pierwszej granicy, jest kwestią wyboru,

który – gdy zostanie dokonany – rozpoczyna imigrację.

Stawiam więc zasadnicze pytania: Dlaczego masowa imigracja muzułmańska nie kieruje się na rynki wschodzące, do muzułmańskich krajów Azji Południowo-Wschodniej, do bogatych islamskich państw Zatoki Perskiej? Dlaczego imigranci nie chcą pozostać w Turcji, ale chcą się dostać do Europy? Kierują się nie tylko – ale w znacznym stopniu – tutaj, bo tu są nie tylko ekonomiczne, lecz także polityczne, socjalne i kulturowe warunki dla masowego osadnictwa. Ideologii, która warunki te kształtuje, jej politycznych konsekwencji właśnie, Polska uparcie nie chce przyjąć.

KORYTARZ PUTINA

Sytuacja jest dziś zasadniczo różna niż przed kilkoma laty. Wtedy mieliśmy przeciw sobie Unię Europejską, atakującą równie mocno Polskę, co inne państwa odrzucające przymusową dyslokację imigrantów, także państwa, które – jak Węgry czy Chorwacja – „niehumanitarnie” broniły wewnętrznych granic UE. Mało było przykładów równie ostantacyjnej pogardy władz Unii dla obowiązującego ją prawa, w tym wypadku wspólnej ochrony zewnętrznych granic otwartej strefy Schengen.

Dziś władze Unii i rządy zachodnioeuropejskie otrzeźwiały. Maurras miał rację, pisząc, że sam mechanizm państwa sprawia, iż ideologia musi się liczyć z interesem narodowym. Wskazywał przykłady przywódców sowieckich, którzy od roku 1930 w coraz większym stopniu internacjonalizm podporządkowywali rosyjskiemu imperializmowi albo francuskiej lewicy, która najpierw Republikę rozbrajała, by już poniewczasie, w okresie rządów Frontu Ludowego, po remilitaryzacji Niemiec, zacząć ją dozbierać. Podobnie dziś, też za późno, rzeczywistość upomina się o swe prawa w polityce Zachodu.

Tymczasem zagrożenie ma nowy charakter. Korytarz imigracyjny, utworzony przez Putina, tym wygodniejszy, że nie na własnym terytorium, może dostarczać dowolnej liczby nielegalnych imigrantów na granice Polski, Litwy i Łotwy. Szantaż humanitarny, dywagacje, co może stać się po białoruskiej stronie granicy, od początku był jak najbardziej wpisany w scenariusz tej operacji. Rosja postsowiecka dobrze pamięta marksistowską teorię o „sprzecznościach wewnętrznych” jako źródle rewolucji i upadku państw. Nawet jeśli rządy zachodnie wycofały się chwilowo z imigracjonistycznej presji na Polskę

■ i państwa bałtyckie, to jej orędzie chętnie podjęła lewicowa i liberalna opozycja w naszym kraju.

Gdyby Polska uległa presji – u naszych granic pojawiłoby się natychmiast wielokrotnie więcej imigrantów. Urządziliby oni w Polsce koczowisko, bo przepuszczając ich do Niemiec, zostalibyśmy natychmiast uznani za wspólników Putina. A gdy w końcu zdecydowalibyśmy się zamknąć granice – ryzyka humanitarne okazałyby się o wiele większe niż dziś.

Ochrona granic Unii – na co władze z całkowicie zrozumiałych względów się powołują – stanowi traktatowy obowiązek Polski. Jest jednak jeszcze ważniejszy, bardziej uniwersalistyczny i bardziej bezpośrednio związany z interesami Polski obowiązek międzynarodowy. Jakiegokolwiek ustępstwo wobec wschodniej presji oznaczałoby automatyczne zwiększenie imigracyjnej presji na Litwę i Łotwę, wielorako nam bliskie małe kraje, mające wielkie znaczenie dla bezpieczeństwa Rzeczypospolitej.

POPULIZM CZY REAKCJA LUDOWA?

Źródłem polskiego sprzeciwu wobec imigracjonizmu i nielegalnej imigracji nie są więc – jak pisze Tomasz Terlikowski – „populistyczne lęki”. Muszę powtórzyć raz jeszcze to, co gdzie indziej, choć krócej pisałem już wcześniej. Nasze społeczeństwo na lęki przed imigracją nie cierpi. Bez najmniejszego szemrania wypełniło sąsiedzki obowiązek udzielenia schronienia tysiącom białoruskich uchodźców politycznych, którzy wyjechali po stłumieniu ubiegłorocznych protestów wyborczych. Nie słyszałem żadnych głosów sprzeciwu nawet ze strony tych, którzy uważali kryzys polityczny na Białorusi za polityczną i geopolityczną katastrofę, którzy (jak również ja) uważali, że Polska w chwili wybuchu powyborczych protestów powinna była wykorzystać dobre relacje z opozycją oraz poprawiające się stosunki z władzą, by zaproponować mediację między władzą a opozycją na Białorusi i tą drogą próbować zapobiec wzrostowi kontroli Moskwy nad Mińskiem. Do poważnego kryzysu jednak doszło, tysiące młodych ludzi poczuły się zagrożone represjami – i udzieliłiśmy im schronienia. Również dziś Straż Graniczna udziela pomocy imigrantom, którzy nielegalnie przekroczyli granicę, i wszyscy uważają to za wypełnienie oczywistego ludzkiego obowiązku. Udzielanie pomocy indywidualnym imigrantom,

którzy (nawet nielegalnie) znaleźli się po naszej stronie granicy, jest w Polsce rzeczą oczywistą. A w ogóle nie będę szerzej pisał o setkach tysięcy Ukraińców pracujących u nas, utrzymujących dzięki tej pracy swoje rodziny, bo to jest już po prostu część naszego społecznego pejzażu. Jak więc można polskie społeczeństwo, tylko dlatego, że chcemy ochrony granic przed nielegalną islamską imigracją i obrony przed rosyjską agresją, porównywać do barbarzyństw Ku-Klux-Klanu?

Dla Tomasza Terlikowskiego sprzeciw wobec nielegalnej imigracji to po prostu odruchowy populizm, prymitywny refleks, który należy w najlepszym razie temperować. Tymczasem jest wręcz przeciwnie. Sprzeciw wobec narzucanego Polsce imigracjonizmu, w czasie imigracyjnej fali od 2014 r., był tak naprawdę pierwszym przykładem samodzielności opinii publicznej, uwalniającej się od dominującego przez pierwsze ćwierćwiecze niepodległości populistycznego autorytarnego irenizmu, skłonności do biernego poddawania się „autorytetom” (czyli rzecznikom dominujących opinii), zaufania do rekomendacji zagranicy, do zapewnień, że nie ma powodu martwić się o przyszłość, bo wystarczy zaufać zagranicznym instrukcjom, „wrócić do Europy”, a resztą pokieruje niewidzialna ręka rynku.

Ów populizm nieświętego spokoju wyrządził Polsce ogromne szkody. Ponosi odpowiedzialność za bezrefleksyjną wiarę w „reformy”, rezygnując z jakiegokolwiek kontroli procesów odprzemysłowienia i załamania tysięcy gospodarstw rolnych, za zupełne niezrozumienie przewrotu w pojęciu praw człowieka (którą to ignorancję było dobrze widzieć w czasie przyjmowania przez Polskę jurysdykcji Europejskiego Trybunału Praw Człowieka), za wieloletnią bierność wobec kryzysu demograficznego, za brak dekomunizacji. Krótko mówiąc: za wszystkie porażki niepodległości. Oczywiście miały one swój polityczny motor, postkomunizm, wzmocniony antyprawicową współpracą środowisk liberalnych, ale miały te porażki również swój kontekst społeczny. Mieszkał się w nim nawyk uległości, wyrobiony przez półwiecze niewoli, z opisaną przez Dmowskiego biernością jako cechą naszej kultury politycznej w ogóle. Ten syndrom był źródłem niedostatecznego poparcia społecznego dla walki z dramatycznymi wyzwaniami, którym już samodzielnie, jako naród dysponujący państwem, mieliśmy stawić czoła.

Oczywiście w ocenie historii współczesnej nie będziemy się z Tomaszem różnić. Rzecz w tym, że o ile polityczną reakcją na całą tę przeszłość, początkiem społecznego zwrotu, były wybory w 2005 r., o tyle pierwszym przypadkiem adekwatnej, podjętej we właściwym czasie reakcji na nowe wyzwanie, które pojawiło się przed Polską, był masowy sprzeciw wobec imigracjonistycznej polityki, którą Unia Europejska próbowała Polsce narzucić, począwszy od 2014 r. I nie był to żaden odruch, ale efekt długiego, o wiele za długiego, procesu społecznego emancypacji. Po raz pierwszy Polacy nie byli wobec zagranicznych rekomendacji naiwni. A dziś cała Europa (choć na ogół milcząco) przyznaje nam rację.

WOBEK ISLAMIZACJI

Sprzeciw ten nie dotyczył wczoraj i nie dotyczy dziś imigracji jako takiej. Był odrzuceniem multikulturalnej utopii, skutkującej islamizacją społeczeństw zachodnich. Był reakcją na fakty i przestrogi. Takie jak Efraima Halevy, byłego szefa Mosadu, który jako jedno z najważniejszych zagrożeń Europy w 2016 r., jeszcze przed największymi zamachami, które potem miały miejsce w Paryżu czy Brukseli, wskazał „groźbę infiltracji uchodźców” przez Kalifat Państwa Islamskiego. Jak lewicowego premiera Turynii, Bodo Ramelowa, który postulował rozdzielanie w ośrodkach dla uchodźców muzułmanów i chrześcijan, dla zapobieżenia aktom przemocy. Albo jak szwedzkiego dziennika „Dagens Nyheter”, który ujawnił w 2016 r. pochodzące od policjantów informacje, że ze względów politycznych przestępstwa dokonywane przez imigrantów celowo nie są nagłaśniane, bo władze nie chcą, aby znajomość statystyk cudzoziemskiej przestępczości spowodowała wzrost poparcia dla opozycyjnych Szwedzkich Demokratów. To wszystko działo się w pierwszej fazie poprzedniej fali imigracyjnej. Potem, w 2018 r., Fabrice Leggeri, dyrektor Frontexu, podsumowywał, że choć „większość przybyszów to imigranci ekonomiczni”, a nie uchodźcy, to należy pamiętać, że „mogą tam być również terroryści i przestępcy”.

Chętnie się zgodzę z Tomaszem Terlikowskim, że chodzi tu o przypadki skrajne. Ale żeby wiedzieć, na czym polega stan przeciwny, warto wziąć pod uwagę świadectwo wicepremiera Belgii, Jana Jambona, który mówił o tym, że w brukselskich szkołach młodzi muzułmanie tańczyli z radości po zamachach na lotnisko i metro w Brukseli.

seli. Ci uczniowie nie byli terrorystami. Im się tylko terroryści podobali.

Michèle Tribalat przez całe lata była poprawną politycznie socjolożką, polemizowała z antyimigracyjnymi przestrogami ideowej prawicy. Potem zmieniała poglądy. Uznała, że we współczesnej Francji... nie ma problemu migracji. Nie ma tego problemu w znaczeniu, które przypisywano słowu „imigracja” kiedyś. Dawne imigracje przypominają hiszpańskie i węgierskie nazwiska wybitnych współczesnych polityków, Manuela Vallsa czy Nicolasa Sarkozy’ego. Michèle Tribalat uważa, że nie imigracja jest problemem, ale rozszerzające się we Francji nowe społeczeństwo alternatywne – islam. To samo zresztą mówi prywatnie niemieccy politycy z CDU.

Nie mieszajmy jednak zjawisk. W Polsce mamy żyjących wśród nas muzułmanów, nie tylko Tatarów, którzy są muzułmańskimi Polakami od wieków, lecz także cudzoziemskich wyznawców islamu, którzy ożenili się z Polkami i wolą mieszkać u nas, zostali po studiach albo przyjechali, by otworzyć restaurację czy się w niej zatrudnić. Ich obecność jest naturalnym zjawiskiem, jak istnienie każdej małej przyjezdnej społeczności gdziekolwiek na świecie.

Jeśli Polacy obawiają się jednak powtórzenia procesów, które w ostatnim półwieczu zmieniły społeczeństwa zachodniej Europy, to właśnie dlatego, że stoi za nimi forsująca je polityka i ideologia, domagająca się aprobaty migracji niekontrolowanej, którą należy przyjąć w imię budowania nowego multikulturalnego społeczeństwa, którego tożsamością ma się stać brak wspólnej tożsamości. W tę politykę wpisują się, niestety, również optymistyczne opinie Tomasza Terlikowskiego, który pisze o migracji (abstrahując od jej islamskiego charakteru), która „wzbogaca realnie kultury” narodów zachodniej Europy i „umożliwia tym narodom przetrwanie i rozwój”.

LUD I CHRZEŚCJAŃSTWO

Tomasz Terlikowski pisze, że „Kościół nie jest potrzebny” do „budowania obaw (niekiedy zrozumiałych, a niekiedy zgrabnie rozgrywanych politycznie)” – „tu wystarczą populiści”. Jak rozumiem – uważa, że nie ma obiektywnego, moralnego obowiązku uświadomienia społeczeństwu nawet „zrozumiałych obaw”, takiego obowiązku nie mają nawet przywódcy polityczni, społeczeństwo wyzwania rozpoznaje samo – dzięki populistycznym odruchom.

Dla Tomasza Terlikowskiego sprzeciw wobec nielegalnej migracji to po prostu odruchowy populizm, prymitywny refleks, który należy w najlepszym razie temperować. Tymczasem jest wręcz przeciwnie

Właśnie taką perspektywę nazywam pe-lagiańską: przekonanie, że do rozpoznania i realizacji dobra wspólnego nie są potrzebne ani prawomocne autorytety duchowe, ani rozum polityczny, ani państwo. Wystarczy naturalny („populistyczny”) odruch.

Otóż jest to zasadniczy błąd. Stałość (uwarunkowana upadkiem) naszej natury sprawia, że najbardziej bezpośrednim odruchem nie jest troska o państwo, naród, przyszłość, ale prywatny egoizm, wyгода i jej nadzieja. To właśnie od takich potrzeb odwołuje się konsumpcyjny liberalny populizm. To usypia opinię publiczną przekonaniem, że pod panowaniem oświeconych, najlepiej międzynarodowych, instytucji „jakoś to będzie”. To on wreszcie dyspensuje z patriotyzmu, a gdy jednak go widzi – oskarża go jako populistyczny nacjonalizm.

Reakcja ludowa przypominająca, że państwo odpowiada za przyszłość narodu, owszem, może być odruchowa, ale sama w sobie ma wartość moralną. Dla chrześcijaństwa jest zobowiązaniem, tym bardziej że dziś ludzie przeciwstawiający się międzynarodowej kontroli nad polityką państw, choćby odruchowo odrzucający rewolucję gender, sprzeciwiający się imigracjonizmowi, wszyscy kwalifikowani są jako nacjonalistyczni populiści i dziś w Europie – jak piszą (lewicowi socjologowie) Eatwell i Goodwin w swym „Narodowym populizmie” – „trudno sobie wyobrazić, by jakakolwiek inna grupa była traktowana z tak wielką pogardą”. Wobec „populistów” język nienawiści i pogardy jest nie tylko dozwolony, lecz także wręcz zalecany. Nie zasługują ani na reprezentację, ani na dialog. Najlepiej to widać w Parlamencie Europejskim, gdzie partie, które tydzień temu zebrały się w Warszawie, nie są traktowane jak opozycja, ale jak intruzi.

Gdy dwa lata temu zebraliśmy się w małej, ekumenicznej (byli również prawosławni Grecy) grupce przy Żłóbku w Parlamencie Europejskim, powiedziałem do kolegów, że ks. Hygonnet, który przyszedł

Żłóbkę pobłogosławić, choć nie jest następcą Apostołów, jest – jak każdy ksiądz – prawowitym następcą uczniów, których Pan rozesłał. A my? My chyba jesteśmy prawowitymi następcami pastuszków, amhaarców żyjących wówczas na marginesie społeczeństwa, tak jak my – „nacionaliści, populiści, reakcyoniści” – pracujemy dziś na marginesie instytucji europejskich.

Próbuję zrozumieć, co Tomasz ma na myśli, pisząc, że „populizm nie potrzebuje chrześcijaństwa”. Czy chodzi o sugestię, że żołnierze nie potrzebują dla swej służby błogosławieństwa? Albo że nie potrzeba modlitw za bezpieczeństwo granic w chwili, gdy trwa wielowymiarowa agresja przeciw Polsce, w której plan wpisane są również „humanitarny” indyferentyzm jednych i wrogość wobec własnego państwa innych?

Przecież odczłowieczanie Straży Granicznej, żołnierzy, polityków, wszystkich przeciwstawiających się nielegalnej migracji, widać gołym okiem. Inwektywy rzucane przez panią Kurdej-Szatan czy mecenasa Barczaka to wśród uprzywilejowanej części społeczeństwa standard, nie wyjątek. A to chyba wystarczający motyw, by stanąć po stronie znieważanego, oplukanego, zaszczutego – Obowiązku.

Zresztą warto na sprawę spojrzeć i z odwrotnej perspektywy. Czy chrześcijaństwo potrzebuje dziś antyliberalnej reakcji ludowej? Przykład prezydentury Trumpa pokazuje to najlepiej. To dzięki jego czteroletniej prezydenturze spełniło się marzenie o konserwatywnej większości w Sądzie Najwyższym. Można dużo pisać o defektach prywatnego życia byłego prezydenta, ale ludzie tacy jak sędzia Amy Barrett mogą być tylko przykładem dla każdego prawnika i każdego rodzica. Dzięki takim nominacjom pojawia się po raz pierwszy szansa na odwrócenie półwiekowego aborcyjnego orzecznictwa.

Są ludzie, którzy to widzą jasno, nawet – jeśli idąc za sugestiami Ojca Świętego – trzeba ich szukać na peryferiach Kościoła. Cztery lata temu wybitny arabski jezuita obrządku melchickiego, wieloletni prowincjał Bliskiego Wschodu i rektor kolegium w Aleksandrii, o. Henri Boulađ, demonstracyjnie przyjął obywatelstwo węgierskie, aby „u boku Węgier i Viktora Orbána walczyć o przyszłość i o wartości chrześcijańskie, a także aby wesprzeć politykę tego kraju i wywrzeć wpływ na europejską politykę migracyjną”; bo – jak wyznał – „Zachód, a także papież, nie znają prawdziwej natury islamu”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Sojusz przeciwko szaleństwu



Na ubiegłotygodniowym spotkaniu liderów europejskich partii w Warszawie rozmawiano przede wszystkim o planach federalizacji Europy, który to projekt, za sprawą publicznie znanej umowy koalicyjnej nowego niemieckiego rządu, przestał być już tylko marzeniem europejskich biurokratów, a stał się projektem niemieckim FOT. PIS.ORG.PL



Rafał A. Ziemkiewicz

Nie ma wątpliwości, że w procedurach demokratycznych nie uzyskano by dziś większości dla budowy europejskiej federalnej „czapy”, ponad rządami państw narodowych, w żadnym z krajów członkowskich. Dlatego „oświeceni” spiskowcy postanowili działać bez zasięgania opinii rządzonych, a nawet bez ujawniania im swych intencji – metodą faktów dokonanych

Trudność w opisanu ubiegłotygodniowego spotkania liderów europejskich partii w Warszawie pojawia się już na etapie samej nazwy. Liderzy jakich partii się tam zjawili? „Prawicowych”? To słowo w każdym kraju znaczy coś innego, a dominujący w UE dyskurs medialny uczynił z niego pozbawioną konkretnego sensu obelgę. Eurosceptycznych? A może wręcz „anty-europejskich”? To już czysta propaganda. Podobnie jak insynuowanie, jakoby wspólnym mianownikiem zgromadzo-

nych były jakieś związki z Władimirem Putinem. Ponadto trudno też uznać za taki wspólny mianownik „konserwatyzm” – jak zwołane do Warszawy partie określili gospodarze szczytu z Prawa i Sprawiedliwości.

Wbrew pozorom nie jest to akademicka dyskusja – od tego, gdzie dostrzeżemy ów wspólny mianownik, zależy zrozumienie sensu całego spotkania. Właśnie dlatego lewicowo-liberalna opozycja uderzyła jednogłośnie w ton straszenia „przyjaciółmi Putina”, atakując tym przekazem nawet

podświadomość wyborców – programy informacyjne TVN posunęły się do ilustrowania wiadomości infografiką, na której małe portrety partyjnych liderów umieszczono na tle wielkiej głowy Putina, choć ten ani nie uczestniczył w spotkaniu, ani go nie inspirował, ani o nim tam nie rozmawiano.

NIEMIECKI PLAN

Rozmawiano zaś przede wszystkim o planach federalizacji Europy, który to projekt, za sprawą publicznie znanej umowy koalicyjnej nowego niemieckiego rządu, przestał być już tylko marzeniem europejskich biurokratów, a stał się projektem niemieckim. Dodajmy – w wypadku realizacji skutkującym nieuchronnie umocnieniem niemieckiej dominacji na kontynencie.

Idea jednego, wspólnego państwa europejskiego nie jest nowa, snuto takie wizje praktycznie od początków europejskiej wspólnoty. Tyle że były to wizje procesu „zrastania się narodów”, który dokonać się miał w dalekiej przyszłości i – przede wszystkim – w sposób naturalny. O takim właśnie możliwym kiedyś wspólnym pań-

stwie europejskim, jako o planie „nie na dwa, trzy pokolenia, ale na wiele pokoleń”, mówił śp. Lech Kaczyński w swoim wystąpieniu na jednym z niemieckich uniwersytetów w roku 2006, które to wystąpienie zostało w cyniczny i szaliberski sposób przywołane przez PO i jej media dla propagandowego uderzenia w jego brata.

W istocie proces „budowy stanów zjednoczonych Europy”, który został wpisany do programu obecnego niemieckiego rządu – swego czasu zapowiadany przez Martina Schulza, na co zwracaliśmy wtedy uwagę jako jedno z nielicznych polskich mediów – z tamtą wizją nie ma nic wspólnego, a nawet jest wręcz jej zaprzeczeniem. „Stany zjednoczone Europy” mają bowiem zostać zbudowane odgórnie, bez czekania, aż narody żyjące w Europie same z siebie wymieszają się i zbliżą. Jest to projekt biurokratyczny i po klęskach, które zwoleńnicy „pogłębiojnej integracji” ponieśli podczas prób stworzenia „europejskiej konstytucji”, z gruntu antydemokratyczny. Decydującą rolę mają w nim odegrać nie żyjące we wspólnocie narody, ale spisek „oświeconych elit”, rządzących w poszczególnych europejskich stolicach i delegujących swych przedstawicieli do władzy nad instytucjami wspólnotowymi.

Nie ma wątpliwości, że w procedurach demokratycznych nie uzyskano by dziś większości dla budowy europejskiej federalnej „czapy”, ponad rządami państw narodowych, w żadnym z krajów członkowskich. Dlatego „oświeceni” spiskowcy postanowili działać bez zasięgania opinii rządzących, a nawet bez ujawniania im swych intencji – metodą faktów dokonanych. Czynniki wiążące ze sobą europejskie państwa i zmuszające je do poddania się wspólnemu zarządowi mają być wspólny europejski dług, uznaniowość w przyznawaniu poszczególnym krajom pochodzących z niego funduszy przez Komisję Europejską oraz poddanie systemów prawnych zwierzchnictwu TSUE.

SKĄDŚ TO ZNAMY

Sposób myślenia, który zrodził ten plan, Polakom musi się nieodparcie kojarzyć z logiką polskich „reformatorów”, którzy po roku 1989 postanowili wprowadzić w Polsce „kapitalizm” bez pytania o zgodę Polaków, bo ci, jak reformatorzy założyli, i tak nic nie rozumieją. Wszelkie konsultacje będą tylko opóźniać nieuchronny proces i potęgować opory – a kiedy postawi się ludzi przed

faktami dokonanymi, szybko odczuwając dobrodziejstwa wolnego rynku i pogodzą się z nimi. Jak pamiętamy, nie było tak różowo i społeczne koszty uznanego za bezalternatywny sposobu wprowadzania reform okazały się znacznie większe od zakładanych, doprowadzając w ciągu zaledwie dwóch lat do kompletnego załamania poparcia dla Solidarności i wyborczego zwycięstwa komunistów.

A przecież reformy Balcerowicza korzystały z usprawiedliwienia (fakt, że ze względu na lojalność okragłostołowych partnerów wobec byłej PZPR nienieeksploatowanego) totalnej katastrofy gospodarczej „realnego socjalizmu” i spowodowanego przez nią załamania poziomu życia. We współczesnej Unii, mimo problemów niektórych krajów, nie ma podobnego usprawiedliwienia. Załamanie gospodarcze jest dopiero na horyzoncie i będzie ono wynikać z federalizacji – a co najmniej będzie jednoznacznie przez Europejczyków z nią powiązane. Przekonanie eurokratów i liberalno-lewicowych polityków rządzących w poszczególnych krajach, że zdołają okiełznać społeczeństwa i zapanują nad nimi mocą perswazji kontrolowanych i cenzurowanych przez elity mediów, świadczy o ich całkowitym oderwaniu od rzeczywistości – podobnie jak oderwana była od rzeczywistości michnikowszczyzna, rojąc, że robotnicy i rolnicy odstąpią od strajków i blokad, kiedy autorytety potępią ich za „postawę roszczeniową”, a celebryci wyszydzą antybalcerowiczowskie hasła w telewizyjnym „kabarecie”.

Nie tylko polskie doświadczenie uczy, że zapamiętywanie się europejskiej „oświeconej elity” w doktrynalnym obłędzie „pogłębiania integracji” doprowadzić musi do wielkich kłopotów i prawdopodobnie destrukcji tego, co we wspólnocie działa od lat dobrze – wspólnego obszaru gospodarczego. Przecistawianie się federalizacyjnemu spiskowi nie jest więc w najmniejszym stopniu działaniem antyunijnym. Przeciwnie, jest próbą skierowania rozwoju Unii na takie tory, by mogła ona przetrwać i z czasem wzmocnić się z pożytkiem dla europejskich społeczeństw.

Inspirowana przez kręgi dążące do federalizacji propaganda, jakoby partie zgromadzone w Warszawie i ich spotkanie miały charakter „antyeuropejski”, jest więc zwykłym fałszem. Nikt na tym spotkaniu nie radził, jak zlikwidować Unię, jak z niej wyprowadzić swoje pań-

stwa – przeciwnie, zastanawiano się nad tym, jak przywrócić Unii jej spójność, wracając do naruszonej w ostatnich latach formuły porozumienia suwerennych państw, opartego na fundamencie trzech swobodnych przepływów – towarów i usług, pracy oraz kapitału.

KŁAMSTWO UNURZANE W PUTINIE

To kłamstwo federacyjnej propagandy dla skuteczności unurzano w Putinie, by odwołać się do tkwiącego głęboko w Polakach lęku przed odradzaniem się rosyjskiego imperializmu. Jest to konstrukcja bardziej jeszcze karkołomna i bezczelna. Putin kreowany jest tutaj na bezwzględного wroga Unii, zainteresowanego jej zniszczeniem, sama Unia – na gwaranta polskiej niepodległości, który nas w razie czego przed Putinem obroni, a obstawanie przy Unii i odmowa poparcia dla procesu przekształcenia jej w jedno federalne państwo z formalną stolicą w Brukseli i faktyczną w Berlinie – na antyunijność.

Słowem, bzdura na bzdurze, ukoronowana odwracaniem faktycznych interesów Putina, o których niedawno w „Do Rzeczy” pisałem: w istocie UE postulowana przez federalistów jest spełnieniem postulatów Putina, by „wielkie narody rozmawiały ze sobą”. Kremlowi istotnie nie było po drodze z dawną Unią, sojuszem wolnych państw, ponieważ jego imperialna polityka zawsze dążyła do bilateralnych rozgraniczeń między mocarstwami strefy wpływu. Ale plan wpisany do niemieckiej umowy koalicyjnej, plan w istocie realizujący wskazanie Bismarcka do budowy niemieckiej dominacji nad kontynentem w oparciu o sojusz z Rosją, są Putinowi jak najbardziej na rękę. Ostatnia rzecz, jaka pasowałaby do jego imperialnej polityki, to patronowanie porozumieniu antyfederalistycznych partii. Ich liderzy mogą sobie składać mile na Zachodzie widziane deklaracje sympatii dla Kremla, ale to nie oni, a politycy europejskiej lewicy są i będą nadal przez Putina obdarowywani synekurami w Gazpromie, Rosniefcie czy ŁUKoilu.

Już samo natężenie propagandowych kłamstw, agregowanych przez lewicowo-liberalne media w związku z zadziwieniem współpracą partii antyfederalistycznych, jest mocnym sygnałem, że trzeba perspektywę takiej współpracy przyjąć z nadzieją. Nawet gdyby nie było innych powodów.



Z Kosmą Złotowskim, posłem do Parlamentu Europejskiego
rozmawia Karol Gac



Mieszkańcy Europy nie chcą jednego federalnego państwa

KAROL GAC: Z inicjatywy PiS w Warszawie spotkali się liderzy europejskich partii prawicowych. Obecni byli m.in. Viktor Orbán czy Marine Le Pen. Celem jest stworzenie wspólnej frakcji w PE?

KOSMA ZŁOTOWSKI: Jeżeli nawet, to nie musimy tego robić teraz. Chodzi o to, by się dobrze zrozumieć. W wielu kwestiach mamy zbliżone poglądy, a w innych odmienne. Dobrze więc jest poznać wzajemne racje, a dopiero później podjąć decyzję dotyczącą wspólnej frakcji w Parlamencie Europejskim.

Czy da się w ogóle pogodzić rozbieżne punkty? Wiadomo, że PiS ma np. odmienne podejście do Rosji i Władimira Putina.

To nieco odległa perspektywa. To, co nas łączy, to spojrzenie na Unię Europejską. Członkowie zarówno Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, jak i frakcji Tożsamość i Demokracja są przeciwni federalizacji UE. Uważamy, że powinna to być unia suwerennych narodów, które współpracują, ale i uczą się od siebie. Jeśli chodzi o podejście do Rosji czy np. niedawne słowa Marine Le Pen dotyczące Ukrainy, to istnieje tu fundamentalna różnica między nami. Jednak podobny pogląd mają w gruncie rzeczy kanclerz Angela Merkel i nowy niemiecki rząd. Oni blisko współpracują z Putinem i to na tyle, że byli kanclerze otrzymują z rosyjskich spółkach energetycznych. Znalazło się tam przecież wielu prominentnych polityków europejskich. Inne spojrzenie na Rosję występuje z oddali – z Paryża czy Rzymu – a inne, gdy się jest jej sąsiadem.

Niemcy pierwszy raz wprost zapisały w umowie koalicyjnej dążenie do federalizacji UE. Waży się jej przyszłość i kierunek, w którym podąży?

Z całą pewnością. Niemcy zapisali w umowie koalicyjnej nie tylko to, że będą dążyć do federalizacji, lecz także to, że można to zrobić za pomocą zmiany traktatów albo metodą międzyinstytucjonalną. To oznacza, że o federalizacji UE miałyby decydować obecne instytucje unijne, zwłaszcza TSUE, które radzą sobie z tym całkiem dobrze, unikając jednocześnie pytania o zdanie obywateli.

Czy obecnie istnieje w ogóle szansa na „przesilenie” w Europie zdominowanej przez ugrupowania lewicowo-liberalne?

Zdecydowanie. Cała nadzieja w tym, że dojdzie do zmiany władzy we Francji, Włoszech czy w Hiszpanii. Z sondaży wynika, że partie konserwatywne

FOT. JAVIER BERNAL REVERTE/UEP

i prawicowe rosną w siłę. Społeczeństwa krajów UE nie chcą przekształcenia Europy w jedno federalne państwo.

Politycy opozycji bardzo ostro skrytykowali spotkanie w Warszawie i zarzucili PiS, że brata się ze stronnikami Władimira Putina. Była też mowa o brunatnej Europie czy izolacji międzynarodowej. Jak pan się odniesie do tych zarzutów?

Jeśli chodzi o zarzuty dotyczące tego, że spotykamy się z partiami konserwatywnymi, to przepraszam, ale z kim mielibyśmy się spotykać? W zakresie dotyczącym przyszłości UE mamy podobne poglądy. Jeżeli nasze spotkanie wzbudza aż taką krytykę, to znaczy, że nasi opo-
nenci słusznie widzą w tym rodzącą się nową siłę polityczną w Europie.

Został pan kandydatem Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów na przewodniczącego Parlamentu Europejskiej. Jednak arytmetyka w PE jest nieubłagana. Chodzi o zaprezentowanie innego spojrzenia na UE za pana pośrednictwem?

Z jednej strony to jeden z celów mojego kandydowania. Z drugiej zapowiada się, że obecna umowa w PE pomiędzy chadekami a socjalistami może nie zostać dotrzymana. Wcześniej uznawaliśmy prawo największej frakcji do wskazania kandydata na przewodniczącego, ale umowa została złamana już na samym początku kadencji w sprawie wyboru wiceprzewodniczących, gdy nie wybrano naszego kandydata, prof. Zdzisława Krasnodębskiego. Europejska Partia Ludowa zobowiązała się, że go poprze, ale tak się nie stało. Dzisiaj EPL sama może paść ofiarą złamania takiej wewnętrznej umowy przez socjalistów.

Kiedy wchodziliśmy do UE, to wydawało się, że jest to organizacja równych państw i zasad. Jest pan autorem raportu o barierach pozataryfowych na jednolitym rynku, które dotyczą zwłaszcza sektora transportu drogowego towarów. Okazuje się, że ograniczenia, na które natrafiają przewoźnicy m.in. z Polski, są nieproporcjonalne i nieuzasadnione. To kolejny przykład podwójnych standardów?

Z całą pewnością. Oczywiście jest to obudowane unijną nowomową i fałszywą wizją walki o prawa pracowników, w której rzekomo chodzi o dobro kierowców. Tyle tylko, że tu nie chodzi o prawa kierowców z Polski czy państw bałtyckich, ale francuskich czy niemieckich. Firmy z państw Europy Środkowo-Wschodniej poddaje się we Francji czy w Holandii uciążliwym kontrolom i nakłada horrendalne kary. Ewidentnie na wspólnym

rynku stawiane są bariery tym, którzy się dynamicznie rozwijają, czyli w tym przypadku przedsiębiorcom z naszego regionu.

Unia Europejska funkcjonuje w sposób asymetryczny, a na wspólnym rynku korzystają w większym stopniu kraje Europy Zachodniej. Tego typu bariery mają służyć utrzymaniu status quo?

Po części tak, ale chodzi również o blokowanie rozwoju tzw. nowych państw UE, ponieważ Zachód obawia się dynamicznej konkurencji. Nie chodzi więc wyłącznie o utrzymanie status quo, lecz także o to, by przeciwdziałać rozwojowi państw naszego regionu w obszarze transportu, usług i handlu.

Niemcy zapisali w umowie koalicyjnej nie tylko to, że będą dążyć do federalizacji, lecz także to, że można to zrobić metodą międzyinstytucjonalną

Zmieniając temat. Jest pan członkiem Zgromadzenia Parlamentarnego Partnerstwa Wschodniego. Jak pan ocenia to, co się dzieje przy naszej wschodniej granicy?

Nie mam wątpliwości, że jest to działanie zaczepne o charakterze paramilitarnym, a ludzie, którzy są na granicę przetrzucani przez białoruskie służby, są dla Łukaszenki żywą amunicją. Owszem, jest mi ich żal, ale uważam, że powinniśmy tutaj być bardzo stanowczy. Ważne jest także to, że jesteśmy skuteczni za nasze pieniądze i własnymi siłami. Pokazujemy w ten sposób sojusznikom, że nie tylko jesteśmy zdeterminowani, lecz także jesteśmy w stanie obronić naszą wschodnią granicę, a dopiero w drugiej kolejności granicę Unii Europejskiej.

A jak pan ocenia jej dotychczasowe działania?

Wysoko oceniam już sam fakt, że nie zostaliśmy skrytykowani tak, jak można było się tego spodziewać. Niemcy wyciągnęli wnioski z poprzedniej fali nielegalnej imigracji i doskonale wiedzą, że ci ludzie pojawiliby się szybko na granicy polsko-niemieckiej. Uzyskaliśmy wsparcie od UE, a nawet jakieś symboliczne środki finansowe, co należy uznać za pozytywny gest.

Tymczasem kanclerz Niemiec Angela Merkel zadzwoniła bezpośrednio do Aleksandra Łukaszenki.

Angela Merkel oceniła realnie sytuację: Łukaszenka nie jest prezydentem Białorusi, ale sprawuje tam władzę, więc do niego zadzwoniła. Polska była informowana o zamiarze takiej rozmowy. Pytanie, czy kanclerz Niemiec cokolwiek załatwiła. My już wcześniej uprzedziliśmy naszych partnerów w UE, że niezależnie od ustaleń dyplomatycznych będziemy bronić naszej granicy.

Klucz do rozwiązania obecnej sytuacji leży w Mińsku czy Moskwie?

Sadzę, że w Moskwie i po części w Kijowie. To tam są skierowane główne zamiary rosyjskie.

O co może chodzić Władimirowi Putinowi? O próbę wymuszenia ustępstw ze strony UE? Nord Stream 2? Pokaz siły?

Wszystko to, co pan wymienił, ale dodałbym jeszcze jeden element – crash test dla Unii Europejskiej, Polski i państw bałtyckich. Chodziło o sprawdzenie, jak w takiej sytuacji zachowują się elity polityczne tych krajów. Myślę, że – ku zaskoczeniu Rosjan – w większości zdały egzamin. Niestety, tylko zachowanie polskiej opozycji było kompromitujące, ponieważ zupełnie zignorowała fakt, że to atak na Polskę. Rosja z całą pewnością znalazła tutaj słaby punkt. Sądzę, że była to pierwsza bitwa, ale z całą pewnością będą kolejne.

Czy można powiedzieć, że idea Partnerstwa Wschodniego była chybiona? Z jednej strony rozważano przed Białorusią czy Ukrainą wizję dołączenia do UE, ale z drugiej nie przekuwało się to na żadne realne działania. Niedawno doradca Angeli Merkel wprost przyznał, że „Niemcy zadbały o to, by Ukraina nie miała perspektyw euroatlantycznych”, sama kanclerz zaś „zawsze pamiętała, co byłoby akceptowalne dla Rosji”.

Partnerstwo Wschodnie to był bardzo dobry pomysł, ale warunkiem podstawowym była akceptacja jego głównych założeń przez najważniejsze rządy Europy Zachodniej. Jak naprawdę wyglądały relacje z krajami postsowieckimi, mogliśmy się przekonać w 2008 r. w Tbilisi. Polecał tam Lech Kaczyński z przywódcami Europy Środkowo-Wschodniej, natomiast prezydent Francji polecał do Moskwy. Dzięki obecności na miejscu głów państw z naszego regionu nie doszło do zajęcia stolicy Gruzji. Tak wygląda prawdziwe partnerstwo, którego Francja czy Niemcy nigdy tym państwom nie zaoferują ze strachu przed reakcją Rosji.



Maciej Pieczyński

Polscy faszysti i rasiści okupują Podlasie, prześladując tamtejszą ludność i mordując uchodźców – tak kryzys migracyjny przedstawiają nie tylko białoruscy i rosyjscy propagandyści. Ten absurdalny obraz kreślą również nasi, rodzimi, pożyteczni idioci – lewicowo-liberalni dziennikarze, aktywiści i politycy

Nawet władze Unii Europejskiej uznały, że to, co dzieje się na granicy polsko-białoruskiej, to wojna hybrydowa, którą Łukaszenka wytoczył Warszawie i – szerzej – państwom „kolektywnego Zachodu”. Tej diagnozy wciąż nie są w stanie przyjąć do wiadomości przedstawiciele szeroko rozumianego obozu lewicowo-liberalnego w Polsce. Europoseł PO, były polityk PZPR i SLD, Włodzimierz Cimoszewicz w rozmowie z portalem OKO.press (połączenie świetnie przedstawiające historię i współczesność tegoż obozu) skrytykował Brukselę, ubolewając, że „język wojny” przeniknął również do instytucji międzynarodowych. „Przewodnicząca KE Ursula von der Leyen [...] wciąż mówi o wojnie. Jaka wojna? Znajmy proporcje” – skomentował polityk.

Myśl o tym, że „PiS-owska” Polska padła ofiarą czyjejś agresji, jest dla lewicowych liberałów nie do zniesienia, dlatego wypierają ją ze świadomości. Nie oznacza to jednak, że negują całkowicie wojenne zagrożenie. Przeciwnie – z ich opisu sytuacji wynika, że wojnę wypowiedział nie tyle Łukaszenka Polsce, ile polski rząd mieszkańcom Podlasia i biednym, Allahowi ducha winnym uchodźcom. Robert Kowalski z OKO.press przedostał się do strefy stanu wyjątkowego. Przez tydzień wraz ze swoim operatorem zbierał materiały. Jednym z efektów tego jakże brawurowego dziennikarskiego śledztwa był krótki filmik pod wiele mówiącym tytułem: „Zmilitaryzowana Białowieża. Migawki ze strefy stanu wyjątkowego”. Widać na nim przejeżdżające przez miasteczko pojazdy wojskowe, uzbro-



Na granicy rozumu

jonych żołnierzy (zbliżenie na broń), kupujących w sklepie kiosk ziemniaczaną i wódkę. Tyle. Wygląda to tak, jakby Białowieża była okupowana.

ŻYWE TARCZE

Do „zony” dostali się też dziennikarze związani z organizacją Outriders, czyli „klubem wspierającym międzynarodowe dziennikarstwo”. Na swoją działalność zbierają środki poprzez crowdfunding. „Wstrząsające” świadectwo tego, co zobaczyli na Podlasiu, opublikowali jednak na razie nie na łamach poważnych międzynarodowych mediów (na szczęście), tylko w serii wpisów na Twitterze. Skupili się w nich głównie na „cierpieniach” ludności „okupowanych” terenów. Ze szczególnym uwzględnieniem uczniów szkół. Ogólnokrajowa histeria wokół „dzieci z Michałowa” dała przykład, jak poręcznym narzędziem w propagandowej walce z własnym państwem mogą być najmłodszy, użyci jako żywe tarcze.

„Raz wojskowi poczęstowali uczniów czymś ze swoich pakietów żywnościowych. Sprawa otarła się o dyrekcję oraz ich dowódcę, bo rodzice byli tym zbulwersowani. Wiele możemy tu zrozumieć, ale nie to – mówi nam Eliza, mieszkanka Białowieży, matka czworga dzieci” – relacjonuje Outriders.

Oczywiście trudno ocenić prawdziwość tej relacji. Cytowanie rozmówcy bez nazwiska absolutnie mieści się w ramach warsztatu. Nie można jednak mówić o „zbulwersowanych rodzicach” na podstawie jednej wypowiedzi. Nie ma też w materiale żadnych dowodów, że sprawa rzeczywiście „otarła się” o dyrekcję i dowódcę, i co też to „otarcie się” w praktyce oznacza. Przede wszystkim jednak groteskowo brzmią pretensje do żołnierzy o to, że poczęstowali uczniów jedzeniem.

Niezależnie od tego, czy to realne pretensje realnych rodziców czy wymyślone pretensje realnych dziennikarzy,

przecież rzucanie cukierków „dzieciom z Michałowa” przez płot placówki Straży Granicznej było wręcz czynem bohaterkim! Tam jednak „częstującymi” byli lewicowi dziennikarze i aktywiści. Żołnierz natomiast, nawet gdy pomaga, to na pewno ma nieczyste intencje – bo to przecież „PiS-owski” żołnierz.

„Dla dzieci z Białowieży również stresująca bywa podróż do szkoły, jeśli nie uczęszczają do placówki w swojej wsi. Szkolny autobus za każdym razem jest zatrzymywany na policyjnym checkpointie oddzielającym miejscowości poza strefą od tych w strefie” – czytamy w innym wpisie Outriders. Wstrząsająca relacja. O ile, oczywiście, jest prawdziwa. Dziennikarze nie przedstawili żadnego dowodu na rzekomy stres. Wpis zilustrowali natomiast krótkim nagraniem filmowym, na którym widać... nie, nie widać na nim ani autobusu szkolnego, ani zestresowanych dzieci, ani złych policjantów, tylko cmentarz. Czy ten widok miał dodać grozy? Czy to jakaś aluzja do masowych mordów dokonywanych rzekomo przez polskich mundurowych na biednych uchodźcach? Nie wiadomo. A co do samej treści wpisu – co może być stresującego w zatrzymaniu szkolnego autobusu przez mundurowych? Przecież dla dziecka widok żołnierza czy policjanta w mundurze to atrakcja, przygoda, frajda. A już na pewno nie powinien być stresujący. Przeciwnie: dziecko powinno być wychowane tak, by na widok mundurowego czuło się bezpiecznie. Liberalna lewica ma jednak inną perspektywę. Po pierwsze, to PiS-owska policja i PiS-owskie wojsko. Po drugie – generalnie wielu przedstawicielom tej opcji mundur kojarzy się z faszyzmem.

Kolejna absurdalna relacja: „Inna z mieszkank Białowieży, Julia, opowiadała nam o tym, jak zwróciła uwagę żołnierzom, którzy do sklepu, gdzie byli matki z dziećmi, weszli z długą bronią. – Zmieszali się, mówili, że »oni tylko na chwilę«, i szybko wyszli. Takie sytuacje powtarzają się nagminnie”. Prawdziwy skandal. Najlepiej, żeby żołnierz, wyszkolony do używania broni w obronie obywateli, nie nosił jej w tyłach obywateli obecności. Bo przecież karabin w rękach żołnierza to morderstwo. I znowu: zero dowodów, poza samą wypowiedzią rozmówcy bez nazwiska. Nie wiadomo, jak reagują matki, ale trudno sobie wyobrazić, żeby dziecku – a szczególnie małemu chłopcu, który z kolegami na podwórku

bawi się w „wojnę” – widok uzbrojonego po zęby żołnierza przeszkadzał. Szczególnie że – wbrew sugestiom – nie jest to okupant.

ŻYCIE KONTRA NETFLIX

Gdy Władysław Frasyniuk nazywał polskich żołnierzy „śmieciami”, kierowała nim zapewne głównie obsesyjna nienawiść do PiS. Bywa jednak, że lewica atakuje mundurowych z o wiele głębszych powodów niż bieżąca, nawet bardzo zacięta, walka polityczna. Dobrym przykładem jest wypowiedź Franka Sterczewskiego z wywiadu, którego udzielił Interii jeszcze pod koniec sierpnia, po swoim słynnym już, na szczęście nieudanym, rajdzie z reklamówką IKEA. „Zamaskowani panowie z karabinami, zupełnie jak z sensacyjnego serialu »Narcos«, ruszyli w stronę chłopaka w trampkach. Wyczuwa pan ten absurd?” – pytał Sterczewski rozmawiającego z nim dziennikarza.

Sam posel z pewnością nie wyczuł absurdu swojej wypowiedzi. „Chłopakowi w trampkach” broń kojarzy się jedynie ze złymi panami z sensacyjnego serialu Netflix. Wiadomo, karabiny noszą tylko handlarze narkotyków. Pokolenie dzisiejszych 30-latków – a przynajmniej ta jego część, którą reprezentuje młody poseł PO – nie ma pojęcia o tym, że broń, jak sama etymologia wskazuje, służy przede wszystkim do obrony. Również państwa, również przed tymi, którzy naruszają jego integralność terytorialną. Być może problem jest szerszy i związany z kryzysem męskości – zniewieściali, słabi psychicznie i fizycznie rówieśnicy „Franka” – a co gorsza, również młodsze pokolenia – nie tylko mają z bronią wyłącznie negatywne skojarzenia, lecz także, czysto teoretycznie, nie są nią zainteresowani. Być może zatem rzeczywiście coraz częściej zdarzają się uczniowie, którzy na widok żołnierza płaczą мамie w rękaw...

Oczywiście lewicowym obserwatorom sytuacji na granicy żołnierze kojarzą się ze „złymi panami” głównie dlatego, że bronią kraju przed biednymi uchodźcami z Bliskiego Wschodu. Pochodzenie ma znaczenie, daje bowiem pretekst do oskarżania polskich służb o rasizm. Robert Kowalski z OKO.press porównał obronę granicy ze słynnym eksperymentem Zimbardo. Rzecz jasna, polscy mundurowi grają tu rolę brutalnych strażników więziennych,

a „uchodźcy” – ich niewinnych ofiar. „Tu rozgrywa się rasistowska wersja tego eksperymentu. Ludzi dzieli się na swoich i obcych, rasistowskie oko cały czas jest czujne” – twierdzi lewicowy dziennikarz. Tymczasem to właśnie proimigrancki przekaz tego typu mediów jest w pewnym sensie rasistowski – przybysze z Bliskiego Wschodu są bowiem automatycznie „lepsi” z uwagi na pochodzenie. O ile więc mieszkańcy tylko „stresują się” widokiem „okupantów”, o tyle „uchodźcy” z ich rąk cierpią prześladowania i śmierć. „Czy dzieci z Michałowa mają jeszcze rodziców? Czy leżą pod ziemią i liśćmi w bezimiennym grobie?” – pytała dramatycznie Anna Dryjańska na łamach „Wysokich Obcasów”, sugerując, że polska Straż Graniczna dopuściła się mordu na migrantach. Psychoterapeuta Andrzej Leder na OKO.press stwierdził, że polskie władze „popełniają zbrodnie na uchodźcach”. Krzysztof Luft wprost porównał migrantów do Żydów, pisząc: „Dwie były na wsi stodoły. W jednej Żydów palili. A w drugiej ukrywali. Jedni wywożą dzieci do lasu. Inni ich tam szukają”.

CZYSTY IDIOTYZM

Granice absurdu zostały przekroczone w głośnym reportażu wyemitowanym kilka tygodni temu przez TVN. Materiał został oparty na opowieściach trojga mieszkańców Podlasia, którzy pomagają migrantom. Największy rozgłos zyskała historia Egipcjanina, który miał przez sześć dni płynąć rzeką, w lodowatej wodzie, w nocy wychodzić na brzeg, mokry i zmarznięty, kłaść się na gołej ziemi, a w tym czasie nic nie jeść i nie pić. Tę bajkę opowiedziała z lejącymi się przez cały reportaż łzami w oczach Katarzyna Wappa, nauczycielka z Hajnówki. Dziennikarka nie przerywała, nie próbowała prostować absurdów. Gdy po emisji programu Wappę spotkała zrozumiała krytyka, Agnieszka Jędrzejczyk z OKO.press stwierdziła, że „celem ataku jest całe społeczeństwo obywatelskie”.

OKO.press, Outriders, Franek Sterczewski, Katarzyna Wappa atakują państwo polskie przy użyciu tych samych propagandowych argumentów co Łukaszenka, ale niezależnie od białoruskiego dyktatora. Zwyczajni pożyteczni idioci. Jednak poziom absurdu, prezentowanego przez wymienionych, każe się zastanowić, czy aby na pewno w tym wypadku nie mamy do czynienia z idiotyzmem bezprzymiotnikowym.



Kamila Baranowska

Marta Lempart miała być liderką, która zada ostateczny cios rządowi PiS. Dziś swoją działalnością szkodzi bardziej opozycji niż PiS. Oraz kobietom, o których prawa rzekomo walczy

Co tu zrobione jest?! Kto to tak zrobił?! Ja tutaj sprzątam! Kto to tak zrobił?! – pytała poirytowana pani sprzątająca na widok rozlanej czerwonej farby przed budynkiem, który właśnie sprzątała. – Otóż ja. Ja walczę za pani dzieci też – odparła butnie Marta Lempart, liderka Strajku Kobiet. Rzecz miała miejsce przed siedzibą PiS przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie, gdzie Lempart urządziła swój happening, oblewając wejście farbą. – To niech pani umyje teraz! – zareagowała zdenerwowana pani z wiaderem w ręku. – A pani myśli, że mi za co płacę? Miliony zarabiam, żebym za kogoś sprzątała – dodała jeszcze, a następnie przyniosła zaskoczonej Lempart wiadro i kazała jej posprzątać. – Ma pani wiadro. Proszę umyć mnie to, bo ja nie będę za darmo robiła – stwierdziła.

I tak oto pani sprzątająca pozamiatła, nomen omen, karierę pani Marty Lempart, kreowanej swego czasu na przywódczynię wielkiego ruchu społecznego, który obali rząd PiS, a nawet na liderkę całej opozycji.

Okazało się bowiem, że ktoś całe zajście nagrał i wrzucił do sieci. Suche nitki nie zostawił na pani Marcie Internet, słusznie wytykając jej hipokryzję. Bo jak można walczyć o prawa kobiet i jednocześnie tak lekceważąco odnosić się do jednej z nich? I jeszcze głupio tłumaczyć się stanem wyższej konieczności. – Walczymy tu o wartości, nie mamy wyjścia [...]. Musimy to robić, musimy tak wybierać, co nie jest przyjemnym wyborem, nie jest łatwym wyborem i co nie przysparza nam popularności – wyjaśniała na gorąco.

Nie dość, że nikogo nie przekonała, to jeszcze dodatkowo sama się pogryzła. A wystarczyło wyjść i zwyczajnie przeprosić, ale na to pani Lempart zabrakło i odwagi, i wrażliwości. Na koniec zaś w wywiadzie dla Onetu oznajmiła, że



Kobieta kobietom

całej tej sytuacji winny jest PiS. – Rozumiem, że pani sprzątająca była wściekła i że ma dodatkową robotę przez to, kim jest jej pracodawca: zorganizowaną grupą przestępczą, działającą z pozycji partii politycznej. PiS powinien dopłacać osobom przez siebie zatrudnianym, bo to one ponoszą konsekwencje tego, że ludzie tak nienawidzą tej partii i przeciwko niej protestują – stwierdziła. Doprawdy Jarosław Kaczyński nie mógł wymarzyć sobie lepszego zakończenia politycznej kariery pani Lempart.

MOMENTY MARTY LEMPART

A był przecież moment, a nawet dwa, w którym PiS i rząd naprawdę się jej obawiali. Najpierw w 2016 r., gdy stała się twarzą czarnego protestu, który wylał się na polskie ulice po tym, jak Sejm

odrzucił projekt ustawy liberalizującej prawo aborcyjne i skierował do dalszych prac projekt „Stop aborcji”, a drugi raz jesienią tego roku, gdy Trybunał Konstytucyjny swoim wyrokiem wyeliminował z polskiego prawodawstwa przesłankę eugeniczną jako zezwalającą na dokonanie aborcji, a Lempart znów wyprowadziła na ulice tłumy kobiet.

W obu przypadkach PiS był zaskoczony skalą tych demonstracji i liczbą młodych osób, które w nich uczestniczyły. A także sporymi spadkami w sondażach, które musiały dawać do myślenia.

Wcześniej we wszystkich marszach w obronie demokracji, praworządności czy wolnych sądów dominowali ludzie ze starszych roczników, stanowiący trzon twardego elektoratu opozycji. I w przeciwieństwie do protestów kobiet nie miało



Po happeningu, na którym Lempart oblała wejście do siedziby PiS czerwoną farbą, Internet nie pozostawił na niej suchej nitki, słusznie wytykając jej hipokryzję. Bo jak można walczyć o prawa kobiet i jednocześnie tak lekceważąco odnosić się do jednej z nich? FOT. FACEBOOK.COM/OKO.PRESS, ARTUR ZAWADZKI/REPORTER (L)

to większego przełożenia na poparcie dla PiS.

W tym sensie Lempart udało się to, co nie udało się Mateuszowi Kijowskiemu. Co prawda, tylko na krótką metę, bo na dłuższą ich historie kończą się podobnie.

Zarówno Kijowskiemu, byłego lidera Komitetu Obrony Demokracji, jak i Martę Lempart zgubiły przekonanie o własnej wyjątkowości i rozbudzone polityczne ambicje, które w pewnym momencie zwyczajnie ich przerosły. Lempart naprawdę uwierzyła w to, że jest liderką wielkiego ruchu społecznego, który obali rząd PiS. A jak to się już stanie, to każda partia opozycyjna będzie musiała się z nią liczyć.

O swoich aspiracjach chętnie mówiła zresztą w wywiadach. Marzyło jej się szefowanie Ministerstwem Pracy i Polityki Społecznej, nie pogardziłaby też funkcją Rzecznika Praw Obywatelskich. W przekonaniu, że czeka ją wielka polityczna przyszłość, utwierdzały ją takie głosy, jak choćby ten prof. Magdaleny Środy, która w „Gazecie Wyborczej” nawoływała: „Marto, zakładaj partię!” i twierdziła, że to najlepszy z możliwych pomysłów. „Jest więc miejsce na ugrupowanie progresywne, emancypacyjne, prokobiece, ekologiczne, czyli prodemokratyczne, proeuropejskie, przyszłościowe. Ta droga wymaga wsparcia wszystkich tych, którzy myślą nowocześnie, chcą kobiecego przywództwa i myślenia w kategoriach troski, a nie walki; empatii, a nie narcyzmu. Marta Lempart, nasza superbohaterka, doskonale nadaje się do tej roli” – przekonywała Środa. Akcja promocyjna nowej liderki zawitała także do pism kobiecych. „Vogue” nazwał ją „przywódczynią”, pisząc o niej z estymą godną największej gwiazdy. „Rozmowa z przywódczynią nie jest łatwa

– telefon dzwoni bez przerwy, esemesy przysyłają dziennikarze z zagranicznych stacji telewizyjnych, ktoś przypomina o wywiadzie online, ktoś wchodzi z ważnymi sprawami. Marta Lempart otwiera na ekranie komputera okienko czatu, przegląda telefon, który ledwo nadąża za rzeczywistością, odpowiada na pytania. Jest szybka i zdecydowana, ale życzliwa i spokojna. Pomiędzy jednym niecierpiącym zwłoki tematem a drugim opowiada, że nie jest pierwszą waleczną kobietą w swojej rodzinie: – Moja mama była rewolucjonistką” – to fragment tekstu z magazynu.

Nic dziwnego, że liderka Strajku Kobiet uwierzyła, że jest kimś ważnym, kogo trzeba i należy uwzględniać we wszystkich politycznych planach. Zwłaszcza że nie miała wcześniej politycznego doświadczenia. Z wykształcenia jest prawnikiem, a do 2016 r. zawodowo zajmowała się prowadzeniem wraz z ojcem firmy deweloperskiej. Na co dzień mieszkała we Wrocławiu, ze swoją partnerką Natalią i psami. Jak powiedziała w jednym z wywiadów, feministką i aktywistką została w 2016 r. przy okazji czarnego protestu. A potem już samo poszło.

Z TUSKIEM POD RĘKĘ

Oprócz czytania o sobie wspaniałości Lempart spotykała się z najważniejszymi przedstawicielami opozycji, którzy utwierdzali ją w przekonaniu, że jest kimś, z kim trzeba się liczyć. – Od Marty Lempart usłyszałem w Brukseli ważne słowa: że polskie kobiety nie ustąpią w walce o pełne prawa, o poszanowanie godności każdej osoby, o swobodę decydowania o własnym życiu, o wolność wyboru. Rozmawialiśmy, jak wspólnie burzyć mury i budować mosty między różnymi środowiskami – relacjonował spotkanie z Lempart Donald Tusk.

Ciekawe, że Tusk chciał burzyć mury i budować mosty z kimś, kto swoim mottem uczynił bluzę „Wyp.....ć!”. Lempart używała zresztą tego hasła nie tylko wobec PiS i prawicy. To samo wulgarne hasło usłyszał z jej ust lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, któremu kazała „wyp.....ć z tym referendum”, gdy wyszedł z propozycją referendum w sprawie aborcji, a także Szymon Hołownia, do którego zwróciła się słowami: – Czy ktoś mógłby od nas powiedzieć panu Hołowni, żeby wyp...dała? Bo my robimy rewolucję i nie mamy czasu zajmować się każdym politycznym palantem chętnym

do powiezienia się na nas – oznajmiła. Kiedy zaś na Strajku Kobiet pojawiać się zaczęły posłanki, oberwało się im. Agnieszce Dziemianowicz-Bąk z Lewicy i Barbarze Nowackiej z Platformy zarzuciła, że „przychodzą sobie zrobić zdjęcia i się lansować, i pogadać coś do kamer”.

Wulgarny język i rewolucyjny zapał z elementami agresji (jak wtedy, gdy napuła na policjanta podczas jednej z demonstracji) od początku były jej znakiem rozpoznawczym. I choć początkowo próbowano z nich zrobić atut, podkreślając, że to oddaje autentyczność i charyzmę liderki, to szybko okazało się, że stają się obciążeniem. Wulgarność i coraz większy radykalizm protestów – zarówno jeśli idzie o ich formę, jak i postulaty – zaczęły zniechęcać kobiety, które w większości – jak pokazywały badania – chciały powrotu do tzw. kompromisu aborcyjnego, a nie całkowitej liberalizacji prawa, o co walczyła Lempart. Stawiając na radykalizm, Lempart przeliczyła.

CHODZI O WIARYGODNOŚĆ

Co jakiś czas próbuje jeszcze rozbudzić emocje związane z walką o prawo do aborcji. Z marnym skutkiem, co pokazuje, że to protesty niosły ją, a nie odwrotnie. Gdy wygasły tamte emocje, Lempart nie bardzo ma na czym budować swoją markę. Ostatnio zaangażowała się w walkę o praworządność, stając się jedną z twarzy „Porozumienia dla Praworządności”, wspólnej inicjatywy partii opozycyjnych i antypisowskich ruchów obywatelskich, ale raczej nie jest to coś, co ją na nowo poniesie.

Dziś na jej proaborcyjne happeningi przychodzą głównie zaprzyjaźnieni dziennikarze, a po ostatniej akcji z panią sprząającą także pojedyncze osoby z wiadrami i mopami. W Sztumie wiadro z mopem przyniósł jej rolnik, w Tczewie podobną akcją zrobiła Młodzież Wszechpolska. I to z tą historią jeszcze przez długi czas będzie kojarzona. Będzie się to za nią ciągnąć, a kto wie, czy nie przekreśli jej politycznych planów, tak jak sprawa alimentów przekreśliła plany Mateusza Kijowskiego. W obu przypadkach chodzi o wiarygodność. Ktoś, kto chce walczyć o prawa kobiet, nie może kobiet nie szanować, bo wizerunkowo jest to nie do obrony. Fakt, że pani Lempart tego nie rozumie, nie wróży dobrze jej politycznej karierze.



Posługiwanie się nieprawdą nie przysparza prof. Janowi Grabowskiemu (na zdjęciu) i jego krucjacie sojuszników FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Czekając na opamiętanie



Tomasz Rowiński

Zapewne to rodzaj naiwności, ale wciąż na nowo zdumiewa mnie poziom agresji skierowany przeciwko polskiemu państwu w sprawach dotyczących upamiętnienia ofiar nazizmu. Agresja ta przejawia się przede wszystkim w nazbyt częstym powtarzaniu nieprawdziwych informacji, które stają się podstawą do akcji krytycznych, niejednokrotnie poddawanych potem umiędzynarodowieniu

Niedawno szwedzki dziennik „Dagens Nyheter” opublikował na swoich łamach artykuł prof. Jana Grabowskiego i Katarzyny Markusz krytykujący udział wicepremiera Piotra Glińskiego w Międzynarodowym Forum Pamięci o Holokauście i Zwalczaniu Antysemityzmu, które odbyło się w Malmö w pierwszej połowie listopada. Choć w tekście tym Polska została przedstawiona jako antysemicka dyktatura, to dziennik odmówił publikacji polemiki przedstawicielom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W tym samym czasie ktoś zainspirował prof. Eliyanę Adler, by nie przyjęła Nagrody im. Witolda Pileckiego. Oświadczenie amerykańskiej profesor w tej sprawie opublikował portal jewish.org,

którego Katarzyna Markusz jest redaktorem naczelnym. Ostatnio zaś przez media przetoczyła się kolejna gorsząca sprawa z udziałem prof. Jana Grabowskiego.

NOWA SZKOŁA HISTORII ZAGŁĄDY

Instytut Pileckiego w ramach swojej akcji „Zawołani po imieniu” 25 listopada br., w Dniu Kolejarza, upamiętnił w Treblince Jana Maletkę, młodego robotnika kolejowego, który został zastrzelony przez Niemców 20 sierpnia 1942 r. za podawanie wody Żydom wiezionym na zagładę. We wsi postawiono kamień upamiętniający to wydarzenie. Czym jest program „Zawołani po imieniu”? Mówiła o tym jakiś czas temu dr Anna Stróż-Pawłowska, kierownik Działu ds. „Zawołanych po imieniu” w Instytu-

cie Pileckiego: „W ramach programu »Zawołani po imieniu« upamiętniamy z reguły tych Polaków, którzy zamordowani zostali za udzielanie Żydom długotrwałej pomocy, przeważnie schronienia”. W tej samej wypowiedzi Stróż-Pawłowska dodawała, że „nie brakuje i takich historii, w których śmiercią karano nawet za jednorazowe, doraźne gesty, odpowiedzi na chwilową potrzebę”. Do takich przypadków należy tragiczny los Jana Maletki.

Na informację o upamiętnieniu polskiego kolejarza prof. Jan Grabowski zareagował agresywnym wpisem w mediach społecznościowych. Być może gdyby informacje w nim zawarte były prawdziwe, ostrość wypowiedzi dałoby się zrozumieć. Ale nie były.

„W wielu żydowskich i polskich świadectwach czytamy o Polakach sprzedających wodę Żydom przewożonym w pociągach śmierci do Treblinki. Ceny były wygórowane. Diamenty, złoto, pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Niektórzy z tych Polaków zostali zastrzeleni przez Ukraińców pilnujących pociągów. Dzisiaj osławiona pani Magdalena Gawin, polska minister kultury i osoba odpowiedzialna za Instytut Pileckiego, odsłoniła pomnik Polaka, który został zastrzelony »za przynoszenie wody do pociągów śmierci«” – napisał Grabowski. W tej sprytniej wypowiedzi nie padło bezpośrednie oskarżenie pod adresem Jana Maletki, ale ewidentnie został rzucony cień – i to nie tylko na zabitego kolejarza, lecz także na wszystkich Polaków, którzy starali się pomagać Żydom kierowanym do obozów zagłady. Jaka jest wymowa słów prof. Grabowskiego? Instytut Pileckiego upamiętnia szmalcownika. Retoryczne rozszerzanie odpowiedzialności Polaków za sytuację Żydów w czasie niemieckiej okupacji to często metoda przedstawicieli „nowej polskiej szkoły historii Zagłady”.

RADIO EREWAŃ

Chęć zniesławienia Instytutu kierowanego przez dr. Wojciecha Kozłowskiego znajdujemy też w innym fragmencie opinii prof. Grabowskiego. Padają tam słowa o „kampanii Instytutu Pileckiego mającej na celu zniekształcenie historii Holokaustu”. Te słowne nadużycia to jednak nie wszystko. Poważniejsze w tej konkretnej sprawie było podawanie przez Grabowskiego nieprawdziwych informacji o samym upamiętnieniu śmierci Jana Maletki, które odbiły się szerszym echem. Grabowski napisał, że Instytut Pileckiego na stacji kolejowej w Treblince postawił pomnik ku

czci Polaków, którzy zginęli za ratowanie Żydów. Miałoby to znaczyć, że „pomnik” stoi teraz w samym obozie.

Wypowiedź prof. Grabowskiego podobna jest do logiki żartu o Radiu Erewań. Po pierwsze, nie mamy do czynienia z pomnikiem, ale w sumie niewielkim kamieniem, który – po drugie – wcale nie upamiętnia Polaków w ogóle, ale tego jednego, konkretnego. I wreszcie po trzecie, kamień nie znajduje się przy obozowej stacji, ale we wsi Treblinka, kilka kilometrów od dawnego miejsca zagłady – dziś muzeum. „Wstyd dla pani, pani Gawin, wstyd dla Instytutu Pileckiego, wstyd dla Piotra Cywińskiego [dyrektora Muzeum Auschwitz-Birkenau – przyp. T.R.], który ich wspiera, i wstyd dla wszystkich, którzy przyłączają się do chóru wypaczania i negowania Holokaustu” – grzmiał w kolejnych akapitach swojej odezwy prof. Grabowski.

Do tej wypowiedzi odniosła się Magdalena Gawin, która napisała: „Termin »pomnik« mylący. To kamień polny z tablicą we wsi. Przypominanie o cenie pomocy może urazić wyłącznie sprawców [...] Dementuje kolejny fake news – we wsi Treblinka NIE MA STACJI KOLEJOWEJ, jest instalacja artystyczna upamiętniająca wywózkę Żydów do obozu śmierci. [...] Dementuję następny fake news: tablice upamiętniające są imienne, dotyczą konkretnych osób, które zginęły za pomoc. Wbrew temu, co powtórzył przy wielu okazjach zagranicznym naukowcom @jan-grabowski – nigdy nie mówimy, że pomagali wszyscy”.

Jednak mleko się rozlało i nieprawdziwe informacje zaczęły być powielane, m.in. w oświadczeniu przedstawicieli loży B'nai B'irith opublikowanym w mediach społecznościowych, a także w „Gazecie Wyborczej” 29 listopada br.:

„[...] Polska polityka historyczna sięgnęła granic obrzydliwości. Tym razem w wykonaniu wiceministry kultury, Magdaleny Gawin, która odsłoniła w Treblince – uwaga, w Treblince! – pomnik Polaków ratujących Żydów. Magdalenie Gawin, jej szefowi Piotrowi Glińskiemu, oraz nadszefowi obojga, pragniemy przypomnieć, że w obozie zagłady w Treblince zagazowano nas ok. 900 tys., a udział Polaków na rampie polegał głównie na sprzedawaniu wody za dolary, złoto i brylanty. Zanim Polska zaczęła stawiać pomniki dla Polaków na cmentarzach żydowskich, musi sobie przypomnieć o Żydach zamordowanych przy udziale Polaków. Byli, oczywiście, Polacy sprawiedliwi wśród narodów, którzy za-

płacili życiem za pomoc Żydom. Zasluguja na wieczną pamięć i uznanie za odwagę i piękny czyn – ale nie na tamtej rampie! Jak nisko upadły polskie władze w swej nędznej próbie zaspokojenia apetytów wyborców pragnących uwierzyć w tę heroiczną fantazję. Część naszych przyjaciół i krewnych przeżyła Auschwitz. Treblinkę przeżyła garstka, im należy się honor”.

Na ten list z kolei zareagowały władze gminy Małkinia, które przygotowały swoje oświadczenie. Przedstawione w nim zostały informacje dotyczące miejsca i sposobu upamiętnienia Maletki zniekształcone w wypowiedziach Grabowskiego i przedstawicieli B'nai B'irith – Sergiusza Kowalskiego i Adama Friedmana. Przypomniano także, że znajdujący się we wsi pomnik powstał z inicjatywy samych mieszkańców.

„[...] Nie jest prawdą, że wieś Treblinka zapomniała o Żydach – ofiarach Zagłady. Jedyny pomnik, jaki stanął we wsi Treblinka w miejscu dawnej stacji kolejowej, upamiętnia właśnie pomordowanych Żydów. W 2016 r. apel o upamiętnienie stacji [...] podpisało ponad 500 mieszkańców naszej gminy i skierowało go do Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, Polskich Kolei Państwowych S.A., Polskich Linii Kolejowych S.A., Mazowieckiego Zarządu Dróg Wojewódzkich, Muzeum Regionalnego w Siedlcach, Kurii Diecezjalnej w Drohiczynie, Urzędu Miasta i Gminy w Kosowie Lackim, Urzędu Gminy w Małkini Górnej oraz Muzeum Walki i Męczeństwa w Treblince”.

Czy opinie wyrażone przez prof. Jana Grabowskiego i oświadczenie loży B'nai B'irith znajdują szersze echo? W wywiadzie udzielonym portalowi OKO.press 30 listopada Grabowski mówił: „W wypadku niedawnych uroczystości rzeczą najbardziej niechlebną, skandaliczną wręcz, jest użycie nazwy »Treblinka«. To nazwa zastrzeżona, symboliczna, to nazwa, która może jedynie odnosić się do miejsca, w którym zamordowano 900 tys. Żydów. [...] to, że odsłonięcie tego skandalicznego pomnika nie spotkało się z powszechnym krzykiem oburzenia, jest smutnym świadectwem stanu, w jakim obecnie znajduje się nasze społeczeństwo”. Czy współczesna Treblinka powinna zniknąć, razem z jej mieszkańcami, skoro kilka kilometrów obok znajduje się miejsce zagłady? Trudno oprzeć się wrażeniu, że nawet przeprowadzający wywiad Adam Leszczyński wprowadzał do swoich pytań ton sceptyczny wobec niektórych tez Grabowskiego. Można żywić przekonanie, że posługiwanie

się nieprawdą nie przysparza prof. Grabowskiemu i jego krucjacie sojuszników nawet w jego własnym kręgu.

OSAMOTNIONY GRABOWSKI

Cofnijmy się o kilka dni. 23 listopada br. na łamach „The Jerusalem Post” ukazał się artykuł będący relacją z rozmowy dziennikarza z Janem Grabowskim. Wynika z niego, że badacz jest w Polsce właściwie prześladowany i musi uważać, co mówi, by nie spotkać się z reperkusjami. Polacy zaś całkowicie wypierają prawdę o swojej „kolaboracji” z Niemcami i w dodatku jest im obojętne, co na ten temat myśli się w Izraelu. Oczywiście nie dowiadujemy się z tego artykułu niczego o tym, że jakoś prac prof. Grabowskiego jest kwestionowana przez innych historyków, a on sam nie potrafi się do tych słów krytyki odnosić merytorycznie. Z artykułu nie dowiadujemy się także, że krytyka pod adresem Grabowskiego dotyczy choćby tego, że przypisuje on Polakom sprawczość w zagładzie żydowskich współobywateli w czasie, gdy oni sami funkcjonowali w sytuacji niespotykanego terroru. Przypomnijmy, że Niemcy zabili 3 mln nieżydowskich obywateli polskich, a tymczasem przekaz Grabowskiego skłania odbiorcę do przekonania o bliskich i kooperacyjnych stosunkach niemieckich władz i polskiej ludności. Przykładem takiej narracji był np. głośny wywiad dla „Gazety Wyborczej” pt. „Pomagaliśmy Niemcom mordować Żydów”.

Jednak i w artykule „TJP” da się dostrzec nutę osamotnienia prof. Grabowskiego, np. w kwestii szacowania liczby żydowskich ofiar, które miały zginąć z ręki Polaków. Grabowski w roku 2018 przytoczył liczbę 200 tys. osób, powtórzoną przez dziennik „Haaretz”. Tymczasem niedługo potem „TJP” zanegował te szacunki, dowodząc, że Grabowski, opierając się na ustaleniach Szymona Datnera z roku 1970, popełnił błąd badawczy. W rzeczywistości chodziło o 100 tys. ofiar niemieckich i 100 tys. ocalonych przez Polaków. Czy te kolejne przykłady mijania się z prawdą nie są właściwą przyczyną, dla której, jak mówi w „TJP” prof. Grabowski, nie znajduje wsparcia w swoich działaniach?

Przeglądając profil prof. Jana Grabowskiego w mediach społecznościowych, cytowane wcześniej stanowisko w sprawie upamiętnienia Jana Maletki zniknęło. Co można powiedzieć? To dobrze, zawsze to jakiś znak opamiętania, choć zapewne nietrwały.

Dlaczego nie chcą żyć?



FOT. ADRIAN STOK



Agnieszka Niewińska

Blisko 100 nieletnich rocznie ginie śmiercią samobójczą. Ci, którzy mają myśli suicydalne, mówią o depresji, osamotnieniu czy braku rozmowy z dorosłymi o swoich problemach

Zuzia i Kinga miały zaledwie 13 lat. Dwa dni przed rozpoczęciem roku szkolnego odebrały sobie życie. Rodzice wszczęli alarm, gdy nastolatki nie wróciły na noc. Policja podjęła poszukiwania, które zakończyła już rankiem następnego dnia, kiedy to ciała nastolatki znalazł spacerowicz. Dziewczynki powiesiły się w mazowieckim Dobczynie, zaledwie kilkaset metrów od domu jednej z nich. – One musiały to zaplanować – mówił w rozmowie z „Faktem” sołtys miejscowości Paweł Kurek. – To taka cicha, normalna rodzina. Ogromna tragedia – mówił o bliskich nastolatki z Dobczyna.

KAŻDEGO DNIA KILKA INTERWENCJI

Taka tragedia dotknęła nie tylko rodziny Zuzi i Kingi, lecz także niemal setki

innych. Z danych udostępnionych nam przez Komendę Główną Policji wynika, że tylko między styczniem a wrześniem bieżącego roku (to w tej chwili najaktualniejsze dane) życie odebrało sobie 92 dzieci i nastolatków do 18. roku życia, podczas gdy w całym 2020 r. samobójczą śmiercią zginęło 107 dzieci i nastolatków. Martwić powinien wzrost liczby prób samobójczych w tym roku. Od stycznia do września dzieci i młodzież podjęły aż 1005 prób samobójczych wobec 843 w całym 2020 r. To niemal 10 proc. zarejestrowanych przez policję zamachów samobójczych z dziewięciu miesięcy tego roku (ogółem było w tym czasie prawie 10,3 tys. prób samobójczych). Ten odsetek wzrósł w porównaniu z poprzednimi latami, kiedy oscylował wokół 7 proc.

– Z danych, które do nas docierają, wynika, że w 2021 r. liczba samobójstw dzieci i młodzieży może być niższa niż w 2020 r. – informuje nas biuro prasowe Rzecznika Praw Dziecka. Jednak prof. Brunon Hołyst, kryminolog i prezes Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego, zastrzega, by w najbliższym czasie nie oczekiwać zbyt wielu optymistycznych informacji. – Niestety, liczba prób samobójczych zarówno wśród dorosłych, jak i nieletnich w najbliższym czasie będzie rosła, później się ustabilizuje – mówi prof. Hołyst. I zwraca uwagę na czynniki, które są temu winne. – Ostatnie niemal dwa lata pandemii przyniosły wiele ciężkich przeżyć.

Ludzie martwią się o życie, zdrowie, inflację. Osłabły więzy międzyludzkie, brakuje nam wsparcia, serdeczności. Za dużo ze sobą wojujemy, człowiek jest człowiekiem – mówi prof. Hołyst i dodaje, że taka sytuacja musiała odbić się na młodzieży. – W pandemii młodzi ludzie stracili rzeczywisty kontakt z rówieśnikami i z pedagogami. A rodzice przenieśli punkt ciężkości z wychowania dzieci na osvajanie pandemicznej rzeczywistości, reagowanie na mnożące się problemy życia codziennego.

Osamotnione dzieci coraz częściej kontaktują się z telefonami zaufania. Na numer 116 111 – telefon zaufania dla dzieci i młodzieży, który od 13 lat prowadzi Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę – dzwoni coraz więcej młodych ludzi, którzy mają myśli samobójcze albo wręcz konkretny plan odebrania sobie życia. – Kiedy otwieraliśmy telefon zaufania, w ciągu miesiąca odbieraliśmy co najwyżej kilka telefonów od dzieci, które mówiły nam o myślach samobójczych. W tej chwili takich telefonów mamy kilkanaście w ciągu jednego dnia. Nawet trzy-cztery razy dziennie podejmujemy interwencje, wzywając służby ratunkowe do dzieci, których życie jest zagrożone. Mówią nam, że już nie chcą żyć, czasem także, że mają zaplanowany sposób na odebranie sobie życia. Tych interwencji z roku na rok jest coraz więcej. W 2018 r. było ich 346, w 2019 r. – 518, w 2020 r.

– 747. Niestety, w tym roku ta liczba będzie jeszcze wyższa, bo już pod koniec listopada było ich tyle, ile w całym ubiegłym roku – mówi psycholog Katarzyna Łukasiuk-Kalska z telefonu zaufania Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę.

Dziecięcy Telefonu Zaufania 800 12 12 12 i specjalny czat internetowy prowadzi także Rzecznik Praw Dziecka. Od grudnia 2020 r. są one całodobowe. – Odnawiamy znaczący wzrost połączeń telefonicznych i na czacie, odpowiednio zwiększyła się także liczba zgłoszeń dotyczących myśli samobójczych – przyznaje biuro prasowe RPD.

Katarzyna Łukasiuk-Kalska z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę podkreśla, że dzieci dzwoniące na telefon zaufania często zwracają uwagę na problemy ze zdrowiem psychicznym, mówią o obniżonym nastroju, braku sensu życia, samotności, zagubieniu, braku rozmowy z dorosłymi o swoich kłopotach. – Dorosłych dziwi to, że dziecko może nie chcieć żyć, skoro z ich perspektywy ma wszystko zapewnione – świetny sprzęt, dobrą szkołę, masę zajęć pozalekcyjnych. Tyle że często nie ma czegoś ważniejszego – uwagi rodziców, akceptacji rówieśników, zrozumienia kogoś bliskiego. Ma za to problemy w szkole, doświadcza agresji, jest nieszczęśliwie zakochane, a po powrocie do domu nie ma z kim o tym wszystkim porozmawiać, bo nie chce martwić, zasmucać czy obarczać mamy albo taty – tłumaczy psycholog.

Może być też tak, że to w domu dziecko doświadcza przemocy lub ją obserwuje, jest świadkiem domowych awantur, nadużywania alkoholu. – W najtrudniejszej sytuacji są te dzieci, które problemy mają zarówno w szkole, wśród rówieśników, jak i w środowisku domowym – zaznacza Łukasiuk-Kalska. Przyznaje, że zgodnie z tym, co powtarza wielu psychologów, w pandemii dzieci znalazły się w jeszcze trudniejszej sytuacji, a dostęp do pomocy psychologicznej czy psychiatrów dziecięcych jest utrudniony. – W kwietniu ubiegłego roku, podczas pierwszego lockdownu, znacznie wzrosła liczba dzieci w kryzysie. W związku z izolacją, nauką zdalną pojawiło się wiele problemów, takich jak np. samotność, doświadczanie przemocy w domu czy cyberprzemoc. Brak spotkań z rówieśnikami sprawił, że konfliktów nie można było sobie wyjaśnić, a młodzież przemocowe treści rozsyłała za pośrednictwem komunikatorów. Nie było też możliwości spotkania ze szkolnym psy-

Osamotnione dzieci coraz częściej kontaktują się z telefonami zaufania. **Telefonuje coraz więcej młodych ludzi, którzy mają myśli samobójcze**

chologiem, pedagogiem, wychowawcą czy innym nauczycielem, do którego dziecko ma zaufanie i przychodzi z problemami.

ŚMIERĆ NA EKRANIE

Nie brakuje głosów, że to popkultura oswaja dzieci z tematem samobójstwa. Po śmierci Zuzi i Kingi w Dobczynie okazało się, że były fankami japońskich komiksów. Postać ich ulubionego komiksowego bohatera Osamu Dazai, o którym powstał też serial anime, jest inspirowana pisarzem znanym właśnie jako Osamu Dazai. Kilkakrotnie próbował on popełnić samobójstwo wraz z życiowymi partnerkami. Piąta próba okazała się udana.

Katarzyna z Warszawy, mama trojga nastoletnich dzieci, opowiada nam, że u najstarszej córki kilka lat temu zobaczyła wręcz fascynację samobójstwem. – To się zaczęło, kiedy obejrzała serial Netflixa „Trzynaście powodów”. W Internecie zaczęła wyszukiwać treści związane z samobójstwem. Byliśmy przerażeni stronami, które odwiedzała. Coraz częściej spory z nami kwitowała stwierdzeniem: „To ja się zabiję”. Nastolatki bez wątplenia żyją dzisiaj pod dużą presją, ale mam wrażenie, że to popkultura podpowiada im, że samobójstwo jest rozwiązaniem ich problemów – podkreśla.

Katarzyna Łukasiuk-Kalska przyznaje, że popularny serial „Trzynaście powodów” ukazywał samobójstwo bohaterki jako coś pięknego, symbolicznego, budzącego współczucie jej rówieśników i dającego odpowiedzi na ich pytania. – Tak przedstawiona śmierć samobójcza nie sprawi, że nagle nastolatek, który czuje się dobrze, odbierze sobie życie, jednak dla dziecka, które boryka się z problemami i nie widzi innego ich rozwiązania, bo jest z nimi same, może być inspiracją, zachętą. Filtrujemy treści, po które sięgają nasze dzieci, rozmawiamy z nimi o tym, co oglądają, czym się interesują. Omówienie tego, co na ekranie, może być bardzo dobrym sposobem na dowiedzenie się więcej o dziecku i jego widzeniu świata, jego

trudnościach – radzi Katarzyna Łukasiuk-Kalska. – Dzwoniącym do nas dzieciom tłumaczymy, że w rzeczywistości nie ma nic romantycznego i pomocnego w samobójstwie, ono nikomu nie daje żadnych odpowiedzi ani wytchnienia, a jedynie odbiera jakąkolwiek możliwość na poczuć się lepiej. Zawsze warto szukać innych, bezpiecznych rozwiązań.

LAMPKA OSTRZEGAWCZA

Jak nie przeoczyć tego, że z dzieckiem może dziać się coś niedobrego, że straciło chęć do życia? – Zwracamy uwagę na duże zmiany w zachowaniu, wyglądzie, nawykach, ocenach w szkole. Lampka alarmowa powinna nam się zaświecić, np. jeśli energiczne dotąd dziecko stało się apatyczne, nagle pojawiła się u niego agresja, wcześniej było towarzyskie, a przestało spotykać się z przyjaciółmi, znacznie pogorszyły się jego oceny, bardzo schudło lub przeciwnie – przytyło albo zaczęło nosić długie bluzki, które mogą służyć do ukrywania okaleczeń. Nie bagatelizujemy też żartów dziecka dotyczących popełnienia samobójstwa. Rozpocznijmy rozmowę na ten temat. Nazwijmy to, co zaobserwowaliśmy. Powiedzmy: „Widzę, że nie spotykasz się już z przyjaciółmi”, „Inaczej wyglądasz”, „Zaczęłeś się inaczej ubierać”. Nie bójmy się też skorzystać z fachowej pomocy psychologa. Tak jak z dzieckiem chodzimy do pediatry czy dentysty, tak w razie potrzeby powinniśmy się także konsultować z psychologiem – radzi Katarzyna Łukasiuk-Kalska.

Ci rodzice, którzy dostrzegą konieczność konsultacji psychologicznych czy też wizyty u psychiatry dziecięcego, muszą się niestety liczyć nawet z wielomiesięcznymi kolejkami do specjalisty, przepełnieniem na oddziałach psychiatrii dziecięcej. Zgodnie z kontrolą NIK z ubiegłego roku w Polsce 9 proc. dzieci i młodzieży poniżej 18. roku życia, czyli ok. 630 tys., wymaga pomocy ze strony psychologa lub psychiatry. Psychiatrów dziecięcych jest tymczasem jak na lekarstwo. Z danych NIK wynika, że w województwie podkarpackim na 1 tys. małoletnich pacjentów przypadał jeden lekarz. W jednej z kontrolowanych przez NIK przychodni na wizytę trzeba było czekać 120 dni. O sytuacji w psychiatrii dziecięcej nie mówi się już, że jest trudna, ale – dramatyczna. A samobójstwo setki dzieci oznacza, że każdego roku ze szkół znikają mniej więcej cztery klasy.



Trzech malarzy żartobliwie zwanych Hucułami – Kazimierz Sichulski, Fryderyk Pautsch oraz Władysław Jarocki (na zdjęciu obrazy tego ostatniego) – wyspecjalizowało się w opiewaniu życia wieśniaków

FOT. TOMASZ MARKOWSKI/MNK



Wiesław Chelminiak

Spór obrońców tradycji z entuzjastami nowoczesności dzieli Polaków co najmniej od trzech wieków. Artyści z autonomicznej Galicji próbowali pogodzić jedno z drugim

Poprzeczką wisiła wysoko: „Żądamy od sztuki naszej, aby była polską, na wskroś polską, bo jeśli utraci rodzimność, straci tym samym siłę i wartość, i swoją rację bytu. Ale oprócz tego winna być młoda, mieć w sobie ogień młodości, skrzydła orle, królewskiego ducha, płomiennego ducha Mickiewicza” – postulował w 1898 r. na łamach krakowskiego „Życia” Artur Górski, pseudonim Quasimodo. Swojskość w XIX stuleciu stała się podstawowym kryterium oceny twórczości. Paryska Akademia, pełniąca funkcję wyroczni, preferowała sztukę narracyjną, ilustrującą tematy wzięte z mitologii, Biblii, żywotów świętych, historii tudzież literatury. Nad Wisłą nieco zmodyfikowano tę hierarchię: największe wzięcie mieli twórcy inspirowani się narodową

historią, folklorem i rodzimym pejzażem. Zaczęło się od uwieczniania małopolskich wsi, potem przyszło zauroczenie Tatrami i góralszczyzną. Artyści lwowscy, dla których „domowymi górami” były Gorgany i Czarnohora, odkryli Huculów.

WIEŚ WSKAZUJE DROGĘ

„Polskie style narodowe 1890–1918” to pierwsza z czterech wystaw w Muzeum Narodowym w Krakowie poświęconych polskiemu widzeniu nowoczesności. Kolejne będą prezentować dokonania artystyczne z czasów II Rzeczypospolitej, PRL oraz współczesnych. Pomysłodawca cyklu i zarazem autor scenariusza ekspozycji Andrzej Szczerski podkreśla: „Nie była to nowoczesność wtórna czy naśladowcza. Polska kultura wypracowała oryginalne, odrębne, wartościowe, nowatorskie wzorce. Wywodziły się one z naszej tradycji”.

Historyzm i secesja, wyrafinowane style mieszczańskie, dla patriotów były zbyt kosmopolityczne. Wypracowanie narodowej estetyki miało być jasnym sygnałem, że Polacy wciąż nie pogodzili się z utratą suwerenności i będą dążyć do jej odzyskania. Warunkiem powodzenia tych planów było unarodowienie mieszkańców wsi. Lekceważona wcześniej sztuka ludowa stała się obiektem zainteresowania. Ba, wręcz apoteozy.

Nie byliśmy zresztą w tej kwestii osamotnieni. Na przełomie XIX i XX w.

europejskie elity zachłysnęły się chłopomania. Pasji etnograficznej towarzyszyło poszukiwanie stylu, który miał podkreślić cechy i aspiracje narodów. Zwłaszcza tych przeżywających odrodzenie, lecz pozbawionych państwowości.

NARÓD SZLACHECKI

Pierwsza część krakowskiej wystawy to prezentacja patriotycznego stroju. Kontusze i żupany kojarzyły się z konserwatyzmem. Demokraci, tacy jak „czerwony książę” Adam Sapieha, paradowali w mieszczańskich czamarach. Jak na ironię, często zamawiano je u wiedeńskich krawców. Jego Apostolska Wysokość Franciszek Józef wizytujący Galicję na widok wystrojonych w barwne, historyczne stroje urzędników i samorządowców stwierdził krótko: „Panowie, rozumiemy się”. Sarmacka moda w zaborze austriackim przeżyła drugą młodość, równie mile widziana przez władze i opinię publiczną. Fascynację dawną kulturą szlachecką podsycali ówczesne bestsellery: „Pan Tadeusz”, „Pamiętki Soplicy” i „Trylogia” Sienkiewicza.

W 1867 r. we Lwowie powstało Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. Oficjalnym celem było propagowanie sportu i krzewienie tężyzny fizycznej, nieoficjalnym: przygotowanie kadr do przyszłego powstania.

Wskazywał na to mundur Towarzystwa, składający się z czerwonej koszuli,

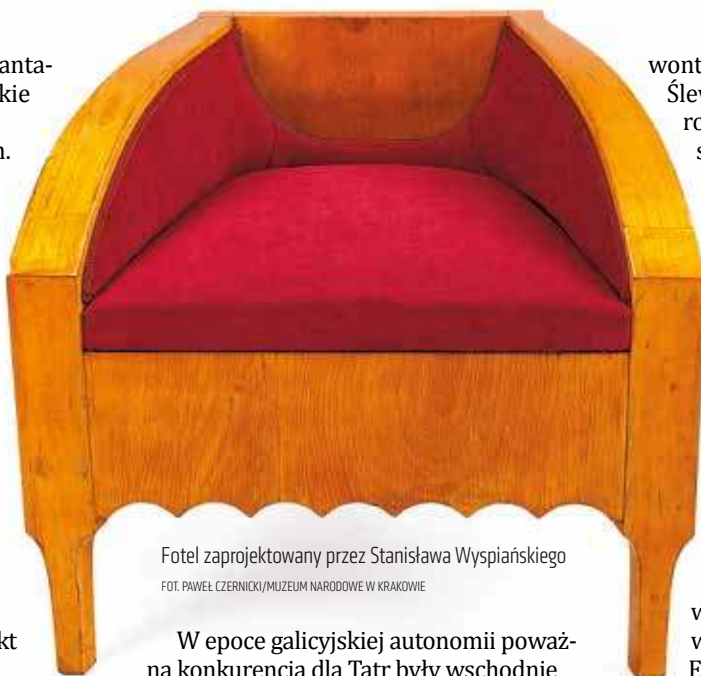
kościuszkowskiej czamarki, pantalonów wpuszczanych w wysokie buty z cholewami i czapki batorówki z rogatym denkiem. W oddziale krakowskim członkowie nosili początkowo rogatywki z długim pawim piórem. Na co dzień żupan i delia przegrywały jednak z frakiem i surdudem. Kobiety też podążały raczej za modą zachodnią.

Przybysz ze Żmudzi, Stanisław Witkiewicz, szydził: „W Galicji jest zupełna swoboda, wolno grać i śpiewać »Jeszcze Polska nie zginęła«, wolno mówić o jej odbudowaniu, wolno chodzić w kontuszach i z karabelami u boku. Swoboda ta wynika stąd, że nikt nie wierzy, że Ona nie zginęła, nikt nie dąży do jej odbudowania, a kontusze i karabele stały się etnograficznym znakiem, po którym poznaje się Polaków wśród tłumu lojalnych poddanych”.

PIAST Z KRUPÓWEK

Młode pokolenie artystów (o mieszczańskich zwykle korzeniach) nawet jeśli wprost nie odrzucało szlacheckich, to wolało czerpać natchnienie z twórczości ludowej. Fundamenty pod utożsamianie chłopskiej sztuki z narodową położył wspomniany Witkiewicz, który w 1890 r. zamieszkał w Zakopanem. Na portrecie pędzla Jacka Malczewskiego widać, że był to człek z lekka nawiedzony, lecz zdołał zarazić swoją miłością do gór rodaków ze wszystkich zaborów. Pobyt na Podhalu stał się patriotyczną manifestacją.

Pan Stanisław całkiem serio wierzył, że Tatry mogą uleczyć Polaków nie tylko z gruźlicy, lecz także z umysłowej nędzy i niemocy. W górach rozpoznał potomków Piastów, którzy – odcięci od obcych wpływów – przechowali najstarsze polskie tradycje. Ta koncepcja spodobała się także Sienkiewiczowi – podhalańską gwarą mówią bohaterowie „Krzyżaków”. Styl zakopiański, który Witkiewicz stworzył i z uporem lansował, nie spełnił pokładanych w nim nadziei, gdyż opierał się na micie zbyt odległym od rzeczywistości. Żyje nadal, w karykaturalnej wersji, w budownictwie i przemysle turystycznym. Nic natomiast nie zostało z idei Zakopanego – miasta ogrodu – tudzież wizji Podhala jako ojczyzny wszechstronnie utalentowanych turbo-Polaków.



Fotel zaprojektowany przez Stanisława Wyspiańskiego
FOT. PAWEŁ CZERNICKI/MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

W epoce galicyjskiej autonomii poważną konkurencją dla Tatr były wschodnie Karpaty. Dla świata oryginalną kulturę ich mieszkańców odkrył Oskar Kolberg. W 1880 r. ojciec polskiej etnografii współorganizował poświęconą Hucułom wystawę w Stanisławowie i Kołomyi. Zaszczycił ją obecnością i pochwalił sam cesarz. Górale z Gorganów i Czarnohory nie mieli swojego Witkiewicza, wcale go jednak nie potrzebowali. Malowniczość ich strojów i obyczajów wystarczyła, by uwieścił młodzi polscy artyści.

Trzech malarzy żartobliwie zwanych Hucułami – Kazimierz Sichulski, Fryderyk Pautsch oraz Władysław Jarocki – wyspecjalizowało się w opiewaniu życia wieśniaków znad Prutu i Czeremoszu. Jednym z najpiękniejszych eksponatów wystawy jest tryptyk „Madonna huculska” Sichulskiego, wypożyczony z wiedeńskiej galerii Belvedere. Huculszczyzna, szalenie popularna we Lwowie, nie mogła jednak aspirować do miana polskiego stylu narodowego. Greckokatolickich górali za swoich uznał bowiem rosnący w siłę ruch ukraiński.

PODZIWIAC, NIE UŻYWAĆ

Motywy podhalańskie pojawiły się również w modzie, jednak nie uzyskały akceptacji poza wąskim kręgiem artystycznym. Mimo apelów autorytetów i organizacji polskie elegantki oglądały się bardziej na Paryż niż na Zakopane. Góralszczyzna, zanim spowszedniała, zdążyła na szczęście natchnąć najlepszych polskich malarzy przełomu XIX i XX w.: Leona Wyczółkowskiego, który zilustrował legendę o śpiących pod Gie-

wontem rycerzach, czy Władysława Słewińskiego, który osiadł w Poroninie. Na Krupówkach zaroilo się od pejzażystów. Stanisław Gałek zaproponował kolegom, by każdy z nich malował inną część Tatr. Dla siebie zarezerwował Morskie Oko.

Na krakowskiej wystawie bardziej od obrazów rzucają się w oczy drewniane meble, zwłaszcza te wykonane przez Wojciecha Brzęgę, pierwszego górala z wyższym wykształceniem artystycznym. Fantazyjne biurko zamówił u niego poeta Jan Kasprówicz. Wyróżnia się też porcelanowy serwis do kawy w stylu zakopiańskim wyprodukowany we Francji według projektu Witkiewicza. Fakt, że górale kawy nie pili, urody mu nie odbiera. Miłośnik

Podhala zaprojektował też stylizowaną na kapliczkę obudowę zegara, podarowanego Sienkiewiczowi z okazji jubileuszu 25-lecia pracy twórczej. Cyfry wskazujące godziny zastąpiono inicjałem imienia pisarza oraz 11 literami jego nazwiska. Na tarczy wygrawerowano zaś ilustracje epizodów z utworów noblisty. Ten jedyny w swoim rodzaju czasomierz na co dzień można podziwiać w muzeum w Obłęgorku.

Styl huculski reprezentuje między innymi komplet mebli wykonany w Państwowej Szkole Zawodowej Przemysłu Drzewnego w Kołomyi dla mjr. Henryka Gąsiorowskiego. Snycerze nie zapomnieli o lampie, lustrze i kołyszce. Uwagę zwracają również huculska ceramika oraz pamiątka z Kosowa: ekrytuar, czyli bogato inkrustowany przybornik gabinetowy. Zestaw, wyrzeźbiony przez Wasyla Dewdiuka, obejmuje umieszczone we wspólnej podstawie dwa kałamarze i dwa pióra tudzież linijkę, bibularz i nóż do papieru. Bardzo praktyczna rzecz, czego nie można chyba powiedzieć o krzesłach zaprojektowanych przez Stanisława Wyspiańskiego. Tadeusz Boy-Żeleński, którego rodzice uwierzyli w designerski talent czwartego wieszczka, twierdził, że trudno było na nich usiedzieć. Eksponatów nie można dotykać, lecz uprzejmie informuję, że jedno z owych krzesel trafiło na krakowską wystawę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Polskie style narodowe 1890–1918” w Gmachu Głównym Muzeum Narodowego w Krakowie jest otwarta do 2 stycznia 2022 r.



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Gdyby podobnie ciepły film powstał o którymś ze świętych Kościoła katolickiego, media całego świata rechotałyby, że to nie kino, tylko kicz, że nie biografia, tylko laurka ku czci. Richard Williams to postać w najlepszym przypadku wieloznaczna i kontrowersyjna. Kto czytał o nim więcej, ten mógłby dopowiedzieć nawet: wieloznaczna i ponura. Są te artykuły powszechnie dostępne w Internecie, niektóre nawet po polsku. Oto gość, który rozsypywał na korcie rozbite butelki, żeby córki musiały zwinąć skakać po korcie; który płacił hejterom za obsypywanie dziewcząt obelgami, żeby uczyły się, jak być twardym we wrogim otoczeniu. Wszystko to z... no właśnie: Na ile z miłości do córek, a na ile z miłości do pieniędzy?

Historię piszą zwycięzcy. Skoro Serena i Venus Williams zostały multimilionerkami i ikonami współczesnego sportu, to znaczy, że tatuś Richard miał rację, nieprawdaż? Wspieram tych, którzy pokręcają głowami, mrużąc: „Nie takie to proste”. Tyle że w docieraniu do prawdy film „King Richard: Zwycięska rodzina” pomocny nam nie będzie. Takie są pułapki kręcenia (czy pisania) biografii autoryzowanych. Jak można się było spodziewać surowej prawdy, mrocznych zakrętów i jeszcze mroczniejszych podejrzeń, skoro główny bohater jest konsultantem i współproducentem filmu? Twórcy wpadli więc w tę samą pułapkę, która pożarła autorów „Bohemian

0 pożytkach z kiczu



Piotr Gociek

Ckliwa opowieść o ojcu sióstr Venus i Sereny Williams zamienia się w hymn ku czci ciężkiej pracy, rodziny i posłuszeństwa. Jakież to zaskakujące w erze BLM

Rhapsody” o Freddie Mercury czy „Rocketmana” o Eltonie Johnie (ten drugi film był przynajmniej śmiały formalnie).

Nie spodziewajmy się więc, że w filmie „King Richard: Zwycięska rodzina” ujrzemy całą prawdę o panu Williamsie. Oczywiście nie powinniśmy tego oczekiwać nawet wtedy, gdyby to była opowieść nieautoryzowana – kino jest prawdziwym

zmyśleniem, co innego prawda czasu, a co innego prawda ekranu i tak dalej. Pamiętajmy jednak, że – wiem, zawsze irytuje to purystów historycznych – fikcja kinowa czy literacka udana jest wtedy, gdy prawdziwie ukaże ducha czasów oraz emocje i mechanizmy rządzące życiem bohaterów. To, że używa do tego zmyślenia, nie ma nic do rzeczy. Jak z tego punktu

widzenia wypada film Reinalda Marcusa Greena? Najmniej interesująco.

Z ciekawością i ze zrozumieniem spoglądałem na ekranowego Richarda Williamsa, bo sam znam takich ojców. I wy także ich znacie. Dzisiejszy świat ich nie dostrzega, pomija, obraża, lansując tezy o tym, że rodzina to jedynie patriarchalna obsesja, że każdy ojciec tylko bije, gwałci i zabija, gdyż taka jest jego męska natura i tak dalej. Ja, powtórzę, znam takich ojców i nie jestem w tym osamotniony. Harujących jak woły, dorabiających po godzinach, niosących na własnych barkach nie tylko dom, lecz także ciężar przyszłości swoich dzieci. Ich uniwersalna odpowiedzią na wszelkie przeciwności losu jest westchnąć, zakląć w duchu, zakaść rękawy i pracować, żeby było lepiej.

PLAN PISANY DUŻĄ LITERĄ

Opowieść o rodzinie Williamsów jest o tyle specyficzna, że cel jest dużo ambitniejszy niż posłanie dzieci do lepszej szkoły albo zapewnienie im normalnych wakacji (żeby się równieśniczki z bogatszych rodzin nie śmiały). Plan Richarda Williamsa to zaiste „Plan” pisany wielką literą, ogarnięty jest on bowiem żądzą sukcesu, czyli wielkich pieniędzy. Ujrzawszy pewnego razu w telewizji, że młoda tenisistka odbiera za jeden występ czek na kwotę wyższą niż jego roczne zarobki, myśli sobie: „Hej, to jest droga do bogactwa!”. Rozumiem tę fascynację, ale trzeba przyznać, że powracające w filmie (i zaczerpnięte z rzeczywistości) hasło: „Zaplanowałem ich karierę, zanim jeszcze się urodziły” jest przerażające. Córki jako zwierzątka hodowlane, których jedynym celem jest zapewnienie tatusiowi odpowiedniej kwoty w milionach dolarów? Ejże, a co z prawami dziecka, wolnością młodzieńczą, ze wszechobecnym dziś hasłem: „Bądź sobą!”?

To dla mnie jedna z najciekawszych kwestii, które biografia autoryzowana musiała pominąć. Bo ekranowe wytłumaczenie trąci mi fałszem: małe Williamsówny są szczęśliwe, bo zawsze chciały – dziwnym trafem – robić akurat to, czego chciał Król Ryszard. Uwierzę, kiedy Serena i Venus będą miały po 80 lat, starego Williamsa nie będzie już na świecie, a one zdecydują się szczerze opowiedzieć, jak było naprawdę. Bez filtrów specjalistów od PR. Na razie – powtórzę – zapraszam do sięgnięcia po źródła inne niż omawiany film. Odkrycie, że Richard Williams to w realu postać dużo mniej sympatyczna.

Co nie zmienia faktu, że grający go Will Smith robi bardzo dobrą robotę. Dawny trefniś Hollywood (od sitcomu „Bajer w Bel-Air” do „Bad Boys” czy „Facetów w czerni”) od lat marzy o szacunku zarezerwowanym dla „poważnych” aktorów. Miał już nominacje do Oscara za role w filmach „W pogoni za szczęściem” i „Ali”. Teraz kolejna wpadnie do jego kieszeni, to pewne, ale czy zamieni się w statuetkę, zobaczymy. Dla mnie faworytem jest Benedict Cumberbatch (pisałem o tym tydzień temu) za fenomenalną rolę w „Psich pazurach” Jane Campion. Will Smith doskonale oddaje na ekranie ów upór rodzica-muła skoncentrowanego na jednym celu – żeby córki wyszły na ludzi. Na szczęście upór nie jest jego jedyną zaletą. Dziwnie to zabrzmi w kontekście sławnych i bogatych dziś bohaterów opowieści – czyli sióstr Williams – ale „King Richard” to film o rodzicach, a nie o dzieciach.

Dodajmy też od razu, że Saniyya Sidney i Demi Singleton jako Venus i Serena Williams są fenomenalne. Naturalne i wdzięczne jak dorastające właśnie podlotki (oglądamy kluczowy moment ich kariery – wejście w świat zawodowego tenisa i pierwsze poważne próby), a zarazem doskonale oddające rozmaite manieryzmy, z których pamiętamy dorosłe już bohaterki – wszak niejedną transmisję człek oglądał. Jest tu świetna scena, kiedy Venus wkracza na kort, by zagrać pierwszy mecz w swoim pierwszym turnieju juniorów. Spójrzcie na wyraz jej twarzy, na wydęte lekko usta, na tę mieszaninę arogancji i lekkości. Wszystko się zgadza.

Na drugim planie show kradnie Joe Bernthal jako Rick Macci, trener sióstr Williams, który nie bał się zainwestować własnych pieniędzy i czasu w karierę młodych tenisistek. I w latach 1991–1994 odpowiadał za ich pierwsze wielkie sukcesy. Bernthal obsadzany był dotąd w rolach osobników chmurnych i skłonnych do przemocy, zmiana klimatu robi mu bardzo dobrze (a Williamsowie zmieniają dzięki niemu klimat na poważnie – przeprowadzając się, by żyć i trenować pod okiem Macciego na Florydzie).

USPRAWIEDLIWIANIE GRZECHÓW

Tym, co szwankuje w filmie Greena, jest scenariusz Zacha Baylina, ale trudno



REŻ. REINALDO MARCUS GREEN
„KING RICHARD:
ZWYCIĘSKA
RODZINA”
USA 2021

go winić, pamiętając o nadzorze ze strony papy Williamsa. Gładkie to wszystko i konwencjonalne, bez większych emocji. Początkujący reżyser (wcześniej kilka lat kręcił dla telewizji „King Richard” to jego drugi film kinowy) nie ma ręki do scen sportowych – poważna wada jak na film o sporcie, nieprawdaż? – więc tenisowe zmagania są średnio emocjonujące. Amerykańscy recenzenci

też te grzechy zauważają, ale od razu zabierają się do usprawiedliwiania i podkreślania innych zalet opowieści: że jest to „success story”, którego afroamerykańska mniejszość bardzo dziś potrzebuje, że Venus i Serena Williams to ikony dla czarnoskórej mniejszości i tak dalej.

„King Richard: Zwycięska rodzina” to rzeczywiście film, który krzepi i który daje nadzieję oraz podpowiada: „Sky is the limit!”. Siłą rzeczy takie historie muszą być nieco kiczowate i tak dzieje się z obrazem Greena. Są jednak nieoczekiwane pożytki z tego kiczu, które w dodatku mogą okazać się mocno niepoprawne politycznie. Dlaczego rodzina Williamsów odnosi sukces? Bo jest rodziną, to znaczy pełną rodziną. Odsyłam państwa do licznych opracowań naukowych na temat tego, jak bardzo za rozmaite patologie dotyczące afroamerykańską mniejszość w USA odpowiada to, że często są to rodziny rozbite, a mówiąc wprost – rodziny bez ojców. Zatem po pierwsze: ojciec gwarantem sukcesu. Następna kwestia: fenomen sióstr Williams polega także na tym, że robią karierę w „białej grze”. Choć rozmaici trenerzy podpowiadali: A może lepiej, żeby zostały koszykarkami? Zatem po drugie: Chcesz być szanowany przez białych? Pokaż, że jesteś równie dobry albo nawet lepszy. Zagraj w ich grę, zamiast siedzieć w kącie i narzekać, że cię krzywdzą, żeś od pokoleń ofiarą. Weź swoje sprawy we własne ręce. Co prowadzi nas do trzeciej, jakże niepoprawnej dziś politycznie konkluzji: Chcesz zrobić karierę? Ciężko pracuj. Ćwicz, trenuj, pracuj. A potem pracuj, trenuj, ćwicz. I jeszcze raz. I jeszcze. Nie jest to gwarancją sukcesu, ale jest podstawą. Palenie sklepów białasów oraz wyzywanie policjantów od psów najprawdopodobniej nie zaprowadzi do finału Wimbledonu.



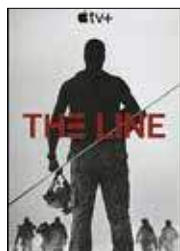
FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Honor wojownika



★★★★★
REŻ. DOUG SHULTZ, JEFF ZIMBALIST
„THE LINE”
USA 2021,
DOKUMENTALNY

Niewiele mówiło się o tej sprawie w polskich mediach, ale w Stanach Zjednoczonych przez wiele miesięcy była tematem wyjątkowo gorącym. Temperaturę i wagę sporu udało się uchwycić w czteroczęściowym serialu dokumentalnym wyprodukowanym przez Apple TV+. W centrum kontrowersji znajdował się Eddie Gallagher, członek elitarnych Navy SEALs oskarżony o zbrodnię wojenną – miał zadźgać rannego nastoletniego bojownika ISIS.

Medialny i polityczny spór (w który włączył się także ówczesny prezydent Donald Trump) wykracza daleko poza ustalenie

prawdy o tym, co rzeczywiście stało się podczas bitwy o Mosul. Kwestia jest szersza: Jakimi sposobami można prowadzić walkę z bezlitosnym wrogiem? (Nie mam wątpliwości – nikt w ISIS nie miałby za złe własnemu bojownikowi zadźgania choćby i pięcioletniego Amerykanina). Z jednej strony szkolimy specjalistów od załatwiania za nas (i z dala od naszych oczu oraz sumień) spraw brudnych, lecz wymagających załatwienia. Z drugiej chcemy mieć poczucie komfortu, że jesteśmy po właściwej stronie, że od wroga odróżnia nas to, że walcząc w imię dobra, pewnych granic nie przekraczamy. Ale gdzie przebie-



ga ta linia? Czy specyfika współczesnych mediów (zwłaszcza społecznościowych) sprawia, że trzeba wytyczyć ją inaczej?

Niesamowite wrażenie sprawia fakt, że sam oskarżony obszernie wypowiada się na ekranie – podobnie jak ci, którzy go oskarżali (żołnierze jego własnego plutonu) i ci, którzy go bronili. Unikatowe nagrania pozwalają nam zajrzeć w miejsce strzeżone wojskową odmianą omerty – specjaliści nie rozmawiają z nikim o własnych sprawach i zwykle przestrzegają tego kodu milczenia. Dlaczego tym razem było inaczej? „The Line” to jeden z najlepszych (jeśli nie najlepszy) dokumentów roku, opowiedziany w zaskakująco – jak na dzisiejszą podzieloną Amerykę – wyważony sposób. Podobnie jak w świetnym „9/11: Inside the President’s War Room” (także od koncernu z nadgryzionym jabłuszkiem), historię opowiadają ci, którzy ją tworzyli, a zamiast taniej sensacyjności dostajemy poważny, bogaty materiał do przemyślenia. ©©



NOWE SERIALE: „ARCANÉ”

Serial inspirowany popularną grą „League of Legends” i służący jako opowieść o początkach lubianych przez internautów postaci. Nie brzmi to zachęcająco, ale „Arcane” zaskakuje. To chyba najlepszy rysunkowy serial roku, świetnie animowany, wizualnie dopieszczony. Steampunkowa opowieść z postaciami jak z Dickensa, ale

mieszająca to wszystko z miejską fantazją. Zdecydowanie zasługuje na uwagę, ale skala sukcesu zaskoczyła chyba nawet samych twórców: „Arcane” błyskawicznie zdetronizował w Netflixie megahit ostatnich miesięcy, czyli „Squid Game”. ©©

Piotr Gociek

• sezon 1 „Arcane”; USA 2021, animowany

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 2 „Przybysze” („*Beforeigners*”), Norwegia 2021
- sezon 3 „Zagubieni w kosmosie” („*Lost in Space*”), USA 2021
- sezon 1 „Planeta Singli. Ośiem historii”, Polska 2021

Taniec z wicehrabią



Gustave Flaubert, który urodził się 200 lat temu, pozostawił nam w spadku najbardziej nowoczesną z klasycznych powieści. „Panią Bovary” zekranizowano 12 razy. Francuzi preferują solenną adaptację Chabrola z Isabelle Huppert w roli tytułowej. U nas dostępna jest brytyjska, trzydziestoletnia wersja. Niezgorzej oddaje ducha oryginału, lecz z jednym – dość istotnym – zastrzeżeniem. Scenarzystka Heidi Thomas złagodziła wizję pisarza, który dla swych

bohaterów nie miał żadnej litości. Reszta jest jak trzeba. Pierś Emmy faluje, gdy tańczy z wicehrabią, kłamie, zadłuża się i gna ku zatraceniu. Pocziwy doktor Bovary puszcza krew każdemu pacjentowi, a dwaj przystojniacy cedzą piękne słówka, które tak lubią romantycznie usposobione niewiasty. Dramat normandzkiej kuzynki Barbary Niechcic rozgrywa się przy wtórze muzyki Chopina. Fryderykowi zdarzyło się koncertować w Rouen. Może się spotkali? ©©



★★★★★
REŻ. TIM FYWELL
„PANI BOVARY”
(„MADAME BOVARY”)
WIELKA
BRYTANIA 2000

wyst. Frances O'Connor, Hugh Bonneville, Greg Wise

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OSTATNIA USTAWKA

KINO

Hołd dla klasyki musicalu i nic więcej, niestety. Spielberg postanowił odświeżyć przykurzoną legendę „West Side Story” bez jej współczesniania. Zmiany, które wprowadził do fabuły, mają charakter kosmetyczny. Para kochanków wybiera się na wycieczkę do zdesakralizowanego kościoła, by Maria mogła przekonywać Antona do zaniechania przemocy – jak barmanka Krystyna Mačka Chelmińskiego. „Głupi Polaczek” nie sprawia wrażenia gościa, który zaliczył odsiadkę. Reżyser zmienił płęć jego mentora, by w obsadzie znowu mogła znaleźć się Rita Moreno. Słychać więcej języka hiszpańskiego, napażanki są bardziej realistyczne, jednak można by pomyśleć, że przez ostatnie 60 lat problem rasowy w USA stracił na ostrości. „Tu nie chodzi o skórę, tylko o terytorium” – przekonują sami siebie kumple Antona. Ich portorykańscy rywale mają na ten temat inne zdanie, jednak Spielberg – jak na pacyfistę przystało – tematu nie draży. Woli demaskować młodych chuliganów jako nieudaczników. Spielberg jedzie na autopilocie do ostatniej tzy i ostatniej nuty.



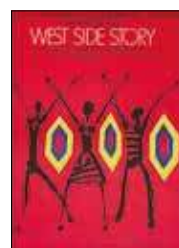
wyst. Rachel Zegler, Ansel Elgort, David Alvarez

★★★★★
REŻ. STEVEN SPIELBERG
„WEST SIDE STORY”
USA 2021

NEW YORK, NUEVA YORK



To był pewniak. Nikogo nie zdziwiło, że ekranizacja broadwayowskiej przeróbki „Romea i Julii” dostała 10 Oscarów. Oczywiście jest to Szekspir ugrzeczniiony. Za prezydenta Eisenhowera Stany Zjednoczone rosły w siłę, a ludzie żyli dostatniej. Szukające guza grupy wielkomięskich urwisów (gangi to stanowczo za mocne słowo)



wyst. Natalie Wood, Richard Beymer, Rita Moreno

★★★★★
REŻ. ROBERT WISE/JEROME ROBBINS
„WEST SIDE STORY”
USA 1961

nie spędzały służbom porządkowym snu z oczu. Czas młodzieżowego buntu dopiero miał nadejść. „West Side Story” jako reportaż społeczny ma w sobie tyle samo realizmu, ile socrealizmu. Nieśmiało przebija się wątek imigracyjny. Latynosi drą koty z Amerykanami nieco starszej daty. Policja wyraźnie trzyma stronę gringos. Portorykańską Julię zagrała Natalie Wood, dziewczyna z ukraińsko-rosyjskimi korzeniami, gdyż Brytyjka Audrey Hepburn akurat była w stanie błogosławionym. Bronią się muzyka Leonarda Bernsteina, choreografia, Rita Moreno i jej koledzy spod znaku rekina. ©©

Wiesław Chelminiak

GRA TYGODNIA: „HALO INFINITE”

Spóźniony powrót Master Chiefa, ale za to powrót w wielkim stylu! Może za wcześnie niektórzy recenzenci okrzyknęli nowe „Halo” najlepszą strzelanką roku, ale także ja potrzebowałem niewiele czasu, by wiedzieć, z czym mam do czynienia, by przez głowę przebiegła myśl, że produkcja ta

znów wyznacza standardy. Gameplay i ogólny „feeling” są niesamowite i od tej pory już chyba wszystkie shooterzy będą odnosić do najnowszego „Halo”. Wygląda i brzmi świetnie, a fabułę – mimo że jest dość prosta – chętnie się odkrywa. Czy to pożegnanie z Cortaną? Czy Master Chief znów



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

uratuje wszechświat? Tu nie chodzi o to, by poznać odpowiedzi, ale by je poznawać. Wielka to frajda! ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** FPP
• **Platforma:** XSX, XONE, PC
• **Producent, dystrybutor:** 343 Industries, Xbox Game Studios

MOJA PÓŁKA

Zanim wyjdziemy **na dobre**KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Autor „Widzenia Eneasza” powiada, że wiersze to jego życie sekretne. I rzeczywiście, znany jest najbardziej jako dziennikarz, publicysta, a jeśli jako pisarz, to raczej prozaik, mający w dorobku i opowiadania, i powieści. Ale wiersze? I oto okazuje się, że Piotr Gociek, którego znam i czytuję od wielu już lat, mój redakcyjny kolega z „Do Rzeczy”, jest poetą. Oczywiście wiem, że poetą się bywa, ale w tym wypadku mam absolutną pewność, że „Widzenie Eneasza” nie jest żadnym wypadkiem przy pracy ani zbiorem wierszowanych tekstów z lat młodości, podobnych do tych, które przecież pisaliśmy wszyscy.

Są wszakże w tym tomie utwory sprzed lat, i to wielu, wybrane z tomików publikowanych na przełomie dwóch ostatnich dekad zeszłego wieku, jak również rzeczy całkiem nowe, ale głęboko osadzone we wspomnieniach, odnoszące się do dawnych przyjaciół i miłości. Znajdziemy wśród nich wiersze o ogromnym ciężarze gatunkowym, odnoszące się bezpośrednio do naszej współczesności z dnia na dzień stającej się historią, są refleksje nad lekturami, zamyślenia wręcz filozoficzne, dominuje jednak niezwykle, a wyczuwalny niemal od pierwszych strof „Widzenia Eneasza” nostalgiczny ton (tak, wziąłem sobie do serca nauki płynące z czterowiersza Goćka zatytułowanego „Nauka kochania”: „Byśmy nie mylili / miłości z litością / byśmy nie mylili / nostalgii z miłością”), sprawiający, że liryka ta trafia do serca i wzrusza w sposób najprostszy z możliwych. Najskuteczniejszy.

Jeśli czytelnik nie odnajdzie w wierszach Piotra Goćka samego siebie, to znaczy, że gdzieś po drodze zgubił wrażliwość, o ile w ogóle taką miał. Mam jednak



FOT. DORZECZY

nadzieję, że ci, do których trafi ten zbiór pięćdziesięciu kilku utworów, bardzo osobistych, a przecież jakże uniwersalnych, potrafią skonfrontować się z tym poetyckim lustrem, przejrzeć się w nim. I przywrócić dawne, najważniejsze uczucia, wspomnieć nadzieje, marzenia i nieuchronne klęski. I powtórzyć za autorem: „Wojna z drewnianych żołnierzy / zrobiła prawdziwych mężczyzn / więc żaden już nigdy nie mógł / zostać prawdziwym chłopcem”.

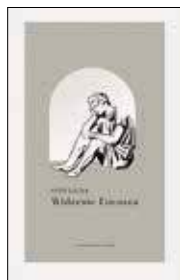
Nostalgii towarzyszy, wcale nieczęsty w polskiej poezji, humor. Jak w wierszach o dziewczynie, z którą popalało się na przerwach szkolnych papierosy, w ukryciu przed nauczycielami, czy o innej szkolnej piękności, z którą znajomością przechwalało się, choć przecież była ona tylko przedmiotem niespełnionych marzeń. Ale co z tego: „Dobrze było być chłopakiem Moniki / nawet jeśli to była nieprawda”.

Naczytał się w swoim czasie autor Różewicza, Herberta, Lipskiej, ucząc się od nich zwięzłości, sprawiającej, że niekiedy jego wiersze zbliżają się do aforystyki. I tak melancholia ogarnęła mnie po „Ostatnim akordzie”: „Bo gdyśmy byli mali / mogliśmy wyjść / na ludzi / teraz możemy tylko / wyjść / na dobre”. Jako sporo starszy od poety powinienem popaść

w absolutną depresję, na szczęście to nieuchronne wyjście, które czeka nas wszystkich, jest „wyjściem na dobre”, zatem wpisany jest w nie pewien optymizm. Byłoby chyba gorzej, gdybyśmy po prostu wyszli i nie byłoby to ani dobre, ani złe, nikt za nami drzwi nie zatrzasnąłby, nikt by tego nie zauważył, co najwyżej ktoś z ulgą odetchnąłby i powiedział: „Nareszcie”. Tak że może jednak coś się w tym życiu udało zrobić. Wiem, że w tym miejscu egoistycznie pocieszam się, co począc, jednak na to, że wiersze Goćka odbieram bardzo osobiście, że bliskie mi są jego problemy, że zadaję te same pytania, tak samo tęsknię za młodością, która na pewno nie była ani piękna, ani mądra, ale już po niej nic lepszego się nie zdarzyło.

Żeby jednak nie było za pięknie, zgłosić muszę swój sprzeciw wobec jednego wiersza z tomu Piotra Goćka, zatytułowanego „Sen o stalinizmie”. Z tymi mianowicie, którzy w tamtym czasie weszli do historii, by potem wybielać się na spotkaniach autorskich i w obrzydliwych, kłamliwych pamiętnikach, nie chcę mieć nic wspólnego. Bo to był jednak szczególny rodzaj zaprzaństwa. Jeśli tłumaczyli się potem tym, że „czasy były ciężkie i trzeba było jeść”, to kłamali. Dla chleba i ze strachu przed utratą pracy dającej groszową pensję, stempel w dowodzie, a czasem kartki żywnościowe, to zwykli ludzie chodzili na pochody, a niekiedy wstępowali do partii i choć tego nie rozgrzeszam, to staram się rozumieć. Ci jednak, którzy wypisując i wygadując banialuki, zacierają swój udział w zbrodni, zasługują jedynie na pogardę. I na to nie ma rady.

Ala za „Jana Lechonia A.D. 1956”, za „Annę Achmatową A.D. 1921”, „Naśladowanie Brodskiego” i „Powrót do obłąkanego miasta” mogę Piotrowi Goćkowi złożyć głęboki ukłon. ©©



★★★★★

PIOTR GOCIEK
„WIDZENIE
ENEASZA”
OFICyna
WYDAWNICZA
VOLUMEN,
WARSZAWA 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nastanie nocy

Nikczemność. Dwudziestolatek Wojtek Cielecki zakatowany w Białej Podlaskiej przez dwóch pijanych żołnierzy. Wojciech Cieślewicz pobity w Poznaniu na śmierć przez ZOMO. Joanna Lenartowicz, lat 19. Skopana na śmierć przez ZOMO-wców w Warszawie. Twarze na archiwalnych zdjęciach. Młode twarze z legitymacji szkolnych i studenckich, z pierwszych dowodów osobistych. Antoni Browarczyk, lat 19. Obok fotografia: młody Antek pozuje na tle plakatu z napisem „Solidarność”, palce ułożone w znak V. Jeszcze się uśmiecha. Zastrzelony w Gdańsku.

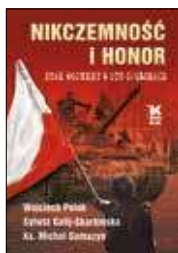
Nikczemność. Ta z pojedynczych aktów przemocy i ze zbiorowych aktów czynienia zła: pacyfikowane kopalnie, aresztowani działacze Solidarności, zwalnianie, czystki, internowania. Żadnych świętości: lista szykanowanych, prześladowanych i wreszcie mordowanych księży. Ksiądz Jerzego Popiełuszkę znają miliony, ale zwróćcie uwagę także na inne nazwiska.

Za ten nietypowy alfabet stanu wojennego podziękować wypada trojgu autorom: prof. Wojciechowi Polakowi, Sylwii Galij-Skarbińskiej, ks. Michałowi Damazynowi. Wybór postaci, wydarzeń, tematów – subiektywny. Wedle jakiego klucza? Można się spierać, dla

mnie pewien chaos to zaleta, można tę książkę czytać na wrywki, można potraktować jako długi wywód rozpoczęty m.in. pytaniem: „Czy stan wojenny był legalny?”. Przed czym miał chronić? No i jak ochronił, skoro tyłu musiało zapłacić zdrowiem, pracą, wolnością? Życiem.

Honor. Podziemne radio. Spontaniczny ruch pomocy prześladowanym. Załoga trawlera „Regulus”, która zamiast wracać do Polski, płynie ku kanadyjskim brzegom. Rozkwit podziemnej prasy. Drugi obieg informacji. Światło nadziei: pielgrzymka Jana Pawła II do Polski w 1983 r. Broń bezsilnych, czyli ironia i humor: „Dlaczego Jaruzelski w Polsce chodzi w mundurze, a do Moskwy jedzie w cywilnym garniturze? Bo w Polsce jest służbowo, a tam – u siebie w domu”.

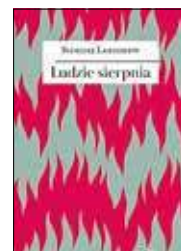
Do stu odsłon stanu wojennego dopisują sto pierwszą, z własnej pamięci. Nad ranem 13 grudnia pękły w naszym mieszkaniu blaszane panelowe kaloryfery (zdarzało się to często). Mama i babcia zmagaly się z potopem, mnie obudziły światło i ich zmartwione głosy. Było jeszcze przed świtem, ale zaraz w radiu, chyba koło szóstej, pojawiło się przemówienie Jaruzelskiego. Zaspany wyszedłem z pokoju. „Co się stało, mamco?” – zapytałem. Odpowiedziała mi babcia. „Wojna”. ©©



★★★★★
AUTORZY RÓŻNI
„NIK CZEMNOŚĆ I HONOR. STAN WOJENNY W STU ODSŁONACH”
BIAŁY KRUK 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kolejna wybitna powieść znakomitego pisarza, bezlitośnie analizującego ciężką chorą duszę współczesnej Rosji, kraju, którego fenomen da się zrozumieć, tylko sięgając w przeszłość – tym razem do lat 90. XX w.



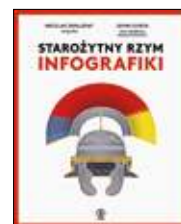
SIERGIEJ
LEBEDIEW
„LUDZIE
SIERPNIA”
WYDAWNICTWO
CLAROSCURO

Za chłodnym podtytułem „Wybrane przekłady poetyckie” kryje się tętniący emocjami obszerny zbiór wierszy autorów tak różnych jak Yeats, Vrchlicky, Bashō Matsuo, Gumilow, Cwietajewa czy Lorca. Chciałoby się jeszcze więcej!



LESZEK
ENGELKING
„MOJE MASKI,
MOJE TWARZE”
WYDAWNICTWO
OFFICyna

Kapitałna pomoc naukowa dla małych i dużych miłośników antyku. Mapy, schematy, wizualizacje, od życia gospodarczego i politycznego przez analizę strojów i architektury do szyków bojowych czy tablic z orłami legionowymi.



JOHN SCHEID
„STAROŻYTNY
RZYM.
INFOGRAFIKI”
REBIS

Nowy kryminał z popularnego cyklu o Departamencie Q. Po pierwsze, dowiadujemy się sporo o przeszłości głównego bohatera (Assada), po drugie, dostajemy zagrożenie atakiem islamskiego terrorysty. Ale jest i trzeci wątek. ©©

poleca Piotr Gociek



JUSSI
ADLER-OLSEN
„OFIARA
NUMER 2117”
SONIA DRAGA

KOMIKS TYGODNIA:

„THORGAŁ. NEOKORA”

W najnowszym tomie (to już numer 39) przygód Thorgała wracamy do miejsc i motywów z pierwszych albumów serii, tyle tylko że do doskonale znanych postaci dołącza nowe pokolenie (Louve, Jolan, Aniel). Yann, nowy scenarzysta serii (odpowiada też za podserię „Louve” i „Młodzieńcze lata”), wciąż zaskakuje czytelników, wskrzeszając oryginalny klimat serii. Przed



FRÉDÉRIC
VIGNAUX, YANN
„THORGAŁ.
NEOKORA”
EGMONT 2021

lekturą warto przypomnieć sobie albumy „Wyspa lodowych mórz” i „Gwiezdne dziecko”. Za rysunki odpowiada Frédéric Vignaux, który od albumu numer 37 zastąpił Grzegorza Rosińskiego. ©©

poleca Piotr Gociek

Spotkanie z orkiestrą



FOT. MATERIAŁY PROMOCYJNE

„Nazywam się Dżaman i jestem solowym artystą grającym na gitarze elektroakustycznej, korzystającym z loop station i e-bowa (elektronicznego smyczka)” – przedstawia się artysta z Krakowa. I dodaje przy okazji wypuszczonej niedawno epki: „W swojej twórczości poszukuję nowych rozwiązań, które wnoszą choćby małą cegiełkę innowacji do świata dźwięków”.

Wydany niedawno minialbum Dżamana to rzeczywiście rzecz dość innowacyjna. Połączył bowiem live-looping z orkiestrą instrumentalną, wplatając do tego jeszcze dźwięki gitary akustycznej, a wszystko to zrobił na żywo podczas występu w... bazylice oo. Dominikanów w Lublinie. Epka „Dżaman spotyka orkiestrę. Live at Bazylika” jest zapisem tego występu. – Inspiracją do nagrania live

sesji i tego krążka jest artysta RY X, który gra podobną muzykę akustyczną, którą łączy z elektroniką. Przy nagraniach również korzysta z wielu orkiestr i bardzo mi się to połączenie spodobało – mówił Dżaman na antenie Czwórki. – Miałem obawy co do akustyki panującej w bazylice, jednak do występu przekonali mnie koleżanka i kolega perkusista. W swojej twórczości daję sobie

przestrzeń na improwizację, jednak w przypadku tego koncertu wszystko musiało być dokładnie rozpisane – dodawał.

Na najnowszą epkę Dżamana (wcześniej wydał minialbum „Początek”) składają się, niestety, tylko cztery utwory: „Mefa”, „Another Time”, „Hermetyczni” oraz „Tharni”. Dżaman jest autorem muzyki i tekstu wszystkich utworów. Aranżacji symfonicznej podjął się Przemysław Pacak, a w skład orkiestry kameralnej weszli: skrzypce – Przemysław Pacek, Cecylia Chinek, Kinga Złot, Urszula Karch, Adam Suska, Weronika Wójtowicz, Magdalena Rzechowska; altówki – Klara Chinek, Iwona Piskorska; wiolonczele – Zuzanna Nierubca, Katarzyna Mach; kontrabas – Jakub Kaczmarczyk; perkusja – Robert Kutrzepa; harmonijka – Łukasz Pietrzak. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Ze ściśniętym mikrofonem

W tę płytę należy się zatopić i wyostrzyć wyobraźnię, bo te niedopowiedziane opowieści wymagają skupienia i zdania się na intuicję.

Variété omijałem niesłusznie zbyt długo. Wynikało to z mojej niechęci do nurtu „zimnej fali” ochoczo wspieranego na jarocińskim festiwalu. Wznowiony album „Variété” z 1993 r. świadczy, że był to najwybitniejszy przedstawiciel tego kierunku, natomiast „Dziki książę” pokazuje, jak daleką drogę grupa przeszła od tamtego czasu. Pozostał ten sam klimat wyobcowania i samotności na drodze w poszukiwaniu miłości, piękna, spokoju... Jest to oczywiście związane z postacią lidera, poety Grzegorza Kaźmierczaka (wydał cztery tomiki wierszy),

którego deklamowane teksty już od startu w 1984 r. stanowiły wartość samą w sobie.

Muzyka na „Dzikim księciu” jest w służbie słowa, a słowo wiruje na postronkach dźwięków. Są w tym orient, jazz, ambient, folk... Jest poszanowanie dla każdego dźwięku, który ma znaczenie i miejsce w przestrzeni. Tworzą je poszarpana gitara Marka Maciejewskiego, narracyjne rytmy Marcina Karnowskiego, porządkujący bas Grzegorza Korybalskiego, mgławicowa elektronika lidera i wędrujący saksofon Litwina, Jana Maksimowicza. „Jestem dzisiaj tylko tym / kiedy pamiętam, kim byłem zawsze / niespokojnym chłopcem, który pragnie przygód / który pragnie” – kończy Kaźmierczaka w finałowym utworze „Oczywiście”. ©©



★★★★★
VARIÉTÉ
„DZIKI KSIĄŻĘ”
MYSTIC



★★★★★
ARS LATRANS ORCHESTRA
„SZTUKA MIŁOŚCI”
IGLO

Kolektyw ARS

LATRANS zaprosił ośmioro wokalistów (m.in. Kubę Traczą) do współtworzenia spektaklu „Wyjątkowo zimny sierpień”. Soliści, na podstawie własnego doświadczenia, opowiedzieli o różnych aspektach miłości. Zmysłowe, elektroniczno-jazzujące podkłady uzupełniają te historie.



★★★★★
MAKAYA MCCRAVEN
„DECIPHERING THE MESSAGE”
BLUE NOTE

Chicagowski

producent zmiksował 13 klasyków z katalogu wytwórni Blue Note, a następnie, w studiu, wraz z siedmioma muzykami nadał im współczesne brzmienia. Dzięki zabiegowi stworzył wspólny pomost pomiędzy przeszłością jazzu a rytmiczną teraźniejszością. ©©



**POLSKI
ŁAD**

Emerytura bez podatku do 2500 zł

od  **1 stycznia 2022 r.**

+ **Zysk dla** ponad
8 milionów osób

+ Rocznie to nawet
2 250 zł więcej
w **portfelu** seniora

+ **Podatek** tylko
od świadczeń
powyżej 2 500 zł

”

Chcemy by w jesieni życia seniorzy mogli żyć godnie. W ramach solidarności międzypokoleniowej nasz rząd przejawia stałą troskę o los i bezpieczeństwo emerytów i rencistów. Emerytura bez podatku to kolejny instrument w ramach konsekwentnie realizowanej od 6 lat polityki senioralnej, po 13. i 14. emeryturze. To przejaw wdzięczności dla seniorów oraz spełnienie obietnicy o lepszym i bardziej sprawiedliwym systemie podatkowym. ”

Marlena Maląg

Minister Rodziny i Polityki Społecznej

gov.pl/rodzina



Ministerstwo Rodziny
i Polityki Społecznej





Koncert „Murem za polskim mundurem” FOT. TVP

Kto dostał w głowę



Krzysztof Masłoń

Okazuje się, że z programów informacyjnych Polacy najchętniej oglądają wcale nie „Fakty”, „Wydarzenia” ani „Wiadomości”, lecz „Teleexpress”, który ma tę niezaprzeczalną przewagę nad rywalami, że jest dwa razy krótszy. A ponieważ prowadzący nie muszą w co drugim zdaniu dowodzić, jak to wredny jest PiS (PO) [niepotrzebne skreślić], czasem udaje im się nawet w tym mocno ograniczonym czasie przemycić jakąś informację poza pandemicznymi wskaźnikami umieralności. Zawsze też nadają fragment piosenki, a zdarza się i zabawny filmik zazwyczaj ze zwierzętami w rolach głównych. Na razie im się na to pozwala, choć niebawem pewnie zakazane będzie pokazywanie naszych braci mniejszych w sytuacjach ich ośmieszających. Podobnie jak nazywanie wolnych od pracy dni grudniowych Bożym Narodzeniem. A razie jest

to jeszcze dopuszczalne, a w związku z tym przypominam, że w Wigilię nawet zwierzęta mówią ludzkim głosem. Może by i nasze estradowe wyjce spróbowały tego samego, co zresztą zweryfikujemy, oglądając rzekomo powszechnie lubiane programy rozrywkowe, które na okres świąteczny przygotowały wszystkie liczące się telewizornie.

W szal koncertowania popadła przede wszystkim telewizja publiczna, która nie zdążyła jeszcze ochłonać po koncercie „Murem za polskim mundurem”, a już musiała przetransportować sprzęt i swoje gwiazdy z Rafałem Brzozowskim i Małgorzatą Tomaszewską z Mińska Mazowieckiego do Białegostoku, by zdążyć na mikołajkowe widowisko „Gwiazdy dzieciom”. Dziś mamy 40. rocznicę stanu wojennego, TVP serwuje nam więc koncert zatytułowany jakby prowokacyjnie „Po co nam wolność?”. Ten rocznicowy patos przyda się nam po niezapomnianych wrażeniach z ostatniej soboty, kiedy za sprawą telewizyjnej Dwójki wzięliśmy udział

w benefisie 40-lecia zespołu Bayer Full. Z pewnością na życzenie widowni, której disco polo ciągle za mało, popisy wokalne ansamblu Sławomira Świerżyńskiego i jego gości będziemy mogli obejrzeć za tydzień raz jeszcze. Pewnie po to, byśmy się nie rozkolędowali nadmiernie.

Koncertowemu rozmachowi prezesa Kurskiego z oczywistych względów nie mogą dotrzymać pola propozycje konkurencyjnych stacji, czego dowiodła, też mikołajkowa, impreza Polsatu świętującego ćwierćwiecze istnienia swojej fundacji. Miało być, jak zapowiadała Nina Terentiew, wyjątkowo i emocjonalnie, a było jak zawsze. Zmiany będą na wiosnę, gdy wystartuje show, którego gospodynią – oczywiście obok Krzysztofa Ibisza, bez którego w Polsce nic się nie może obyć – będzie Barbara Kurdej-Szatan, znana miłośniczka Wojska Polskiego. Widać opłacało się obrzucić żołnierzy inwektywami, a potem odstawiać ucieleśnioną niewinność. Zawsze się znajdzie dobra ciocia, jak nie Kry-

sia, to Nina, i nadto wymownej celebrytce nieba uchyli.

Żołnierzy dopieścili za to prowadzący i wykonawcy fety urządzonej w 23. Bazy Lotnictwa Taktycznego w Mińsku. To nie był przypadek! Dziś Mińsk Mazowiecki, jutro białoruski, bo gdy Polska da nam rozkaz... Stop. Adama Zwierza na koncercie „Murem za polskim mundurem” nie było i z konieczności musiał go zastąpić Captain Jack. A szkoda, bo gdyby pieśniarz, prawda, że zaawansowany wiekowo, ale w końcu inne gwiazdy tego koncertu też do mała latów trudno zaliczyć, zdecydował się na występ, mielibyśmy szansę raz jeszcze usłyszeć taką na przykład frazę: „Ośmiu było fizylierów w drużynie szturmowej, / Kiedy braliśmy gazownię, jeden dostał w głowę”.

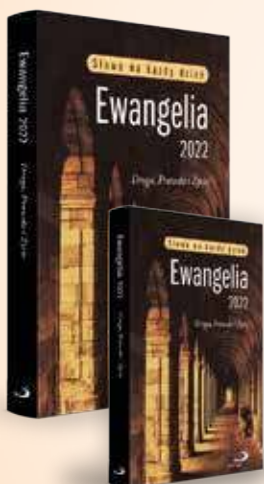
Niezapomniane popisy Adama Zwierza utrwalone zostały swego czasu m.in. na kasecie uroczu nazwanej „Wesołe przegrody Tomaszka Pogody”. Dziś, cóż, w świątecznym programie TVN straszy inny Tomaszek – Karolak, którego możemy podziwiać także na antenie Canal Plus w czwartej już części „Listów do M.”. Polsat do świątecznej ramówki nie musi przykładać specjalnej wagi: puści „Kevina” i po problemie.

A TVP nic, tylko zachęca nas do korzystania z kultury wysokiej. Ostatnio wiceprezes Mateusz Matyszkowicz tak sprawę ujął w eseju pomieszczonym we „WPIS-ie”: „Kultura jest świadomością, że rzeczy nie przychodzą same. Nie przechodzi przez nas delikatnie jakiś tajemniczy strumień, przez co stajemy się od razu jacyś inni, jak w baśni, rozpoznajemy wszystko, co nas otacza, jesteśmy w stanie delektować się pięknem wokół nas”. Naturalnie, że samo to się nie stanie. Ale dzięki Bayer Fullowi i zapowiadanemu na święta filmowi „Maryla. Tak kochałam”, o miłościach Maryli Rodowicz, mamy to jak w banku. ©©

DUCHOWA FORMA NA 2022 ROK



ŚWIĘTY PAWEŁ



- **Ewangelia na każdy dzień**
- komentarz biblijny
- modlitwa inspirowana Słowem
- kalendarz liturgiczny
- wybór modlitw na różne okazje
- modlitwa na zakończenie dnia - Komplet



- **Teksty Ewangelii dla dzieci na wszystkie niedziele i święta roku**
- Codzienne historie bliźniaków: Zuzi i Antka z treścią słowa Bożego
- Różnorodne i wciągające zadania dla dzieci – zagadki, krzyżówki, labirynty, kolorowanki. Wszystkie inspirowane niedzielą Ewangelią!

PATRONI:

MAŁE
charakter

PRZEDSZKOLAKA

głosnauczycielski

mamygość

Przyjaciel
dobry

niedziela +

profeto.

-20%

na „Ewangelię 2022” oraz „Ewangelię dla dzieci 2022”, kod rabatowy: **DoRzeczy**
Zapraszamy do księgarni internetowej Edycji Świętego Pawła: www.edycja.pl, tel.: 605 313 543.
Promocja trwa do 31.12.2021 r. lub do wyczerpania zapasów.



WYDAWNICTWO 3DOM

KSIĄŻKI | REPRINTY | DEWOCJONALIA | KUBKI

Zapoznaj się z naszą aktualną ofertą wydawniczą
wchodząc na stronę www.3dom.pro

CZY PAPIEŻ FRANCISZEK JEST HERETYKIEM?

Ilość stron: 380
Format: 135 x 195 mm
Oprawa: miękka

49 zł



Zapraszamy do kontaktu pod numerem telefonu **34 307 08 88** lub pisząc na maila: kontakt@3dom.pro



Łukasz Warzecha

W ideologii sanitarystycznej widzimy charakterystyczną dla ruchów rewolucyjnych nieustającą radykalizację. Nie wystarczy już zaszczepić się dwiema dawkami – konieczna jest trzecia. Nie wystarczy już popierać zachęty do szczepienia – trzeba popierać szczepienia obowiązkowe

Pytanie w sporze o szczepienia, ale też w ogóle o strategię walki z epidemią (jeśli w Polsce jakkolwiek strategia w ogóle jest) nie brzmi już nawet, czy warto robić to lub tamto, ale czy można przedstawiać różne punkty widzenia. Odpowiedź coraz bardziej sfanatyzowanej frakcji sanitarystycznej brzmi: Nie wolno, bo to to samo co zapraszanie do debaty zwolenników tezy o płaskiej Ziemi.

Tak właśnie postawił sprawę „Newsweek”, prezentując na okładce portrety Jana Pospieszalskiego, Edyty Górniak, Bogdana Rymanowskiego i Piotra Schramma. Spośród tych czterech osób największe wzburzenie wywołało umieszczenie pod wielkim tytułem „Siewcy głupoty” dziennikarza Polsatu. Winą Rymanowskiego miałyby być to, że do swoich programów zapraszał osoby sceptyczne wobec masowej akcji szczepień przeciw COVID-19: dr Katarzynę Ratkowską, psychiatrę, a także psychologa Wojciecha Eichelbergera – zresztą należącego raczej do liberalnej elity. Ratkowska mówiła w programie o tym, że szczepionki mRNA głębiej ingerują w nasz organizm niż szczepionka tradycyjna – co jest obiektywnie prawdą, nie przesadzając, czy to źle czy nie. Eichelberger z kolei stwierdził, że należy pozostawić decyzję o szczepieniu się samym ludziom.

Z punktu widzenia narracji sanitarystów oboje kwalifikują się jako foliarze i antyszczepionkowcy. W ideologii sanitarystycznej – można już chyba o niej mówić, powstała na naszych oczach – widzimy bowiem charakterystyczną dla ruchów rewolucyjnych nieustającą radykalizację. Granica uznania danej osoby za prawomysłną jest cały czas podwyższana. Nie



wystarczy już zaszczepić się dwiema dawkami – konieczna jest gotowość do skorzystania z trzeciej, a może i następnych. Nie wystarczy już popierać zachęty do szczepienia – trzeba popierać szczepienia obowiązkowe oraz dyskryminację osób niezaszczepionych. I tak dalej, i tak dalej.

DLACZEGO MAJĄ DECYDOWAĆ EKSPERCI

„Newsweek”, który do komentowania wypowiedzi przeciwników sanitaryzmu zaprosił dr. Pawła Zmorę, kierownika Zakładu Wirusologii Molekularnej w Instytucie Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu, nie był w stanie przeciwstawić w żadnym miejscu twardych argumentów cytowanym przez siebie wypowiedziom rzekomych antyszczepionkowców. Na przykład na zarzuty, że szczepionki reklamowano jako chroniące przed infekcją – robił to m.in. rządowy profil twitterowy

„Szczepimysię” – dr Zmora odpowiada: „Niektórzy naukowcy użyli skrótu myślowego, mówiąc, że szczepionki chronią przed infekcją. Mechanizm jest bardziej skomplikowany, o czym wiadomo od dawna”. Cóż, skoro wiadomo o tym od dawna, to może nie należało używać „skrótów myślowych”, brzmiących jak jednoznaczna i pełna gwarancja, a nie byłoby dzisiaj potrzeby wycofywania się z tych zapowiedzi rakiem i tłumaczenia się z przekłamań. A wiarygodność akcji szczepień byłaby znacznie wyższa.

Przede wszystkim jednak – i na tym polega zasadnicze nieporozumienie – sanitaryści bezzasadnie tworzą przekonanie, a artykuł w „Newsweeku” jest częścią tego mechanizmu, że eksperci, przede wszystkim lekarze, mają decydować o całokształcie polityki epidemicznej. Jeśli w mediach pojawia się ktoś, kto krytycznie ocenia propozycję obowiązk

szczepień, to nazywa się go foliarzem albo antyszczepionkowcem oraz stwierdza, że neguje osiągnięcia nauki. Rzecz w tym, że kwestia obowiązku szczepień, nie mówiąc już o lockdownach, segregacji sanitarnej i innych ingerencjach w prawa obywateli, wykracza dalece poza ekspercką wiedzę czysto medyczną. Lekarze mogą dostarczać danych do debaty – często zresztą są to dane niejasne, niepełne albo wręcz grające jedynie na emocjach anegdoty – ale na pewno nie powinni twierdzić, że ich pogląd na to, jak dalece państwo może ingerować w nasze prawa i naszą wolność, wprost wynika z nauki. Nie ma takiego połączenia.

„Newsweekowi” wystarczyło, że Bogdan Rymanowski gościł w swoich programach osoby niepodzielające głów nonurtowej narracji, aby obwołać go szkodnikiem i „siewcą głupoty”. W Internecie ze strony sanitarystów na dziennikarza posypały się gromy za samo to, że dopuszcza do debaty ludzi niepodzielających sanitarystycznej linii. Tomasz Lis, redaktor naczelny „Newsweeka”, napisał zaś na Twitterze: „Najnowszy »Newsweek« – dlaczego podważają skuteczność szczepionek na COVID-19 albo propagują dezinformację o ich szkodliwości, narażając na śmierć tysiące ludzi?”. W związku z tą wypowiedzią kroki prawne zapowiedział w oświadczeniu dziennikarz Polsatu, słusznie uznając, że absurdałne oskarżenie o narażenie na śmierć tysięcy ludzi narusza jego dobra osobiste. Za wisienkę na torcie należy natomiast uznać wypowiedź twitterową posłanki PiS Joanny Lichockiej, za której sprawą – w dużej mierze – z TVP zniknął Jan Pospieszalski, a która oznajmiła, że w tym sporze popiera... Tomasza Lisa. Jak widać, sanitarystyczne idee mogą połączyć ludzi z pozornie skrajnie przeciwnych stron sporu politycznego. Takie stanowisko poseł bliskiej Jarosławowi Kaczyńskiemu może przy okazji wskazywać na źródło najnowszych działań rządu w kwestii epidemii.

CHWYT PONIŻEJ PASA

Lis zastosował najbardziej prymitywny, zarazem obrzydliwy rodzaj demagogii, utożsamiając racjonalną dyskusję o skuteczności szczepień z narażaniem kogokolwiek na śmierć. Taka demagogia jest jednak stosowana powszechnie – za „siewcę śmierci” może zostać uznany każdy, kto kwestionuje jakiegokolwiek element sanitarystycznej narracji.

Co „Newsweek” uznaje za dowód przeciwko Janowi Pospieszalskiemu? Jego opowieść z naszego tygodnika o niełatwej walce z wirusem, w której publicysta opisywał, w jaki sposób leczył się w domu. Ta relacja ma wyjątkowo duży walor uświadamiający, bo może wielu osobom – czy zaszczepionym, a i tak chorującym, czy niezaszczepionym – wskazać, po jakie środki sięgają lekarze, aby zahamować rozwój choroby. Nie jesteśmy skazani na leki przeciwwgorączkowe – i to właśnie opisywał Pospieszalski, sam zresztą wyraźnie podkreślając, że COVID-19 przy cięższym przebiegu to nie jest jakaś tam gryпка, a wszelkie terapie powinny się odbywać w ścisłej konsultacji z lekarzem.

W „Newsweeku” dr Zmora powiada: „Szczepionki są skuteczne i bezpieczne. Dają bardzo dużą ochronę przed zachorowaniem. Amerykańskie dane wskazują ponadto, że zaszczepienie obniża ryzyko hospitalizacji prawie o 90 proc. Dlaczego politycy nie słuchają ekspertów i nie chcą wprowadzić szczepionki przeciwko COVID-19 jako obowiązkowej?”

Tak się składa, że artykuł w tygodniku Tomasza Lisa zbiegł się z odkryciem naukowców, badających mechanizm pojawiania się zakrzepicy po zastosowaniu szczepionki Astra Zeneca. Pomijając detale medyczne, problem leży najprawdopodobniej w samej konstrukcji preparatu, a konkretnie w użytym tam wektorze – adenowirusie wziętym od szympanów. Zatem problem zaszyty w rzekomo całkowicie bezpiecznej szczepionce, serwowanej ludziom od blisko roku, zidentyfikowano dopiero teraz. Ile takich niespodzianek nas jeszcze czeka?

Na pytanie, „Dlaczego politycy nie słuchają ekspertów?”, można panu doktorowi odpowiedzieć: ponieważ zakres decyzji o narzuceniu obowiązku szczepień wykracza poza kwestie czysto medyczne. Obejmuje również kwestie etyczne, prawne, zakres wolności obywateli. Dlatego nie mogą o tym decydować „eksperci”, pod którym to pojęciem dr Zmora rozumie oczywiście jedynie ekspertów medycznych.

Charakterystyczne jest, że sanitaryści negatywne cechy, emocje i brak racjonalności dostrzegają tylko po jednej stronie. W tym samym tekście, zapowiedzianym przecież skrajnie nierzetelną, grającą na najgorszych emocjach okładką (aczkolwiek takie prawo okładek), wypowiada się również dr Tomasz Sobierajski z Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych UW.

„Ludzie podejmują decyzje pod wpływem emocji, a tam, gdzie ściera się wiara z rozumem, wygrywa wiara” – mówi dr Sobierajski. I dodaje: „Emocjami są nacechowane argumenty antyszczepionkowców – jest mowa o wykluczeniu, ograniczeniu wolności czy segregacji. Dla człowieka myślącego logicznie jest to ogromne nadużycie, ale emocjonalnie ma niesamowitą siłę”. Takie emocje, owszem, zdarzają się po stronie przeciwników sanitaryzmu – bo przecież Sobierajski używa określenia „antyszczepionkowcy” na opisanie każdego, kto ma jakiegokolwiek wątpliwości lub jest krytyczny wobec jakiegokolwiek elementu restrykcyjnej agendy. Ale co najmniej tyle samo jest ich po stronie sanitarystycznej. Hejt na „antyszczepów” przekracza wszelkie granice, Internet zalewają żądania, aby wykluczyć niezaszczepionych z życia społecznego i odebrać im wszelkie prawa. Gdzie tu racjonalność, umiar czy myślenie? Gdzie refleksja nad skutkami społecznymi takiej polityki? Gdzie namysł na przykład u posła PiS Bolesława Piechy, zresztą lekarza, który w jednym z programów telewizyjnych oznajmia w stanie wyraźnej ekscytacji, że niezaszczepiający się na COVID są „cwaniakami”, którzy „nie powinni brać udziału w takim temacie jak zdrowie publiczne” – cokolwiek miałyby to znaczyć. I dodaje: „Zdrowie publiczne wymaga radykalnych środków!”. A nie mówimy tutaj o przeciętnym Kowalskim, ale o posle na Sejm, którym najwyraźniej miotają jakieś niezdrowe emocje.

Mecenas Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris, napisał w mediach społecznościowych: „W części Europy, gdy grupa znajomych idzie na kolację, zaszczepieni wejdą do restauracji, niezaszczepieni dostaną jedzenie na ulicy. Z domówki do kina pójdą razem. Wejdą zaszczepieni. Reszta poczeka na korytarzu. Wróć razem. Racjonalne? Służy zgodzie i pokojowi społecznemu?”. Te ostatnie pytania są, rzecz jasna, retoryczne. Nie jest to ani racjonalne, ani nie służy zgodzie społecznej. Wręcz przeciwnie.

Widząc, jak media takie jak „Newsweek”, ale też takie jak państwowa telewizja nakręcają szkodliwe emocje, sprzyjające sanitarnej segregacji, można odnieść wrażenie, że to zabawa odbezpieczonym granatem. Słabym pocieszeniem jest to, że tak samo bawi się wiele rządów na świecie, a szczególnie w Europie. My zaś, jak pochwalił się sam minister Niedzielski, idziemy śladem Niemiec i Austrii.

RYSZARD GROMADZKI: Przeciwwstawił się pan bardzo zdecydowanie apelowi prezydentów 12 największych polskich miast wzywającemu władze do zaostrzenia restrykcji sanitarnych. Dlaczego?

RAFAŁ PIECH: Dzisiaj dobrze już wiemy, że tu nie chodzi o dobro obywateli, dobro Polaków, dobro ludzi na całym świecie. Tu chodzi o coś zupełnie innego. Doskonale wiemy, że osoby zaszczepione, które przyjęły preparat przeciw COVID-19, tak samo jak niezaszczepieni przenoszą tego wirusa, tak samo zarażają, tak samo chorują i tak samo umierają. Przytoczę przykład państw takich jak Portugalia, Irlandia czy Austria, gdzie zdecydowana większość społeczeństw przyjęła szczepionki, a dziś obowiązują tam lockdowny, ogłaszany jest stan klęski.

Nie wiem, czy autorzy apelu, o którym pan wspomniał, podpisali się pod nim z głupoty czy ze świadomego odrzucenia prawdy, bo nie potrafią już stanąć w prawdzie. Nie wiem, czy ten preparat tak bardzo zmienił już ich DNA, że przestają racjonalnie i logicznie myśleć. Zachęcałbym osoby, które opowiadają się za wprowadzeniem przymusu szczepień i paszportów covidowych, żeby przeprowadziły się do Australii – tam czekają na nie obozy kwarantanny. Niezależnie od tego, czy są zaszczepieni czy nie, wojsko ich tam przewiezie. Myślę, że zwolennicy przymusowych szczepień powinni doświadczyć na własnej skórze, czym jest totalitaryzm. To samo zalecałbym posłom Lewicy, którzy złożyli w Sejmie projekt ustawy o obowiązkowych szczepieniach. Ci ludzie zapatrzeni są w komunizm, stąd bierze się ich skłonność do zamordyzmu i kontroli innych. Wysłałbym całą Lewicę i Tuska z Platformą do Australii, może za pół roku pójdą po rozum do głowy.

W państwach, które dziś tak brutalnie prą do przymusu szczepień, nie sprawdziły się ani szczepionki, ani paszporty covidowe. Ludzie w tych krajach wciąż muszą się poddawać testom i nosić maski, a jest gorzej, niż było. „W pełni zabezpieczeni” podwójną dawką szczepionki tak samo umierają. Tylko głupiec uwierzy w przekaz, że nie ma zgonów, a ogłaszany jest lockdown albo stan klęski. Kiedy jest ogłaszany stan klęski? Tylko wtedy, gdy drastycznie wzrasta liczba zachorowań, kiedy służba zdrowia staje się niewydolna. Pytam, gdzie w takim razie jest ten mityczny efekt powszechnych szczepień?

Mówi pan o totalitarnych zapędach Lewicy i Platformy. W ten trend wpisuje się też jednak kierownic-



Z Rafałem Piechem, prezydentem Siemianowic Śląskich, założycielem ruchu przeciw segregacji sanitarnej
Polska Jest Jedna
rozmawia Ryszard Gromadzki



Zatrzymać diabelski plan

FOT. WOJCIECH WATELSK

two PiS. W sprawie paszportów covidowych mamy do czynienia z „porozumieniem ponad podziałami”?

To „farbowane lisy”, ludzie, którzy jawią się jako politycy prawicy, katolicy odwołujący się do konserwatywnych wartości w rzeczywistości tkwią w tym samym układzie. Powtórzę: nawet ktoś mało rozgarnięty musi zdawać sobie sprawę, że w tym, co prawie od dwóch lat dzieje się wokół nas, nie chodzi o ratowanie życia i zdrowia Polaków czy ludzi na całym świecie. Tutaj chodzi o pełną kontrolę nad światem, o wprowadzenie „nowego porządku”, nowych zasad ufundowanych na komunizmie. Pilotaż realizowany dziś w Australii jutro będzie wprowadzany w następnych państwach. Ci ludzie, o których pan mówi wraz z głównymi mediami, działają na rzecz wprowadzenia „nowego porządku”.

Robert Malone, naukowiec, który wynalazł technologię mRNA wykorzystywaną przy produkcji szczepionek, w niedawnym wywiadzie dla portalu LifeSiteNews powiedział, że ani względy zdrowia publicznego, ani walka z epidemią nie uzasadniają środków, które wdrażane są obecnie przez rządy na całym świecie. W jego ocenie obserwujemy proces postępującego przymierza wielkich korporacji i rządów, w których warunki dyktują korporacje, którego celem jest ustanowienie globalnego totalitaryzmu. W krajach Europy Zachodniej coraz częściej dochodzi do gwałtownych protestów przeciw rygorom narzucanym przez rządy pod pretekstem walki z pandemią. Austriacy, Belgowie, Holendrzy budzą się z letargu?

U nich jest już za późno. Zdecydowana większość tych społeczeństw poddała się szczepieniom. To są ludzie przyzwyczajeni do życia w dobrobycie. Doskonale wiemy, że dobrobyt wychowuje ludzi słabych. Oni sami skazali się na funkcjonowanie w takiej, a nie innej rzeczywistości. Na szczęście w Polsce jest wciąż inaczej. Polacy cenią sobie wolność, wciąż mają wartości i w nie wierzą. Polska na tle Europy jest wyspą, w której wartościami są rodzina, drugi człowiek, wolność, suwerenność. Jesteśmy patriotami. Myślę, że to wszystko daje nam dużą przewagę i świadomość tego, co rzeczywiście się wokół nas dzieje. Polacy budzą się, są ludźmi myślącymi logicznie, dlatego nie ulegają łatwo propagandzie, którą forsują politycy i media w związku z COVID.

Ruch Polska Jest Jedna, którego jest pan założycielem, zbiera w całym kraju informacje o niepożądanych odczynach poszczepiennych i zgonach po przyjęciu szczepionek, także pełnej dawki. Jaki obraz wyłania się z tej wiedzy?

Obserwujemy wiele powikłań wśród osób, które przyjęły dwie, a nawet trzy dawki szczepionki. Coraz więcej takich osób zgłasza się do naszego ruchu, skarżąc się na objawy autoagresji systemu immunologicznego. Wystarczy spojrzeć na sytuację, która ma miejsce wśród młodych sportowców. Ilu z nich umiera nagle. Mamy dziś nową jednostkę chorobową o nazwie „nagle”. Sportowcy w wieku 20, 25 czy 30 lat „nagle” podczas treningów doznają zawałów albo udarów. Pójdźmy dalej. Dzwonią do nas ludzie z całej Polski z informacją, że przyjęli preparat któregoś z koncernów i od kilku miesięcy nie potrafią normalnie funkcjonować, nie mogą spać, cały czas poddają się różnego rodzaju badaniom u lekarzy specjalistów, bo odczuwają chroniczne bóle kończyn dolnych, barku lub stawów. Regularnie zgłaszane są do nas przypadki zakrzepic, udarów wśród osób, które przyjęły szczepionki. Ale najwięcej jest informacji o chorobach autoimmunologicznych.

Czy przypadki, które są do was zgłaszane przez osoby zaszczepione, są rejestrowane w systemie jako niepożądane odczyny poszczepienne?

Absolutnie nie. Takie zgłoszenia nie są przyjmowane przez lekarzy, bo dolegliwości pojawiają się na przykład trzy lub cztery tygodnie po szczepieniu. Niezwykle rzadko udaje się zgłosić skutecznie tego rodzaju przypadek jako NOP. Mamy do czynienia z planem doskonałym.

Czy w takim razie statystyki dotyczące skali zakażeń osób zaszczepionych, wskaźnik ich hospitalizacji i zgonów, a także liczbę NOP-ów wśród osób zaszczepionych podawane przez Ministerstwo Zdrowia można w pana ocenie uznać za wiarygodne?

Dla mnie statystyki podawane przez ministerstwo i szpitale są kompletnie niewiarygodne. Moją rezerwę wobec tych danych opieram na sytuacji, która ma miejsce w szpitalu w Siemianowicach Śląskich. Zdecydowaną większość pacjentów leczonych na COVID, którzy trafili tam na OIOM, stanowią osoby zaszczepione. W naszym szpitalu ok. 38 proc. zgonów przypisanych COVID-19 stanowią zgony osób w pełni zaszczepionych. W sprawie tych statystyk mamy do czynienia z obrzydliwą manipulacją ze strony ministerstwa i mediów.

W przeciwieństwie do większości samorządowców nie ukrywa pan swojego sceptycyzmu wobec dominującej narracji w sprawie zjawiska COVID-19. Jak przyjmują to pana wyborcy? Mają

pana za foliarza czy raczej za jednego z nielicznych sprawiedliwych?

W Siemianowicach Śląskich społeczeństwo jest tak samo podzielone jak w całej Polsce. Pół na pół. Połowa osób podziela moje poglądy, bo widzi, co się dzieje wokół, jest świadoma tej gigantycznej manipulacji. Są wśród nich także osoby, które przyjęły te preparaty, ale widzą, co dotknęło ich bliskich, które po zaszczepieniu ciężko chorują albo nawet zmarły, widzą powikłania wśród osób młodych, które przyjęły te preparaty. Ludzie się budzą. Ostatnie sondaże wskazują, że ponad 40 proc. Polaków zdecydowanie sprzeciwia się przymusowi szczepień. Bardzo odradzałbym rządowi forsowanie jakichkolwiek rozwiązań, które będą prowadziły do segregacji. Będziemy temu bardzo stanowczo przeciwdziałać.

Stanowczo, czyli jak? Jak zatrzymać segregację, do której dąży większość polskiej klasy politycznej?

Na inauguracji ruchu Polska Jest Jedna mówiłem, że możemy to zrobić tylko siłą milionów Polaków. Nie robi tego 100 tys. ludzi, ani 200, ani 500. To muszą być miliony świadomych Polaków, którzy w odpowiednim momencie, jeśli przyjdzie taka sytuacja, będą musieli wyjść na ulice i zmanifestować tę naszą siłę. Druga rzecz, którą powinniśmy robić, to nieustannie alarmować, że rząd nie robi nic, żeby rzeczywiście leczyć tych ludzi, którzy zapadli na COVID. Wiemy, że mamy skuteczne leki, takie jak amantadyna, o której dr Bodnar mówi od samego początku epidemii. Wiemy o nich, że hamują całkowicie rozwój tego wirusa w organizmie. Wielu lekarzy rodzinnych przepisuje równolegle leki antywirusowe, takie jak amantadynę i antybiotyki. Ta terapia okazuje się skuteczna. Dzięki takiemu leczeniu osoby, które zachorowały, nie trafiają do szpitala, choroba się nie rozwija, nie atakuje płuc. To zadaje kłam całej polityce promowanej przez Ministerstwo Zdrowia i tzw. ekspertów.

Ile milionów ludzi zostało przez nich oszukanych? Ilu celebrytów dało się im oszukać w przekonaniu, że promują skuteczny środek na COVID? Mówił o tym ostatnio głośno Adam Małysz. Eksperci, którzy uczestniczą w tym układzie, stracili twarz. Wierzę, że mimo tej gigantycznej manipulacji dzięki ludziom, dla których ważne są prawda, wolność, suwerenność polskiego narodu, uda nam się zatrzymać ten diabelski plan.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Pakt Piłsudski-Petlura

25 maja 1926 r. emigracyjny przywódca ukraiński Symon Petlura został zastrzelony w Paryżu. Zamachowcem był Szolem Szwarcbard. Zabójstwo miało być zemstą za pogromy Żydów dokonywane przez petlurowców w trakcie wojny z bolszewikami. Szwarcbard został uniewinniony przez ławę przysięgłych, co francuska prasa przyjęła entuzjastycznie. W rzeczywistości za sznurki pociągała sowiecka tajna policja. Rękami „żydowskiego mściciela” bolszewicy pozbyli się groźnego wroga.

Tę sensacyjną historię opisuje Stanisław Stępień w kapitalnym tomie IPN poświęconym Petlurze, sojusznikowi Józefa Piłsudskiego z 1920 r. Zgodnie z zamysłem Marszałka Petlura miał stanąć na czele suwerennej, ale sfederowanej z Polską Ukrainy.

Redaktor tomu Mirosław Szumiło słusznie nazywa Petlurę „politycznym realistą”. Zawierając sojusz z Polakami, Petlura musiał bowiem iść na bolesne ustępstwa. Zgodził się na oddanie Galicji i dużej części Wołynia. A więc terytoriów zamieszkałych w większości przez ludność ukraińską i ruską.

To właśnie dlatego wśród galicyjskich Ukraińców Petlura był i jest politykiem nielubianym.

Zdrajcą, który oddał Lachom Lwów, Łuck i Stanisławów. Petlura patrzył jednak trzeźwo na sytuację, w przeciwieństwie do romantycznych radykałów wyznających zasadę „wszystko albo nic”. Zaciśnął więc zęby i poszedł na ustępstwa wobec silniejszego sąsiada, żeby ratować ukraińską niepodległość.

„Polska ma nas uznać, lecz zapewne cena będzie wysoka” – pisał.

Ostatecznie pakt Piłsudski-Petlura poniósł klęskę. Mimo sukcesu wyprawy kijowskiej wojska koalicyjne – w wyniku błędów polskiego dowództwa – zostały wyparte na Zachód przez bolszewików. Drugiej próby wyzwolenia Ukrainy Piłsudski już nie podjął. Co gorsza, Polska w trakcie negocjacji pokojowych w Rydze zdradziła swego sojusznika, uznając sowiecką Ukrainę.

„Oznaczało to pogwałcenie umowy z 1920 r. – pisze Szumiło – i zerwanie sojuszu polsko-ukraińskiego. Lojalnego sprzymierzeńca pozostawiono samemu sobie”. Smutny koniec, dobrze zapowiadającej się historii. ©©



★★★★★

MIROSŁAW SZUMIŁO (RED.)
„SYMON PETLURA. PRZYWÓDCA NIEPODLEGŁEJ UKRAINY”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Sierp i młot nad Pełtwią

Choć już w pierwszych dniach okupacji Lwowa Sowieci popełniali zbrodnie (rozstrzelanie grupy polskich policjantów i żołnierzy), to jednak powszechnie uważano ich za mniej groźnych od Niemców. Armia Czerwona nie sprawiała wrażenia poważnej siły zbrojnej: żołnierze bez butów i z karabinami na sznurkach, oficerowie nieznający elementarnych osiągnięć cywilizacyjnych. Sowieci masowo wykupywali kanki do lewatyw, uważając je za luksusowe cygarniczki, płacili też każdą sumę za zegarki (najbardziej ceniono te z czarną tarczą i błyszczącymi wskazówkami), a na „kiełbasę i inne smaczne rzeczy rzucali się jak dzicy ludzie”. Symbolem bolszewickich porządków nad Pełtwią stała się pewna uroczysta gala z udziałem żon oficerów, panie pojawiły się ubrane w „haliki i koszule nocne uznane za toalety wieczorowe i ekskluzywne”.

Masowemu wykupowi towarów sprzyjał wprowadzony czasowo parytet rubla i złotych (realna siła nabywcza wynosiła jeden do pięciu), co spowodowało, że luksusowe produkty nieznane za Zbruczem były dla okupantów stosunkowo tanie. W efekcie Sowieci hurtowo nabywali wszystko: „Od damskiej bielizny i innych części garderoby aż po łyżki, widelce czy latarki elektryczne”. Sytuacja zmieniła się dopiero po 12 grudnia 1939 r., kiedy to wycofano z obiegu złotego.

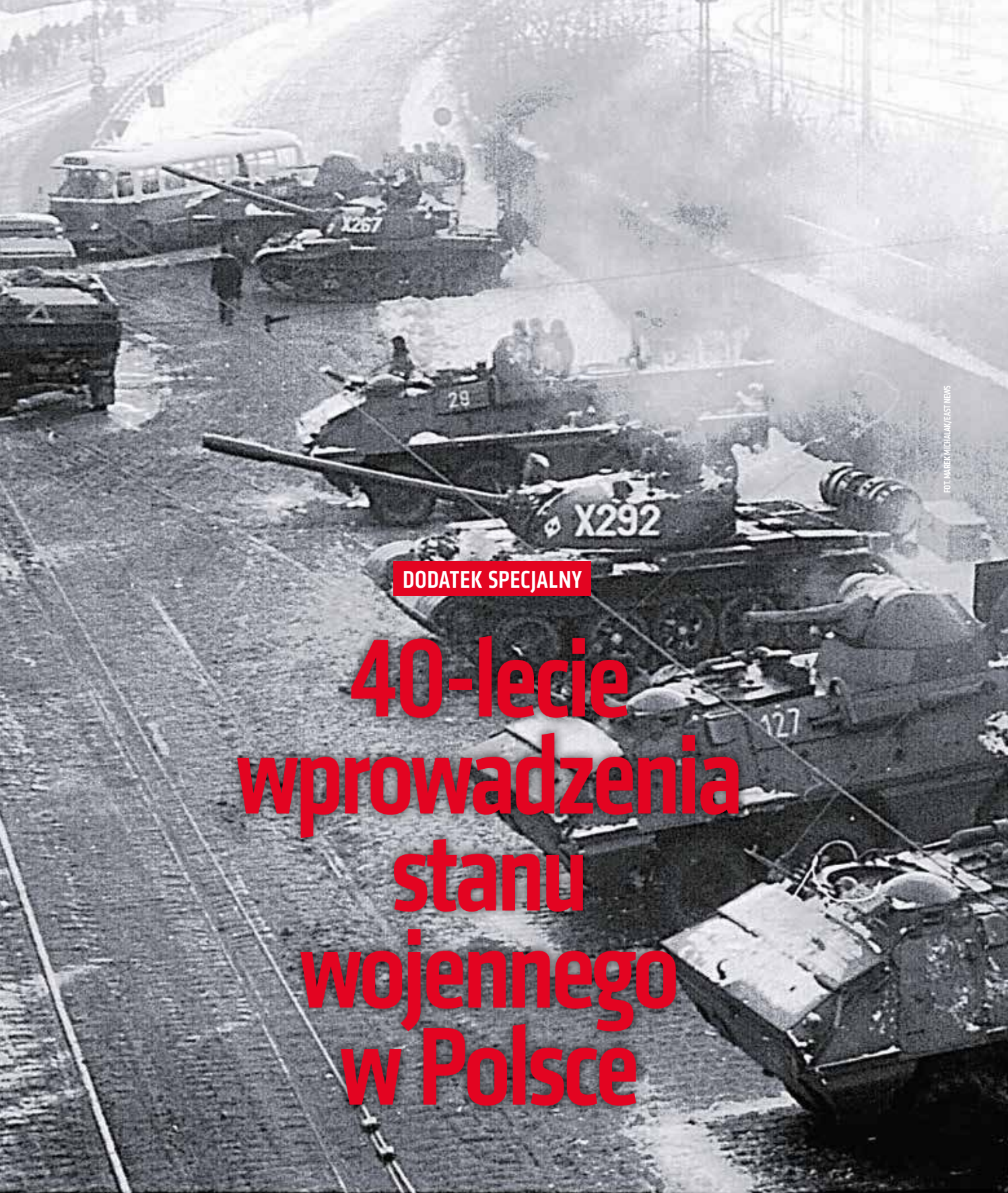
Inna sprawa, że lwowskie sklepy zostały już przetrzebione z towarów.

„Nikt się jeszcze nie orientuje, czym to grozi – wspominał płk Klemens Rudnicki, który w połowie października trafił do Lwowa – i wydaje się raczej dziecinnie naiwne i mało niebezpieczne. Panuje ogólne przekonanie, iż coś tak głupiego i niezaradnego, jakimi przedstawiają się bolszewicy, nie może trwać długo i samo przez się wywróci się”.

Lwowiaci początkowo obawiali się, że Sowieci natychmiast rozpoczną krwawe porachunki z wrogami klasowymi, dlatego zachowanie okupantów było dużym zaskoczeniem. Nie znano jeszcze wówczas bolszewickich metod sprawowania władzy i powszechnie uważano, że wprowadzony przez nich system nie będzie mógł długo się utrzymać w cywilizowanej Europie.

„Sowiety ocenialiśmy jako mniej groźne – przyznawał Rudnicki. – Głupi, naiwni, kulturalnie niżsi, nie zabijają bezmyślnie i nie tępią ludności. Wprowadzają jedynie niesamowity bałagan i nędzę, która spowoduje z pewnością wiele nieszczęść na ludzi, ale z której będzie można się wydobyć. [...] Gdy spłyną z powrotem na wschód, szybko nie będzie śladu po ich pobycie”.

Nikt wówczas jeszcze nie podejrzewał, do czego zdolni są bolszewicy, i ta niewiedza miała drogo kosztować... ©©



FOT. MAREK MICHAŁ/FAST NEWS

DODATEK SPECJALNY

40-lecie wprowadzenia stanu wojennego w Polsce

MECENASI



PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNERZY





15 grudnia 1981 r. Jednostki 8. Dywizji Zmechanizowanej LWP wyjeżdżają z placu przed Stoczną Gdańską FOT. IPN

Alfabet stanu wojennego Piotra Semki



Piotr Semka

13 grudnia 1981 r. to była niedziela. Tak naprawdę pierwsze aresztowania zaczęły się w sobotę wieczorem. W moim rodzinnym Gdańsku już w nocy przószył śnieg. Wszyscy zapamiętali z „Poranka” głównie przemówienie Wojciecha Jaruzelskiego, które wygłasza-

ne było zimnym, bezwzględny głosem sowieckiego robota. Ten alfabet skupia się głównie na pierwszym tygodniu stanu wojennego, ale oczywiście sięga także w kolejne tygodnie. Formalnie stan wojenny zakończył się 22 lipca 1983 r., ale faktycznie system rządów, które wprowadził Jaruzelski – z jego terrorem i inwigilacją – trwał aż do czerwca 1989 r. W tym alfabecie gromadziłem wspomnienia dotyczące ważnych faktów historycznych, ale też ulotnych drobiazgów – zapisów nastrojów, niekiedy

zapomnianych już aktów odwagi i z drugiej strony przypadków tchórzostwa czy podłości. Te wszystkie elementy mieszają się dziś w pamięci zbiorowej Polaków, którzy nie mogą zapomnieć tamtych upiornych tygodni i miesięcy. Alfabet ten dedykuję wszystkim tym, którzy w stanie wojennym zostali zamordowani lub stracili zdrowie w wyniku represji PRL.

Aluzje i przecieki – Wiadomości o przygotowywaniu przez wojsko i MSW masowej akcji mającej zmiażdżyć ruch Solidarno-

ści przeciekały z rodzin milicyjnych i partyjnych, począwszy od końca października 1981 r. Mimo bardzo skrupulatnie zachowywanej tajemnicy służbowej członkowie rodzin, a szczególnie młode pokolenie, zauważali coraz częstsze znikanie rodziców, głównie mężczyzn, na szkolenia, narady i służbowe „operatywy”. Niekiedy te sygnały, które docierały do struktur Solidarności były efektem rosnącej pewności siebie ludzi, którzy opowiedzieli się po stronie PZPR. Mściwie aluzje w stylu „Już niedługo tej waszej Solidarności”, były wygłaszane w twarz nie lubianym sąsiadom utożsamianym z „kontrrewolucją”. Solidarność przyjęła taktykę unikania nagłaśniania takich plotek, obawiając się, że zwiększy to i tak już rosnące zmęczenie Polaków kryzysem.

Audycja „Studio Gama” – Ten niezwykle popularny muzyczny blok, który w soboty trwał w godz. 23–1, zazwyczaj prowadzony był przez najpopularniejszych prezenterów radiowej Jedynki. Jednym z pierwszych sygnałów, który kazał mi podejrzewać, że dzieje się coś dziwnego w sobotni wieczór 12 grudnia, była zmiana formuły popularnego bloku. Zamiast dziennikarzy muzycznych dziennikarz serwisów radiowych Sławomir Szof jedynie podawał godziny między nadawanymi bez żadnego komentarza piosenkami. Być może za tę bardzo specyficzną rolę tamtej nocy Szof został nagrodzony potem w 1984 r. funkcją korespondenta TVP i Polskiego Radia w Rzymie.

Babcie – Starsze panie z odważnym sercem odegrały niezwykle ważną rolę w wyciąganiu młodych ludzi z rąk zomowców. Szczególnie w pierwszych dniach po 13 grudnia wypytywały wyzywająco żołnierzy z obsługi czołgów, które wyjechały na ulice Gdańska: „Wy Polacy jesteście? Polacy? Polacy tak nie postępują!”. Równie ważne były interwencje babć, gdy dostrzegały one zomowców legitymujących młodych chłopaków: „Co się czepiacie chłopaka? Co wam takiego zrobił?”. Tego typu odsiecz wyprowadzała milicjantów z rezonu i bardzo często, nie chcąc przeciągać niezręcznej sytuacji, oddawali dokumenty. Dla ludzi, którzy mieli ze sobą ulotki, takie nagłe przyspieszenie legitymowania bywało zbawieniem.

„Bluzg”, czyli życzenia dla generała – Do dziś nie wiadomo, kto napisał ten fascynujący poemat. Ocalił go od zapomnienia

Emilian Kamiński, który wydobyl gdzieś ulotkę z wydrukowanym tekstem utworu i w swoim kongenialnym wykonaniu uwiecznił go na dobre.

„Ty farbowana świnio, premierze kurewski, chamie zbuntowany, zatechła skleroza, gnoju zasmarkany, zbiegu prosto z zoo, gnido zarzygana, jadowita mendo, ty kukło je.ana, ruski przybłędo, tchórz zafajdany, ropiejący wrzodzie, ty diabelskie łajno, ty głupi pustaku, ty kur.o sprzedajna, ty sowiecki zupaku [...] Ty pało gumowa, wredny okupanie, zakało narodowa, złamany palancie, cuchnący śmierdzieliu, pełzająca glisto, ponury skurieleu, czerwony faszysto. Ty sługo kremłowy, lokaju sowiecki, ty zbroju parszywy, pomocie radziecki, ty mówco obłąkany, nadęty bufonie, za naród sprzedany piekło cię pochłonie”.

Cały poemat liczył sobie znacznie więcej wersów, dziś pewnie brzmi dość banalnie i wulgarnie. Ale w pierwsze wieczory stanu wojennego odczytywany na spotkaniach w czasie godziny policyjnej doskonale pomagał odreagować szok 13 grudnia.

Brygida – Pamięć o ks. Henryku Jan-kowskim, proboszczu gdańskiej parafii św. Brygidy, jest dziś obciążona wieloma oskarżeniami o molestowanie seksualne. A jednak warto pamiętać, że od pierwszych godzin stanu wojennego to właśnie „Brygida” była miejscem, w którym spisywano listy osób aresztowanych, pomagano zdruzgotanym rodzinom i modlono się za internowanych. Bez tej swoistej ambasady solidarnościowej na terenie kościelnym ileś żon, mężów i dzieci aresztowanych załamałoby się w otchłani beznadziei. Przez kolejne miesiące to właśnie poprzez „Brygidę” docierały do potrzebujących paczki z żywnością. Msze za ojczyznę każdego 13. dnia miesiąca budowały siłę duchowego oporu gdańszczan i szerzej – mieszkańców całej Polski.

Butelki po mleku – W czasie zadym 16 i 17 grudnia w Gdańsku stały się wygodnym narzędziem do prób robienia koktajli Mołotowa. Butelki były dostępne, ponieważ stały w skrzynkach przy sklepach, ale niespecjalnie zaszkodziły milicyjnym transporterom. Demonstranci wlewali do nich benzynę ściągając ze stojących na ulicy pojazdów, zatykali je kawałami papieru, podpalali i rzucali w jadące pojazdy milicyjne, ale oprócz efektownego łoskotu rozbijanego szkła

nic z tego nie wynikało. Do prawdziwych koktajli Mołotowa potrzebna jest specjalna mieszanina benzyny z olejem w odpowiednich proporcjach. Demonstranci tego nie wiedzieli i lali do butelek tylko benzynę, a ta szybko ściekała z pancerzy transporterów.

Czujni – zazwyczaj wywodzili się albo z pokolenia wojennego, albo z opozycjonistów, którzy drukowali ulotki jeszcze w końcu epoki Gierka. Wbrew entuzjastom i optymistom, którzy byli przekonani, że władza nie odważy się podnieść ręki na Solidarność, czujni już od października 1981 r. zakładali czołowe zderzenie z władzą. Po cichu wycofywali część sprzętu z regionów Solidarności do tajnych skrytek, gromadzili ryzy papieru, a nawet przygotowywali w piwnicach profesjonalne lokale na drukarnie. Dzięki ich zapobiegliwości podziemny rynek ulotek mógł ruszyć dosłownie od pierwszego dnia stanu wojennego.

Danielewicz Stanisław – Był znanym dziennikarzem zajmującym się jazzem, którego felietony w „Dzienniku Bałtyckim” cieszyły się ogromną popularnością. I oto jego felieton zamieszczony w jednym z numerów z pierwszych miesięcy stanu wojennego tuż przed demonstracją 13 lutego 1982 r. formalnie opowiadał o nowej płycie piosenkarz wóczas piosenkarki Amandy Lear. Tyle że pierwsze litery akapitów układały się w hasło „Wrona skona”. Odważny dziennikarz zapłacił za to dziewięcioma miesiącami więzienia.

Elokwentne trepy – W pierwszych tygodniach po puczu Jaruzelskiego kuratoria oświaty zaczęły zawiadamiać szkoły średnie o planowanych wizytach komisarzy wojskowych, którzy mieli tłumaczyć młodzieży przyczyny wprowadzenia stanu wojennego. Komisarze pojawili się także w moim gdańskim III Liceum. Były to stare wygi, które nie dawały się bynajmniej wyprowadzać z równowagi zaczepnymi pytaniami młodych. Wręcz na odwrót. Uwielbiali, gdy ktoś próbował ich zagiąć, i zalewali słuchaczy drętą retoryką z propagandowych okólników. O wiele skuteczniejsza była inna metoda; od jednej z matek kolegów pracujących w wytwórni konserw otrzymaliśmy parę litrów wnętrzości rybich, które „nastawiliśmy” do zgnicia na kaloryferze w piwnicy kolegi. Wczesnym rankiem

■ w szkolnej auli, gdzie miało być spotkanie z komisarzem WRON, rozlaliśmy pięć litrów wstrząsająco smrodliwej cieczy. Sala została tak skutecznie zasmrodzona, że prelekcję trzeba było odwołać.

Facet z szabłą – W pierwszych tygodniach po 13 grudnia żelaznym punktem wydawanych wówczas gazet były komunikaty Prokuratury Wojskowej o zatrzymaniu osób łamiących przepisy stanu wojennego. Spośród wielu takich komunikatów utkwił mi w pamięci jeden, który miał w sobie ducha Somosierry. Oto bodajże w Bydgoszczy jakiś emerytowany były ułan zaatakował szabłą patrol zomowców. Wskrzesciel ułańskich tradycji otrzymał surowy wyrok więzienia, ale jednocześnie zapewnił sobie wdzięczność i sympatię milionów Polaków.

Fachowcy z AK – W 1981 r. osoby urodzone w 1920 r., czyli generacja tzw. Kolumbów, były ludźmi około sześćdziesiątki. Gdy tylko zaczęła się konspiracyjna epopeja, stali się najbardziej cenionym punktem oparcia dla wszystkich ukrywających się i szukających miejsca na tajne drukarnie. Niczego nie trzeba było im tłumaczyć i do niczego nie trzeba było ich zachęcać. Działali sprawnie i doskonale wiedzieli, jak omijać esbeckie pułapki. Uczyli nas, młodych, jak organizować przysyłanie informacji i jak gubić ogony. I, co najważniejsze, promienili wówczas dumą, że ich AK-owskie doświadczenia mogą przydać się kolejny raz.

Górnicy z Wujka – O masakrze w katowickiej kopalni dowiedziałem się w bardzo dramatyczny sposób. 16 grudnia od rana między tzw. Zieleniakiem, czyli dużym wieżowcem w pobliżu Stoczni Gdańskiej, a dworcem PKP trwała regularna bitwa z zomowcami, która toczyła się aż do zapadnięcia zmroku. Około południa ze zdumieniem zauważyłem, że nieco na uboczu pola walki iluś ludzi kłęczy na śniegu przy wbitym w skamieniałą ziemię kilofie górniczym, na którym ktoś powiesił obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Gdy przepchnąłem się przez tłum i zapytałem, skąd ta modlitwa, ktoś szepnął mi do ucha, że Wolna Europa podała informację o masakrze w stolicy Górnego Śląska. To modlitewne czuwanie na śniegu ok. 20 metrów od przesuwającej się linii walki gdańszczan z zomowcami wyglądało jak jakaś scena z filmu Andrzeja Tarkowskiego o Rublowie.

Szukałem potem zdjęć tej wstrząsającej modlitwy, ale nie znalazłem. A przecież była to scena godna pędzla Matejki.

Hunta, czyli junta – Wojskową Radę Ocalenia Narodowego od razu zaczęto nazywać huntą. Ale że w języku hiszpańskim zamiast „h” pisze się „j”, to ktoś pomysłowy wykorzystał tę pisownię do bardzo dowcipnego hasła: „Junta juje”. Inny slogan, który zobaczyłem na murach, głosił: „Wojtek, nie wiem, jak będzie z historią, ale u mnie masz prze....ne”.

Interna – Najbliższy od Gdańska obóz internowania był w małej wioseczce Strzebielinie koło Wejherowa. Pamiętam dobrze opowieści rodzin więzionych tam działaczy Solidarności, którzy opisywali, jak solidnie strzeżony jest ten ośrodek. Dalej na zachód słynny był obóz internowania w Darłównu, gdzie przetrzymywany był np. Tadeusz Mazowiecki. Listy i grypsy ze Strzebielinka były ogładane z czcią, jak prawdziwe relikwie. A twórczość internowanych w postaci kapliczek czy świętych obrazków eksponowana była w kościele św. Brygidy. Dziś pewnie brzmi to nieco śmiesznie, ale ludzie ogłądali je z naprawdę ogromną czcią.

Jaruzelski – Szef WRON przedstawiany jest dzisiaj przez jego obrońców jako postać tragiczna. Współczesny Hamlet, który musiał wybierać między sowiecką inwazją a posprzątaniem po Solidarności. Tymczasem moja pamięć sprzed 40 lat przekazuje zupełnie inne powszechne społeczne wyobrażenie. „Jaruzela” zwano „Zomozą” (od nazwiska uważanego wówczas za wcielenie zła dyktatora Nikaragui Anastasio Somozy) albo „Spawaczem” – od ciemnych okularów. Nam, młodym, Jaruzelski kojarzył się wówczas z nudnymi, wielogodziennymi przemówieniami wygłaszanymi językiem tępego trepa. Transmisje te wypełniały telewizyjne wieczory. Co ciekawe, po 1989 r. jakieś ręce wyczyściły archiwa telewizyjne z tych nudnych przemówień. Mam podejrzenie, że odbyło się to w ramach akcji budowania nowego image generała jako eleganckiego džentelmena starej daty.

Kawały – Jedną z tradycyjnych cech Polaków jest natychmiastowe odregulowanie sytuacji zagrożenia ulicznym humorem. Kawały na temat WRONY mnożyły się jak króliki. Przypominam sobie dwa dowcipy z grudnia

1981 r. Pierwszy opowiadał o zomowcu, który przychodzi do lekarza z siekierą w plecach. Lekarz pytał: „Teściowa?”. A zomowiec odpowiada: „Nie, Wujek”. Kolejny dowcip opowiadał, jak to jeden z mieszkańców gdańskiego bloku wychodzi mimo godziny milicyjnej na spacer. Zatrzymany przez patrol tłumaczy, że mieszka w pobliskim budynku i wystarczy spytać gospodarza obiektu. Jeden z zomowców idzie sprawdzić, po czym wraca i wściekle krzyczy: „Okłamałeś nas! Gospodarz mówi, że tam wcale nie mieszka”. Skatowany pechowiec dowieleka się do bloku i na schodach wita już go gospodarz domu: „Panie Władku, byli po pana. Ale oczywiście powiedziałem, że nikt taki tu nie mieszka”.

Kolor butów – W pierwszych dniach stanu wojennego jedną z kluczowych umiejętności stało się rozróżnianie patroli wojskowych od zomowskich. Moro, którego używało LWP, różniło się tylko nieznacznie odcieniem od nieco ciemniejszych mundurów polowych milicji. Dlatego o wiele skuteczniejsze było zerkanie na kolor butów. Wojskowi mieli buty brązowe, a zomowcy czarne. Różnica była istotna. Wojskowi przechadzali się w paruosobowych grupach z karabinami na plecach, ale unikali bezpośrednich interwencji, jak mogli. Zomowcy dla odmiany dyszel nienawiścią i tylko szukali zwady.

Kwiaciarnia pechowca – Na początku grudnia 1981 r. jeden z gdańskich prywaciarzy otrzymał niełatwą do uzyskania zgodę na budowę prywatnej kwiaciarni, która miała stanąć przy ul. Wały Jagiellońskie, niedaleko tzw. budynku LOT-u. Przedsiębiorczy gdańszczanin zgromadził potrzebne cegły, worki z cementem, a nawet gruszkę do betonu. Pech chciał, że 17 grudnia właśnie tamten teren był miejscem starć z milicją. Zadymiarze szybko rozebrali deski ogrodzenia na barykady, a rozłupanymi cegłami zaczęli walić w milicję. W ciągu paru godzin cały zgromadzony zapewne kosztem wielu wyrzeczeń skład materiałów budowlanych zniknął jak kamfora. Ciekawe, jak prywaciarz wyglądał, gdy odkrył puste miejsce po swoich surowcach budowlanych.

Legendy – Pierwszy tydzień stanu wojennego był pełen barwnych plotek. Najwięcej mówiono o rzekomych

PRZYSZŁOŚĆ JEST **Z MIEDZI**



60 LAT
KGHM
— POLSKA MIEDŹ —

www.kghm.com



Wierzymy, że przyszłość jest z miedzi! Miedź jest trwała, odporna na rdzę, doskonale przewodzi ciepło i elektryczność. To surowiec niezbędny w fotowoltaice, energetyce wiatrowej, przemyśle motoryzacyjnym, medycynie oraz innych gałęziach nowoczesnego przemysłu. KGHM to Odkrywcą – Gigant – Wizjoner. Działalność wydobywczą i przetwórczą prowadzimy od 60 lat, będąc w niej globalnym liderem. Z pasją i wizją budujemy potęgę KGHM na całym świecie.



16 grudnia 1981 r., starcia z ZOMO przed Dworcem Głównym w Gdańsku FOT. IPN

■ egzekucjach oficerów czy to żołnierzy, którzy mieli odmówić, jak to się wtedy dość wyniośle mówiło, „strzelania do Polaków”. Częste były opowieści o dzieciach zabranych z zakładowych przedszkoli, które ZOMO miało trzymać na mrozie, aby złamać opór górników na Górnym Śląsku. Te ostatnie opowieści były na tyle nośne, że w trakcie mszy za ojczyznę w gdańskiej „Brygidzie” w litanii powtarzano frazę: „Matko na mrozie trzymany – módl się za nami”. Inną legendą pierwszych dni po 13 grudnia była rzekoma śmierć Tadeusza Mazowieckiego w czasie nocy aresztowań. W Paryżu odprawiono nawet mszę żałobną za ówczesnego doradcę Solidarności.

Lgnięcie – Groza pierwszych dni stanu wojennego skłaniała ludzi do gromadzenia się po domach, gdzie wieczorami wymieniano najświeższe informacje, pito hektolitry herbaty i kawy czy po prostu słuchano Radia Wolna Europa albo piosenek Kaczmarek z magnetofonu kasetowego Kapral. Atmosfera napięcia, lęku odreagowywana była w różne sposoby. Albo na wspólnych modlitwach, albo poprzez desperackie akcje malowania napisów na murach, albo wreszcie grudniowe noce zbliżały do siebie ludzi w sensie dosłownym. Wycofani licealiści, którzy nie śmieli nawet podnieść wzroku na ukochaną z równoległej klasy, bardzo często za zgodą rodziców zostawali w domu koleżanki, powołując się na brak możliwości powrotu z racji godziny policyjnej. Oficjalnie mieli nocować na

kanapie w salonie, ale bardzo często kończyło się wszystko w zupełnie innym miejscu. Takie też bywały efekty napiętych nerwów po 13 grudnia.

Listy proskrypcyjne – Była to ulubiona legenda władz stanu wojennego. Specjalistą od opowiadania takich historii był wojskowy propagandzista Janusz Przymanowski, który opowiadał w Sejmie, jak to Solidarność szykowała listy członków PZPR i milicjantów przeznaczonych do wymordowania wraz z rodzinami. Ten oratorski zapal niegdysiejszego scenarzysty „Czterech pancernych i psa” uwieczniony został w piosence: „Siekiera, motyka, siwe włoski, w Sejmie szczeka Przymanowski”.

Małe formy oporu – Gdy sięgam pamięcią do tamtego ponurego grudnia, zdumiewa mnie dziś szybkość przestawienia się dużej części Polaków na reguły społeczeństwa podziemnego. Wszyscy wszystko wiedzieli, tak jakby epoka wojennego podziemia skończyła się raptem parę lat wcześniej. Miłośnicy elektroniki pamiętają do dziś, jak z dnia na dzień przybywali do nich rozmaici znajomi, prosząc o załatwienie opornika. Ta mała część była wpinana w swetry czy żakiety, była symbolem oporu, ale i potrafiła ściągnąć na osobę, która nosiła ten symbol, furię zomowców. Mnie rozczuliła skromna pani z biblioteki publicznej przy ul. Podwale Staromiejskie w Gdańsku, nakleiła plakat: „Nie oddychać – stan wojenny!”.

Nowy Port – Strajk w Stoczni Gdańskiej trwał od wieczora 13 grudnia w niedzielę do poranka 16 grudnia w środę, kiedy czołgi zmiażdżyły słynną bramę nr 2 i rozgoniły stoczniovców. Przez środę i czwartek trwały ostre zajścia w centrum Gdańska. Ponieważ wciąż mówiono, że trzyma się jeszcze załoga portu gdańskiego, w piątek 18 grudnia pojechałem kolejką do Nowego Portu – dzielnicy Gdańska, w której znajdowały się urzędnictwa portowe. Do dziś pamiętam sine pochmurne niebo, opustoszałe ulice i jeżdżące w tę i w tę milicyjne gaziki. Po dłuższym łożeniu dookoła Nowego Portu zorientowałem się, że żadnego strajku już nie ma. Wracając na dworzec kolejki, modliłem się, aby żaden patrol mnie nie zgarnął. Modlitwy zostały wysłuchane i szczęśliwie powróciłem do domu. Cytując klasyka Jacka Kuronia: „Zrozumiałem, że to już koniec”.

Ormowcy – Byli jednym z największych zagrożeń dla wszystkich, którzy prowadzili tajne drukarnie. Ormowcy byli zazwyczaj emerytowanymi partyjniakami, którzy nienawidzili solidarnościowców, za to mieli dużo czasu na obserwowanie lokali, które uznali za podejrzaną. Gdy udało im się przyczynić do aresztowania konspiratorów, z dumą puszyli się przed młodszymi esbekami, że „stara gwardia jeszcze potrafi pokazać, na co ją stać”.

Parlament uczniowski – Ten symbol sierpniowej rewolucji w III LO w Gdańsku nie miał szans na przetrwanie po 13 grudnia. Gdy w styczniu rozpoczęliśmy na nowo naukę, parlament zebrał się na ośnieżonej polanie w lesie nieopodal ul. Jaśkowa Dolina. Wraz z członkami prezydium parlamentu – Jarosławem Kurskim i Radosławem Kryszkiem – zaproponowaliśmy samorozwiązanie naszej reprezentacji uczniowskiej. Z przykrością obserwowałem tych delegatów do parlamentu, którzy przyjęli to z nieskrywaną ulgą. Ale bardzo wielu z „parlamentarzystów” stało się potem podstawą uczniowskiego ruchu oporu w III LO.

Plecakowcy i brodacze – W pierwszych tygodniach po stanie wojennym za pomocą szeptanki rozpowszechniano w Gdańsku następujący apel. Jeśli chcesz pomóc ludziom podziemia, to zapij broda i noś na co dzień plecak. W sytuacji, gdy bardzo wielu ludzi z dnia na dzień zaczynało się

Nawet dziecko wie...

#DobryKierowca
nigdy nie jeździ
po alkoholu



Miko Marczyk
kierowca rajdowy

Miko Marczyk



Dowiedz się więcej na www.orlen.pl

■ ukrywać, zazwyczaj zapuszczało brody, aby zmienić swój wygląd. Chodziło więc o to, aby jak najwięcej mężczyzn zapuszczało brody i aby w tym tłoku zniknęli autentyczni konspiratorzy. Tak samo było z plecakami. W sytuacji, gdy bardzo wielu ludzi zaczęło je nosić, ci, którzy naprawdę przynosili ulotki, siłą rzeczy ginęli w tłoku.

Rogatywki – W końcu grudnia 1981 r. gen. Jaruzelski postanowił błysnąć do wódem na patriotyzm. Ogłoszono, że kompania reprezentacyjna WP została ubrana w rogate czapki. Rozmaici dziwni endecy, którzy w Jaruzelskim i wojsku widzieli spadkobiercę narodowej suwerenności, rozwodzili się nad tym w peanach.

Reagan Ronald – Dla Polaków oburzonych zamachem stanu Jaruzelskiego osobisty ton, w którym prezydent Ronald Reagan mówił o swoim podziwie dla Solidarności, był czymś niezwykle cennym. Po cynicznym prezydencie Geraldzie Fordzie i słabeuszu Jimmym Carterze Reagan był pierwszym od lat prezydentem USA, którego Polacy kochali. Razem z Janem Pawłem II pomógł zniechęcić Moskwę do bezpośredniego najazdu na Polskę. I za to obaj wielcy mężowie stanu mają w moim rodzinnym Gdańsku pomnik. Nigdy też nie zapomnę, jak Reagan umieścił w oknie Białego Domu świeczkę Solidarności z walczącą Polską.

Rzucanie legitymacją – 13 grudnia był momentem, w którym bardzo wielu partyjnych przeżyło swoiste katharsis. Oddawali legitymacje PZPR i – jak to wtedy mówiono – „dołączali do szaczonej grupy bezpartyjnych Polaków”. Wymagało to determinacji i osobistej uczciwości. Dziś, po latach, bardzo często wypomina im się, że w ogóle byli w PZPR. Ale to kąśliwość, która lekceważy powagę ich wyboru wtedy – 40 lat temu.

Skruszeni – Tak nazywano zastraszone działaczy Solidarności, którzy występowali w „Dzienniku Telewizyjnym” i – jak to się wtedy oficjalnie mówiło – deklarowali, że nie będą naruszać przepisów stanu wojennego. Najcenniejszą zdobycz propagandzistów Jaruzelskiego był rzecznik prasowy Komisji Krajowej Solidarności Marek Brunné. Stan wojenny zastał go na konferencji naukowej w Seattle i wrócił do kraju dopiero w styczniu. Niedługo potem wystąpił

w telewizji i poparł WRON. Podobny występ miał na swoim koncie także, choć nieco później, Jan Kułaj, młody lider Solidarności rolniczej. W noc stanu wojennego został on internowany, ale zwolniono go 28 kwietnia 1982 r. po jego zgodzie na występ w TVP i samokrytykę za działalność w Solidarności Wiejskiej. Niedawno przypadkiem dowiedziałem się, że Kułaj w 2014 r. kandydował do sejmiku województwa podkarpackiego z ramienia Platformy Obywatelskiej.

Stocznia – Dla wszystkich tych, którzy mieli jeszcze w pamięci słoneczny zwycięski sierpień '80, strajk w Stoczni Gdańskiej rozpoczął wieczorem 13 grudnia był całkowitym przeciwieństwem tamtych dni. Był solidny mróz i wraz ze zmrokiem topniały grupy gdańszczan, którzy stali przed stoczniową bramą. W halach było zimno, każdej nocy spodziewano się ataku ZOMO. Różnie obliczana jest liczba uczestników protestu, ale można przyjąć, że nie było ich więcej niż ok. 300–350. Rankiem 16 grudnia czołgi zmiażdżyły bramę stoczni i zaczęto wygarnianie protestujących. Symbolem tamtego protestu będzie słynne zdjęcie „no pasarán” ukazujące stoczniowców w chwili ataku czołgów.

Telefony – Podziemna piosenka tak wspominała 13 grudnia: „Grudniowy wstał świt, nie wiedział nikt nic, milczały jak grób telefony”. To nagłe odcięcie połączeń telefonicznych do dziś pamiętają dobrze ci mężowie, których żony rodziły, lub bliscy, których krewni wymagali pilnego wezwania pogotowia ratunkowego. Po pewnym czasie połączenia telefoniczne przywrócono, ale z natrętnym ostrzeżeniem: „Uwaga, rozmowa kontrolowana”. Popularny dowcip odpowiadał wówczas na pytanie: „Co to jest szczyt odwagi? Podejść do zomowca i zapytać, czy można skorzystać z automatu”.

Ukrywanie – Nikt nie napisał jak dotąd dobrej monografii historycznej o fenomenie ukrywania setek działaczy Solidarności w latach 1981–1986 r. Rodziny, które zgodziły się na takie przetrzymywanie poszukiwanych konspiratorów ryzykowały wiele, a jednak system tajnych lokali funkcjonował niezwykle sprawnie. Lepiej znosili takie ukrywanie się intelektualiści, którzy mogli zatopić się w książkach, a znacznie gorzej działacze niższych szczebli Solidarności, których

bezczynność męczyła. Ale system działał mimo to bardzo sprawnie.

Uwalane ręce – Decydowały o kłopotach lub nie. 17 grudnia 1981 r. milicja okrążyła młodych zadymiarzy na dworcu PKP w Gdańsku. Części zadymiarzy udało się dostać do pociągu do Częstochowy, który akurat wjechał na dworzec. Ale pociąg był już i tak zapchany, więc zbyt wiele osób nie wchłonął. Reszta próbowała małymi grupami opuszczać rejon dworca, ale ZOMO sprytnie ustawiło się w różnych punktach wyjściowych i sprawdzało ręce. Jeśli na paznokciach czy na opuszkach palców było choć trochę ciemnobrązowego pyłu z podkładów kolejowych (takimi kamieniami obrzucano milicjantów), to można było się już z góry gotować na pałowanie na dziedzińcu wywiezienia przy ul. Strzeleckiej w Gdańsku.

Wałęsa – Ostatnia sesja Komisji Krajowej odbywała się przez większą część soboty 12 grudnia. Pamiętam relacje uczestników tej ostatniej „krajówki”, którzy wspominają, że lider Solidarności po przerwie obiadowej wyłączył się z dyskusji. Zirytowany buńczuczными wypowiedziami działaczy zażartował zgryźliwie, że trzeba sprawdzić, co znajdowało się w obiadach, bo najwyraźniej one zaszkodziły zebrany. Dość uparcie powracała wówczas plotka, że Wałęsa miał w czasie przerwy obiadowej być poinformowany przez wysłanników Kiszczaka, że stan wojenny zostanie wprowadzony tak czy inaczej i wszelki opór nie ma sensu. Faktem jest, że mimo pierwszych sygnałów o zatrzymywaniu działaczy opozycji już od godz. 22 w sobotę 12 grudnia Wałęsa poszedł spać. Dopiero po północy 13 grudnia obudziła go ekipa z wojewodą gdańskim wysłana dla poinformowania go o zatrzymaniu.

Zwierz Adam – Jego piosenka „Gdy Polska da nam rozkaz” puszczana była do znużenia w telewizji i radiu stanu wojennego. „Gdy Polska da nam rozkaz, stanie cały naród nasz, jak zielony młody las zgłosimy się do wojska, żeby wrogom spojrzeć śmiało w twarz”. Być może w grudniu 1981 r. Adam Zwierz „patrzył wrogom śmiało w twarz”, ale po upadku komunizmu nikt nie chciał go już widzieć. Przejdź do historii jako taki symbol stanu wojennego to żadna sława.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

NAJWIĘKSZEGO MECENASA SPORTU I KULTURY W POLSCE!

Ponad

16

MLD ZŁ

łączna kwota dopłat
przekazana na polski
sport i kulturę narodową
w latach 1994-2020

Ponad

1

MLD ZŁ

**rekordowa suma
dopłat** przekazana
na te dwie ważne
dziedziny życia
społecznego
w 2020 roku



#WielkieChwile

13 GRUDNIA 1981

PAMIĘTAMY



ipn.poczytaj.pl



WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN



Pochód pierwszomajowy
w Gdyni – 1 maja 1982 r. FOT. AIPN

Stan wojenny w Gdyni – 1 maja. Chcieli pochód – mieli pochód

Małgorzata Sokołowska

Trwał piąty miesiąc stanu wojennego – a wraz z nim zbliżało się święto 1 Maja. Zawłaszczone przez komunistów jako „swoje” było znakomitą okazją do przypomnienia reżimowi stanu wojennego, że klasa robotnicza nie zapomniała o Solidarności

Tuż przed majowym świętem kierownictwo Komitetu Miejskiego PZPR spotykało się z „aktywem robotniczym”, oficjalna prasa zachęcała do masowego udziału w pochodzie. Równocześnie na mieście pojawiły się ulotki z apelami Regionalnej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność”: „Dzień 1 Maja – wieloletnie święto robotnicze – za sprawą stanu wojennego przestał istnieć! Nie ma miejsca dla święta klasy, której wypowiedziano wojnę, której przedstawiciele internowani i aresztowani oczekują bądź odsiadują wieloletnie wyroki. Absurdem zatem byłoby manifestowanie w tym dniu radości, której w narodzie nie ma. Swój smutek i żalobę narodową okazemy, udając się na uroczyste Msze św. odprawione w intencji Ojczyzny i Narodu. [...] Nie dajmy się zastraszyć, nie ulegajmy presji pracodawców – nie uczestniczymy w obchodach święta, które jest fikcją”.

Gdy ruszył oficjalny pochód, towarzysze z gdynińskiego komitetu PZPR telekowali z częściową ulgą do wojewódzkiego: „W Gdyni manifestowało około 50 tys. ludności, w tym około 20 tys. ustawiło się przy trasie pochodu. Jak na obecne warunki manifestacja udana, wśród elementów dekoracyjnych przeważały szturmówki i flagi biało-czerwone, czerwone i niebieskie. [...] Bardzo słabo wypadła Wyższa Szkoła Morska, studenci szli w mundurach, ale ich zachowanie i wyraz twarzy był dowodem, że nie są zadowoleni z udziału w manifestacji; szli niedbale. Inne szkoły nie posiadały żadnego oflagowania, [...] nie najlepiej prezentowało się ZSMP”.

Ulgą przerodziła się w wielkie zaniepokojenie, gdy zaraz potem ruszył kontrapochód. Raportowały służby: „Między godz. 16 a 19 doszło do zorganizowania nielegalnej manifestacji przez siły wrogie ustrojowi, w której szacunkowo udział wzięło około 5 tys. uczestników. Zgromadzenia miały miejsce przy pomniku stoczniovców na ul. Czechosłowackiej i krzyżu przy ul. Czołgistów, [...] odbyło się nabożeństwo w kościele przy ul. Świętojańskiej. [...] Podkreślenia wymaga fakt, że w przeciwieństwie do zajęć ulicznych, które miały miejsce w grudniu 1981 r., gdzie wrogie działania elementów antysocjalistycznych koncentrowały się w jednym punkcie miasta, obecne ekscesy rozgrywały się jednocześnie w różnych punktach miasta. Stan ten utrudniał szybkie reagowanie sił porządkowych”.

Pochód Solidarności udał się pod kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa przy ul. Batorego, zwanego kościołem ks. Jastaka, a po nabożeństwie uczestnicy ruszyli ul. Władysława IV pod Miejską Radę Narodową. „Tam czekało na nich ZOMO w pełnym rynsztunku”. Nie zważając na oddziały, manifestanci dotarli do miejsca upamiętnionego krwią pomordowanych w grudniu 1970 r.: – zatrzymali się, modlili i śpiewali. Następnie pochód ruszył w drogę powrotną do pomnika Ofiar Grudnia ’70.

Raporty MO i SB obnażały skalę sił, użytych „w działaniach rozpraszających i porządkujących” przeciwko mieszkańcom odpowiadającym na wezwanie podziemia: pododdziały ROMO – 1080, własnych funkcjonariuszy Komendy Miejskiej – 340. „Należy zaznaczyć, że wszyscy funkcjonariusze biorący udział w rozpraszaniu tłumu i przywracaniu porządku wykazali dużą ofiarność, zaangażowanie i poświęcenie”.

A podziemna prasa, opisując przebieg wydarzeń, okraszała je pełnymi satysfakcji tytułami i komentarzami: „Chcieli pochód – mieli pochód”.



Więcej na temat tej i innych operacji przeciwko NSZZ „Solidarność” w książce Roberta Chrzastowskiego i Małgorzaty Sokołowskiej „Orla WRON-a nie pokona. Gdynia w stanie wojennym”, IPN – Oficyna Verbi Causa, Gdańsk 2021.

Jak Służba Bezpieczeństwa „odbudowywała” NSZZ „Solidarność”

Grzegorz Majchrzak

Do najciekawszych operacji SB wobec legalnie działającego NSZZ „Solidarność” należały działania w celu przejęcia nad nią kontroli. Prowadzono je przez wiele miesięcy i były mocno zaawansowane (przygotowano m.in. założenia programowe, opracowano strukturę „odnowionego” związku, jego obsadę kadrową), ale ostatecznie zakończyły się one na przygotowaniach

Niestety, nie wiadomo, kiedy dokładnie narodził się pomysł utworzenia Solidarności kontrolowanej przez władze, zapewne jeszcze w 1980 r. Wynikał on z koncepcji I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Stanisława Kani, który stawiał na „działania polityczne” w celu przejęcia kontroli nad związkiem i poddania go kontroli

PZPR. Mimo zmiany na stanowisku I sekretarza – Kanię zastąpił w październiku 1981 r. zwolennik działań siłowych Wojciech Jaruzelski – przymierzano się do tego również w kolejnych miesiącach, w tym po wprowadzeniu stanu wojennego. Nic zatem dziwnego, że związek z dniem 13 grudnia 1981 r. nie został rozwiązany, lecz „jedyńie” zawieszono jego działalność.

Przywódcą „odrodzonego” związku miał być Lech Wałęsa. Temu też podporządkowano działania wobec niego – formalnie nie został on internowany (jak inni przywódcy związku), lecz był „gościem” rządu. Przewieziono go do rządowej willi w Chylicach pod Warszawą, a następnie przeniesiono do Otwocka Wielkiego i Iłłomowa. Prowadzono z nim – szczególnie w tych dwóch pierwszych miejscach – poufne rozmowy na temat przyszłości związku. Rozpoczęły się one już 13 grudnia 1981 r. Jego pierwszym rozmówcą był minister ds. związków zawodowych Stanisław Ciosek, później dialog z nim kontynuował głównie jego były dowódca z okresu zasadniczej służby wojskowej Ryszard Iwaniec. Jednak wbrew nadziejom przywódców PRL zakończyły się one niepowodzeniem. Owszem, krytykował on dotychczasową działalność Solidarności, mówił o potrzebie usunięcia z niego radykałów, ale nie jak chcieli komuniści na ich warunkach, a w drodze demokratycznych, oddolnych działań związkowców. Owszem, jego wypowiedzi czy obietnice były miłe dla ucha rządzących, ale ci zdawali sobie sprawę, że to z jego strony gra, puste obietnice. I że Wałęsa nie będzie firmować związku po jego „obudowie”, a właściwie budowie na nowo przez SB. Takie zresztą stanowisko sformułował na początku lutego 1982 r., kiedy to jednego z „ochraniających” go funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu poprosił „o przekazanie, że nie zamierza podjąć działalności związkowej w »nowo« tworzonych związkach zawodowych” oraz że proponuje, aby ich przewodniczącym został „generał Jaruzelski lub redaktor Rakowski albo działacz społeczny – minister Ciosek”...

O czym była mowa, do „odbudowy” związku SB przygotowywała się od dawna – świadczą o tym zachowane planowane obsady kierownictwa związku od szczebla zakładowego do regionalnego. Po 13 grudnia 1981 r. prace te uległy znacznej intensyfikacji, m.in. w MSW

oraz w komendach wojewódzkich Milicji Obywatelskiej w całym kraju utworzono w tym celu specjalne grupy operacyjne. Na czele Solidarności – nazwę związku zamierzano pozostawić – mieli stanąć wytypowani przez bezpiekę działacze uznani za „umiarkowanych”, w tym oczywiście tajni współpracownicy SB. I tak np. w „odnowionej” gdańskiej Solidarności miało się znaleźć 24 TW, w tym 11 z nich współtworzyć Zarząd Regionu, na którego czele miał stanąć tajny współpracownik „Albinoś”.

Funkcjonariusze SB prowadzili też w celu „odbudowy” związku rozmowy sondażowe z internowanymi członkami Komisji Krajowej Solidarności. Notabene, jeśli wierzyć ocenom funkcjonariuszy, blisko połowa tych, z którymi rozmawiano (34 osoby) skłonna była poprzeć działania władz wobec związku. Wałęsę z kolei szybko – już w styczniu 1982 r. – zaliczyli do tych, którzy zajęli stanowisko negatywne. W MSW przygotowano też założenia dotyczące funkcjonowania „odrodzonego związku”. Jego istnienie miało być dowodem, że działania władz – w tym stan wojenny – podejmowane były dla „obrony socjalistycznej odnowy, przeciwko chaosowi, biurokracji i antysocjalizmowi”, a także stanowić „jeden z podstawowych warunków zabezpieczenia na przyszłość systemu przed kryzysami i dramatycznymi konfliktami społecznymi”...

Miał to być już jednak zupełnie inny związek, tworzony przez grupy inicjatywne złożone z „aktywu związkowego”, który będzie „dawał gwarancję spełnienia przez »Solidarność« funkcji związku zawodowego”. Nie było w nim miejsca dla działaczy opozycji oraz „związkowej ekstremy”. Za najlepszych kandydatów do grup inicjatywnych uznano tajnych współpracowników SB, choć jednocześnie zalecono unikanie angażowania w tym celu najbardziej wartościowej i dobrze zakonspirowanej agentury – zamierzano ją wykorzystać do rozpoznawania i likwidacji podziemnych struktur Solidarności lub pozostawić w rezerwie. Cenni byli też działacze związku „wyeliminowani z funkcji w »Solidarności« przez ekstremę i nielegalne organizacje za prezentowanie czysto związkowego nurtu”, którzy zachowali autorytet wśród robotników i członkostwo w związku.

Zupełnie inna miała też być struktura Solidarności – nie regionalna, lecz branżowa. „Zarządy główne” poszczególnych

branż planowano zlokalizować w województwach będących głównymi skupiskami dla tej branży. Podział związku miał być zgodny z podziałem terytorialnym kraju, a siedziba jego centrali mieścić się – co znamienne – nie w Gdańsku, lecz w Warszawie. Podjęto działania w celu zmniejszenia wielkości „odbudowanej” NSZZ „Solidarność”. Przewidywano, że związek będzie liczył prawie połowę mniej członków niż przed stanem wojennym – 5,5 mln zamiast blisko 10 mln.

Trudno powiedzieć, kiedy definitywnie zrezygnowano z koncepcji „odtworzenia” kontrolowanej przez SB Solidarności. Przy ul. Rakowieckiej już na początku lipca 1982 r. uznano, że „Reaktywowanie »Solidarności«, nawet z dużymi modyfikacjami, może w krótkim okresie czasu doprowadzić do sytuacji sprzed grudnia ub.r. i jest to przedsięwzięcie na obecnym etapie zbyt ryzykowne”. Jednak dopiero w związku z uchwaleniem przez Sejm 8 października 1982 r. ustawy o związkach zawodowych grupy inicjatywne „przestały formalnie istnieć”.

Nie wiadomo, co skłoniło władze PRL do rezygnacji z „odbudowy” NSZZ „Solidarność”. Być może uznały one, że nie jest już potrzebna wobec sukcesu stanu wojennego. Mógł też zdecydować opór sporej części aparatu władzy wobec wspomnianej „odbudowy” i – jak się można domyślać – Moskwy. Całe przedsięwzięcie bardzo utrudniała też postawa Wałęsy, bez którego operacja ta miała dużo mniejsze szanse powodzenia. Poza tym po pierwszym szoku stanu wojennego rozpoczęła działalność podziemna Solidarność, na której czele stali m.in. członkowie władz krajowych związku sprzed 13 grudnia. A – mimo usilnych starań SB – nie było gwarancji, że „odbudowana” przez władze Solidarność nie wymknie się spod ich kontroli. Widocznie zatem w pewnym momencie uznano, że ewentualne zyski są zbyt małe w stosunku do ryzyka, które trzeba ponieść...



Więcej na temat tej i innych operacji przeciwko NSZZ „Solidarność” w książce Grzegorza Majchrzaka „Rozpracowanie organów kierowniczych NSZZ »Solidarność« przez Służbę Bezpieczeństwa 1980–1982”, IPN, Warszawa 2021.



Ambasada USA w Warszawie FOT. IPN

Wróżenie z newsów.

Ambasada USA w Warszawie a stan wojenny

dr hab. Patryk Pleskot
Oddziałowe Biuro Badań Historycznych IPN w Warszawie,
profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego

Amerykański ambasador w PRL, Francis J. Meehan, nie miał szczęścia: w momencie wprowadzenia stanu wojennego przebywał akurat z wizytą w ojczyźnie. Przed wyjazdem demonstrował większy niż Biały Dom optymizm co do efektów eksperymentu Solidarności. Z kolei jeszcze długo po 13 grudnia obawiał się sowieckiej inwazji. Jak widać, jego prognozy również nie były zbyt szczęśliwe

Można powiedzieć, że pech nie opuszczał ambasady USA już wcześniej: poprzednik Meehana, William E. Schaufele, akurat szykował się do opuszczenia warszawskiej placówki, gdy latem 1980 r.

wybuchła Solidarność. Meehan przybył w jego miejsce dopiero jesienią i został od razu rzucony na głęboką wodę.

Żeby tego było mało, jego przyjazd zbiegł się z wygraną republikanina Ronalda Reagana w wyborach przy-

denckich. Meehanowi bliżej było do konkurenta Reagana, poprzedniego prezydenta – Jimmy’ego Cartera. I chociaż uproszczeniem byłoby stwierdzenie, że Carter zawsze był zwolennikiem odprężeniowego kursu wobec ZSRS i bloku wschodniego (jego postawa zaczęła ewaluować po inwazji Moskwy na Afganistan w grudniu 1979 r.), a Reagan zawsze demonstrował postawę konfrontacyjną (nie robił tego w pierwszych miesiącach urzędowania), to jednak koncyliacyjne i relatywnie optymistyczne raporty Meehana z czasem coraz wyraźniej odróżniały się od analiz doradców nowego szefa Białego Domu.

Nie należy, rzecz jasna, przeceniać tych różnic. Stanowisko amerykańskiej ambasady w Warszawie w ogólnym kształcie odzwierciedlało przecież – na

zasadzie swego rodzaju sprzężenia zwrotnego – amerykańską politykę wobec PRL. Ambasada realizowała jej wytyczne, wykuwane gdzieś w gabinetach departamentów Stanu, Obrony, Rolnictwa, a także CIA, Białego Domu i powiązanych z nimi instytucji, a jednocześnie sama wpływała na kształt tej polityki, „bombardując” te instytucje autorskimi raportami, analizami, szyfrogramami.

Niezależnie od tego, kto kierował danym przedstawicielstwem dyplomatycznym, jego podstawowa funkcja (dzielona zresztą z zadaniami służb specjalnych) pozostawała niezmienna: było nią zbieranie informacji. Aktywność ta stała się jeszcze ważniejsza w obliczu bezprecedensowego fenomenu narodzin Solidarności i 16-miesięcznego legalnego jej funkcjonowania. Dyplomaci zatrudnieni w warszawskiej ambasadzie oraz w dwóch konsulatach amerykańskich w Krakowie i Poznaniu stali się wręcz zachłanni. Interesowało ich dosłownie wszystko: od zakulisowych walk o wpływ w PZPR (na szczeblu centralnym i lokalnym); przez nastroje w konkretnych środowiskach i grupach (intelektualiści, dziennikarze, robotnicy, rolnicy, żołnierze, ekonomiści, naukowcy, artyści, urzędnicy, cudzoziemcy...); artykuły prasowe, audycje telewizyjne i radiowe, sytuację w Kościele, działania najróżniejszych grup opozycyjnych; do takich szczegółów jak natężenie ruchu na drogach i lotniskach, cena kanistra benzyny, długość kolejek i napisy na murach czy... gęstość wąsów Lecha Wałęsy. Dyplomaci byli pozbawieni uprzedzeń, wychodząc z założenia, że im więcej różnorodnych źródeł informacji – niezależnie od ich pochodzenia – tym większe szanse na sformułowanie celnych analiz i prognoz.

Możliwości pomyłki pozostawały jednak duże (to akurat zupełnie naturalne), a stan wojenny mimo wszystko przyszedł do dyptomatów z zaskoczenia. Ambasador Meehan zaledwie kilka dni przed 13 grudnia zapewniał, że mimo rzeczywistego wzrostu napięcia i piętrzących się trudności istnieje jeszcze szansa na porozumienie i pociągnięcie polskiego eksperymentu choćby do wiosny. Niedługo potem musiał na gwałt wracać do zamkniętej przez wojsko Polski, wykorzystując – nie bez wysiłku – wyjątkowość swojego statusu dyplomatycznego.

Co bardzo istotne, stan wojenny przeciął znaczną część kontaktów

ambasady i konsulatów. W przeciwieństwie do czasu „karnawału” po 13 grudnia 1981 r. polscy rozmówcy nie byli już tak chętni do spotkań i zwierzeń jak wcześniej. Na przełomie lat 1981 i 1982 radca ds. kulturalnych ambasady USA w Warszawie, Dean O. Claussen, narzekał, że „wiele kontaktów wysycha lub nie są dłużej dostępne”. Dyplomaci zwracali uwagę na obawy i ostrożność Polaków – zarówno tych stałych, wieloletnich rozmówców, jak i „szarych” obywateli obserwowanych na ulicach.

Przyczyny tej ostrożności nie mogą dziwić: nagły wzrost represyjności, godzina milicyjna i inne ograniczenia, medialna nagonka na politykę Zachodu, podkreślanie aktywności kapitalistycznych służb specjalnych – wszystko to odstraszało Polaków od kontaktów z zachodnimi przedstawicielstwami dyplomatycznymi (mimo ich atrakcyjności). Dochodziło do tego znaczne ograniczenie działania środków masowego przekazu obowiązujące w pierwszych tygodniach stanu wojennego, a także – może przede wszystkim – wprowadzone przez gen. Jaruzelskiego obostrzenia w przemieszczaniu się po kraju, do pewnego stopnia dotyczące również dyptomatów (już 13 grudnia dwóch Amerykanów, mimo immunitetu, zostało zawróconych z drogi do Gdańska).

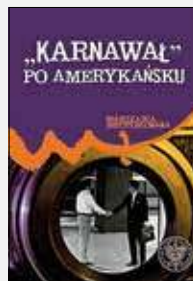
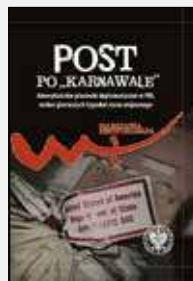
Wszystko to sprawiało, że placówkom bardzo trudno było uzyskać jakiejkolwiek informacje. Niemniej próbowano – z pewnymi sukcesami. Mimo zdławienia Solidarności Amerykanom udawało się rozmawiać z niektórymi jej reprezentantami. Cierpliwie próbowali dowiedzieć się czegośkolwiek interesującego od sztywnych przedstawicieli władz i partii, czytać między wierszami „Żołnierza Wolności”, „Trybunę Ludu” i dośzukiwać się cienia prawdy w „Dzienniku Telewizyjnym”. Potrafili namówić do rozmowy choćby i nielicznych intelektualistów, uczonych, dziennikarzy, nieco bardziej chętnych do rozmowy reprezentantów Kościoła czy np. ekonomistów. Konsultowali się z dyplomatami i dziennikarzami innych państw, a także obywatelami USA przebywającymi akurat w Polsce.

Przed wszystkim pracownicy ambasady i konsulatów starali się mieć oczy szeroko otwarte i po prostu obserwować, co się dzieje wokół nich: od przejazdów kolumn wojskowych do zaopatrzenia w sklepach.

Rzecz jasna, pesymistycznie nastawiony Meehan i jego współpracownicy doskonale zdawali sobie sprawę, że sami też są obserwowani przez Służbę Bezpieczeństwa. Nie wiedzieli jednak o znacznie poważniejszej i bardziej zakonspirowanej akcji: otóż kontrwywiadowczy Departament II MSW prowadził z dużymi sukcesami akcję wykradania dokumentów wytworzonych przez amerykańską ambasadę i oba konsulaty. Materiały te uzyskiwano na lotnisku Okęcie, otwierając w największym sekrecie worki z pocztą dyplomatyczną (które musiały przejść uproszczoną procedurę celną), a także w formie przeprowadzanych raz na jakiś czas „penetracji”, czyli po prostu włamań do budynków amerykańskich konsulatów (do ambasady było trudniej się dostać).

Co intrygujące, działania te kontrwywiad prowadził nie tylko w czasie stanu wojennego, lecz znacznie dłużej: mniej więcej od połowy lat 70. aż do samego końca 80.! Nie ma przy tym śladów wskazujących na to, by Amerykanie zdawali sobie z tego sprawę. Oto zatem kolejny element do rozwinięcia wątku pecha wspomnianego na początku. Duża część efektów mrówczej nieraz pracy amerykańskich dyptomatów pracujących w Polsce – razem z mniej lub bardziej trafnymi prognozami, raportami, ocenami – trafiała bowiem nie tylko do Waszyngtonu, lecz także – za pośrednictwem SB – na biurka najważniejszych przedstawicieli aparatu partyjno-państwowego w PRL, z gen. Jaruzelskim na czele.

Polecamy książki Patryka Pleskota wydane nakładem IPN:
„Post po »karnawale«. Amerykańskie placówki dyplomatyczne w PRL wobec pierwszych tygodni stanu wojennego”, wprowadz., wybór i oprac. Patryk Pleskot, IPN, Warszawa 2021;
„»Karnawał« po amerykańsku. Ambasada USA w Warszawie wobec wydarzeń w Polsce od sierpnia 1980 r. do grudnia 1981 r.”, red. Patryk Pleskot, IPN, Warszawa 2020.



dr hab. Mirosław Szumiło
Biuro Badań Historycznych IPN,
profesor UMCS

Strajki robotnicze w Polsce latem 1980 r., które przerodziły się w rewolucję Solidarności, wywołały niepokój nie tylko na Kremlu, lecz także w Pradze. Sekretarz generalny KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji (KPCz) Gustáv Husák obawiał się rozszerzenia „polskiej zarazy” na jego kraj. Pomimo cenzury informacji o strajkach PRL docierały do Czechów i Słowaków za pośrednictwem rozgłośni Radia Wolna Europa oraz odbieranej telewizji z RFN i Austrii. W związku z tym podjęto działania mające na celu powstrzymanie i zdławienie polskiej „kontrrewolucji”.

ne w Czechosłowacji. Do różnych instytucji partyjnych i rządowych przychodziły anonimowe listy z poparciem dla strajkujących robotników w PRL i Solidarności. Pojawiły się także apele o zakładanie niezależnych związków zawodowych na wzór polskich. W kraju północnomorawskim kolportowano statut Solidarności i inne broszury w języku polskim. Kierownictwo KPCz obawiało się przenikania wszelkich wydawnictw i materiałów o charakterze „antysocjalistycznym”, podkopujących ideologię komunistyczną. Dlatego też pierwszym krokiem było ograniczenie ruchu turystycznego z Polską.

W czechosłowackich mediach rozpętano ofensywę propagandową przeciwko polskiej „kontrrewolucji”.

Zdławić kontrrewolucję!

Czechosłowacja wobec „polskiego kryzysu” i stanu wojennego

Władze czechosłowackie zbudowały własny system zdobywania wiadomości o rozwoju wydarzeń w Polsce, zwanych też popularnie „polskim kryzysem”. Obok agencji służb specjalnych kluczową rolę odgrywały przy tym czechosłowaccy dyplomaci w PRL. Ambasador Jindřich Rehořek i jego współpracownicy wyciągali informacje od wysoko postawionych działaczy PZPR, z którymi odbywali poufne rozmowy. Raporty z tych rozmów często trafiały bezpośrednio na biurko Husáka, który czytał je uważnie i podkreślał ważniejsze fragmenty czerwonym mazakiem. Z ich treści można się poznać dzięki najnowszej publikacji IPN pt. „Polski kryzys 1980–1981 w dokumentach dyplomacji czechosłowackiej”, która wkrótce ukaże się na rynku wydawniczym.

Solidarnościowa rewolucja w Polsce aktywizowała środowiska opozycyj-

W artykułach prasowych i relacjach telewizyjnych była mowa o „przemocy”, „prowokacji”, „zagrożeniu”, „chuligaństwie” itp. Czechom i Słowakom mawiano, że w Polsce szerzą się chaos, anarchia, mają miejsce fizyczne napady na pracowników aparatu władzy. Solidarność była przedstawiana jako siła wybitnie destrukcyjna, otrzymująca pieniądze z Zachodu i eskalująca swoje żądania. Lansowano stereotyp Polaka, członka Solidarności: lenia i warchoła, który zamiast pracować, woli strajkować. Gwałtowną reakcją władz w Pradze wywołała szczególnie „pośłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”, uchwalone 8 września 1981 r. na I zjeździe Solidarności w Gdańsku. W środkach masowego przekazu zorganizowano wielką kampanię przeciwko postaniu.







Maszyna offsetowa Łąkomiec, na której drukowany był m.in. „Sygnał” FOT. IPN

„Nie bądź bierny, nie czekaj na sygnał; sam bądź sygnałem dla innych”

dr Marcin Krzek-Lubowiecki
Oddziałowe Biuro Upamiętniania
Walk i Męczeństwa IPN w Krakowie

Po 13 grudnia 1981 r. istniało w społeczeństwie silne zapotrzebowanie na niezależną informację. Ludzie nie dowierzali w podawane oficjalnie wiadomości, zwłaszcza na temat protestów, strajków, demonstracji czy wreszcie ofiar stanu wojennego. W konsekwencji powstawały niezależne pisma, które starały się łamać monopol komunistów w sferze informacyjnej.

14 grudnia 1981 r. Ewa Śledziewska – docent chemii na UJ oraz organizatorka struktur uczelnianej Solidarności – otrzymała na ulicy ulotkę z prośbą o jej przepisanie. Było to dla niej inspiracją do stworzenia własnego pisma. Po miesiącu ukazał się, z mottem zacytowanym w tytule artykułu, pierwszy numer „Sygnału”. Jak napisała w nim Śledziewska: „Jednym z najważniejszych działań w obecnym czasie jest przekazywanie informacji”.

Na początku piśmko było powielane w kilku-kilkunastu sztukach, za pomocą kalki i maszyny do pisania, oraz kolportowane wśród własnych znajomych i na UJ. Nikt nie wiedział, kto jest jego autorem. Z czasem do redakcji zaangażowała swojego męża – Romana – oraz koleżankę z uczelni – Teresę Życzkowską, a kolportaż oraz druk w większym nakładzie (w ramach Komitetu Oporu Społecznego) przejął jej znajomy – Wiesław Wazł.

W „Sygnale” pojawiały się głównie teksty dotyczące bieżącej sytuacji w kraju i w Krakowie, m.in. o podejmowanych strajkach i protestach oraz realiach internowania czy życia codziennego w stanie wojennym. Część tekstów była autorska, jednak zdarzały się teksty przepisane z innych druków niezależnych, co w piśmie zaznaczano. Mąż Śledziewskiej zaangażował się w nasłuch RWE, które także było źródłem

informacji do „Sygnału”. Część publikowanych artykułów dotyczyła środowisk uczelnianych oraz szkolnictwa wyższego. Śledziewska chwaliła część naukowców za oddawanie legitymacji partyjnych, piętnowała serwilistyczne postawy, apelowała o pozostawanie niezależnym wobec komunistów. Publikowała protesty i manifesty studentów oraz grup opozycyjnych. Opisywała również prowadzoną w stanie wojennym akcję weryfikacyjną środowisk naukowych.

W reakcji na aresztowanie na początku 1983 r. Wazła oraz grupy studentów drukujących „Sygnał” Śledziewska postanowiła zrobić komunistom dowcip. Wysłała do „Gazety Krakowskiej” życzenia w celu opublikowania ich w odpowiedniej rubryce. „GK” nieopatrzenie zamieściła następujące wyrazy wsparcia: „Pan ADALBERT LEZURAJ – Kraków, ul. Warszawska 12/13: z okazji urodzin spełnienia

wszystkich marzeń – życzy Mama, Polcia i dołączają się Leszkwowie z dziećmi”. Adresem był ukryty pod łacińskim imieniem i wspak napisanym „zdrobnieniem” nazwiska Wojciech Jaruzelski. Również pozdrawiający oraz adres z datą miały oczywistą wymowę. Odpowiedzialny za rubrykę miał wówczas spore problemy, numer „GK” rozszedł się zaś momentalnie. W okolicach ul. Warszawskiej gromadzili się ludzie, niedowierzając w możliwość aż takiej pomyłki.

„Sygnał” był redagowany przez Śledziewską do lata 1983 r., kiedy to, po zniesieniu stanu wojennego, otrzymała propozycję stażu naukowego w Algierii. Redakcję przejął jej ojciec – Seweryn Zajac, a pomagała mu w tym Życzkowska. Z czasem, ze względu na trudności w zapełnianiu stron treściami stricte informacyjnymi, zmieniał się także charakter pisma na opiniotwórczy. Również w 1983 r. druk oraz kolportaż pisma przejęło założone przez Tomasza Gugałę na początku stanu wojennego Wydawnictwo Myśli Nieinternowanej. Zapewniło ono „Sygnałowi” wysoki nakład wykonany w technice offsetowej, a z czasem również w pełni przejęło jego redakcję.

Pismo było wydawane do maja 1986 r., kiedy to powielono ostatni numer. Zastąpić je miał „Krakowski Czas”, który formą i regularnością miał przypominać gazetę codzienną. Jednak, ze względu na rozpracowanie WMN przez SB, pozostał on jedynie efemerydą.



Więcej przykładów pism drugiego obiegu wydawniczego w publikacji Marcina Krzeka-Lubowieckiego „Wydawnictwo Myśli Nieinternowanej. Dzieje niezależnej oficyny w latach 1982–1989”, IPN, Kraków 2021.



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



„BIULETYN IPN” NR 12/2021

– 40. ROCZNICA STANU WOJENNEGO

JUŻ DOSTĘPNY W KSIĘGARNIACH IPN W WARSZAWIE, W PLACÓWKACH POCZTY POLSKIEJ, W SIECI EMPIK ORAZ SALONACH RUCH SA

- GRZEGORZ MAJCHRZAK – „ZBUNTOWANI PODCHORAŻOWIE. STRAJK W WYŻSZEJ OFICERSKIEJ SZKOLE POŻARNICTWA”
- KAROL CHWASTEK – „PIERWSZE STRZAŁY STANU WOJENNEGO. JĄSTRZĘBIE-ZDRÓJ W GRUDNIU 1981 R.”
- „A Z RĘKAWA CIEKŁA KREW”: ZE STANISŁAWEM PŁATKIEM, PRZYSŁÓDĄ STRAJKU W KOPALNI WUJEK W GRUDNIU 1981 R., ROZMAWIAJĄ ROBERT CIUPA I SEBASTIAN REŃCA
- PAWEŁ PIOTROWSKI – „WOJSKO POLSKIE W STANIE WOJENNYM”
- SEBASTIAN LIGARSKI – „SZCZECIN '81. WALKA PROPAGANDOWA”
- MAREK KOZAK – „BIAŁOSTOCKI NZS WOBEC STANU WOJENNEGO”
- AGNIESZKA ŁUCZAK – „WYJAŚNIANIE ŚMIERCI OFIAR STANU WOJENNEGO”
- JERZY DĄBROWSKI – „NAJMŁODSZA POZNAŃSKA OFIARA STANU WOJENNEGO. PIOTR MAJCHRZAK (1963–1982)”
- MARCIN BUKAŁA – „MILCZĄCY ŚWIADEK STANU WOJENNEGO Z PRZEMYSŁA. MIECZYŚLAW ROKITOWSKI (1935–1982)”



Totalizator Sportowy

– 65 lat wsparcia dla polskiego sportu, kultury i dziedzictwa narodowego

Rok 2021 to wyjątkowy czas ważnych rocznic. Wszyscy w naszych kalendarzach mamy z pewnością zarówno daty ważne dla nas prywatnie, jak i daty doniosłych momentów historycznych, takich jak m.in. rocznica, której poświęcona jest niniejsza publikacja. Warto jednak pamiętać również o datach, które niosą za sobą wiele radości i pośrednio wnoszą w nasze życie uśmiech. Jedną z takich dat może być powołanie do życia Totalizatora Sportowego, które miało miejsce dokład-

nie 65 lat temu. Warto wiedzieć, że dzięki istnieniu państwowego przedsiębiorstwa, które od pokoleń daje Polakom rozrywkę i realne szanse na wygrane, wsparcie uzyskiwały także ważne dziedziny życia społecznego: sport, kultura i dziedzictwo narodowe. Dziś Totalizator Sportowy może z dumą patrzeć na swoją historię oraz historię naszego kraju, którą jako spółka nieustannie pielęgnuje.

Totalizator Sportowy powstał w 1956 r. Przyświecała mu jasna misja – wspieranie polskiego sportu w podźwi-

gnięciu się z powojennej ruiny. Infrastruktura nie tylko wymagała odbudowy, lecz także trzeba było ją wręcz stworzyć od podstaw. Zadanie to udawało się realizować z ogromnym powodzeniem – powojenne lata to pierwsze spektakularne sukcesy polskich sportowców, którzy trenowali na nowych obiektach. Ich budowę i remonty finansowano ze środków gromadzonych w ramach gier organizowanych przez Totalizator Sportowy. Przedsiębiorstwo Państwowe Totalizator Sportowy miało swój wkład w budowę



Dzięki tym działaniom w 2021 r. wspólnie z Zamkiem Królewskim w Warszawie mogliśmy świętować 50-lecie odbudowy tej siedziby królów polskich.

Historia Polski obfituje w ważne wydarzenia, miejsca i postaci, które pomogły ukształtować naszą ojczyznę i tożsamość narodową. Totalizator Sportowy pielęgnuje pamięć o bohaterskich zrywach Polaków. Spółka wielokrotnie była partnerem obchodów rocznicy wybuchu powstania warszawskiego i imprez im towarzyszących. W tym roku towarzyszymy też obchodom powstania wielkopolskiego. Od kilku edycji marka LOTTO patronuje biegowi pamięci, który stanowi sportowy hołd dla bohaterów Poznańskiego Czerwca, a także jest partnerem strategicznym Muzeum Powstania Poznańskiego – Czerwiec 1956. To tylko niektóre z projektów, w które angażuje się Totalizator Sportowy wraz z należącą do niego marką LOTTO. Udział spółki w tego rodzaju inicjatywach bierze się z prostego przekonania – rozrywka, z której korzystają dorośli Polacy, klienci naszej firmy, może wracać do nich w postaci projektów, inicjatyw i instytucji wspierających wspólnotę wszystkich Polaków. Wydarzenia historyczne mają tę moc – pamięć o nich jednoczy, porusza i inspirować do dalszego działania na rzecz dobra całego społeczeństwa.

Warto przy tym pamiętać, że bohaterowie znani nam z kart historii walczyli o Polskę, która wyraża się również w naszej kulturze – chociażby na płótnach wybitnych malarzy czy w muzyce Chopina. Na tym polu Totalizator Sportowy również ma swoje zasługi. Pod szyldem LOTTO firma jest partnerem Muzeum Narodowego w Warszawie oraz Muzeum Narodowego w Krakowie. Jeśli zaś mowa o Chopinie, to rok 2021 był wyjątkowy również ze względu na pamięć o tym najśłynniejszym polskim kompozytorze. Zaledwie kilka tygodni temu dobiegły końca zmagania w ramach XVIII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Totalizator Sportowy był po raz kolejny partnerem głównym tego wielkiego muzycznego święta. Ponadto spółka wspierała m.in. Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Chopin i jego Europa”, Koncerty Urodzinowe czy I Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych. Totalizator Sportowy wspiera też miejsca, z którymi jest związana postać Fryderyka Chopina – Muzeum Fryderyka

Chopina w Warszawie czy Dom Urodzenia Fryderyka Chopina i Park w Żelazowej Woli. Działalność ta łączy się także z zakupem do muzeum chopinianów, m.in. rękopisu pieśni „Wiosna”.

Skąd pochodzą środki na tak szerokie wsparcie, które Totalizator Sportowy przekazuje projektom z dziedziny kultury i dziedzictwa narodowego? Dysponowanie nimi odbywa się na dwa sposoby. Przede wszystkim warto podkreślić, że od 1994 r. Totalizator Sportowy funkcjonuje w systemie dopłat do gier liczbowych. Oznacza to, że z każdej złotówki wydanej na gry liczbowe LOTTO 19 groszy trafia na specjalne ministerialne fundusze wspierające sport i kulturę. To właśnie dzięki milionom Polaków, którzy kupują produkty Totalizatora Sportowego, możliwe było przekazanie ponad 2,8 mld zł na Fundusz Promocji Kultury, poczynając od 2003 r. W samym zaś tylko 2020 r. Totalizator Sportowy zasilił ten fundusz kwotą ponad 220 mln zł. Ponadto spółka prowadzi działania, angażując środki własne. W ten właśnie sposób możliwe jest udzielanie wsparcia bezpośrednio projektom i instytucjom, które na co dzień pełnią ważną funkcję dla całej wspólnoty Polaków.

Jubileusz 65-lecia Totalizatora Sportowego upływa pod hasłem „#WielkieChwile”. Jako przedsiębiorstwo obecne w życiu Polaków nieprzerwanie od kilku dekad przez cały ten czas byliśmy świadkami wielu wydarzeń – nie tylko sukcesów ze świata sportu i kultury, lecz także momentów najwyższej wagi, odmieniających rzeczywistość wokół nas. Wielkie chwile mają różne oblicza, a my jako spółka pragniemy angażować się w ich upamiętnianie i pomagać w kreowaniu nowych – tych pozytywnych i niosących radość. Jesteśmy przekonani, że takie działania ukierunkowane na pamięć o przeszłości i budowanie lepszej przyszłości pomagają wzmacniać więzi w narodzie, skłaniają do refleksji, przekazują prawdę, a na piedestale stawiają najwyższe ideały.

Podobną rolę odgrywa twórczość Przemysława Gintrowskiego, któremu poświęcona jest niniejsza publikacja. Totalizator Sportowy docenia wielkie dzieło barda demokratycznej opozycji, którego sylwetka nierozdzielnie związana jest z trudnym okresem stanu wojennego. Warto pamiętać o tym czasie oraz warto budować piękną i odważną Polskę na fundamentach położonych przez bohaterów nie tak odległej przeszłości.

lub utrzymanie takich legendarnych obiektów, jak m.in. katowicki Spodek, Stadion Śląski w Chorzowie, zakopiańska Wielka Krokiew czy poznańska Arena.

Z czasem do wspieranych przez spółkę działań doszła kultura. Ta wyjątkowo ważna dziedzina życia społecznego wybiła się na pierwszy plan w latach 70. Wtedy to Polacy rozpoczęli odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Od 1971 r. Totalizator Sportowy organizował zakłady specjalne, z których dochód był przeznaczony na ten właśnie cel.



PRZYJĘCIE, KTÓREGO NIE BYŁO

Premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson w coraz większych opałach. Chodzi o domniemaną imprezę na Downing Street, która odbywać się miała w czasie ubiegłorocznego lockdownu. Szef rządu przekonywał, że nic takiego nie miało miejsca. Jednak teraz wyciekło nagranie z kilkorgiem urzędników, w tym z jego ówczesną rzecznikzką Allegrą Stratton, którzy żartowali sobie na temat świątecznego przyjęcia władzy. Johnson przeprosił za to nagranie i zasugerował, że przyjęcie – to, którego nie było – odbywało się bez jego wiedzy. Jednak coraz więcej polityków domaga się odwołania szefa rządu.

FOT. ADRIAN DENNIS-WPA POUŁ. GETTY IMAGES

UBOCZNY SKUTEK PREPARATU PFIZERA

Uboeczne skutki to nie jest coś, co wzbudza entuzjazm. Nie tym razem. Naukowcy z Cleveland podczas badań nad lekiem na potencję stwierdzili, że może znacznie zmniejszać ryzyko choroby Alzheimera. Przeanalizowali dane od 7 mln pacjentów i uznali, że przyjmowanie viagry – specyfiku firmy Pfizer – może obniżyć ryzyko zachorowania na Alzheimera o 69 proc. Teraz planują badania kliniczne. To już drugi zwrot w medycznej „karierze” viagry. Opracowana została jako lek na choroby serca. Doskonały wpływ na problemy z erekcją został odkryty później.

WESOŁO JAK W SZWEDZKIM RZĄDZIE

Szwedzkie media pokazały zdjęcie z młodości nowo powołanej minister administracji publicznej. Ida Karkiaainen wykonuje na nim rzymski salut. W kraju rozgorzała dyskusja – na ile zdjęcia z młodości mogą

wpływać na kariery polityków. Tymczasem w nowym szwedzkim rządzie kłopotliwych powołań jest więcej. Okazało się, że nową minister klimatu i środowiska Annikę Strandhäll ściga komornik, bo nie zapłaciła kilku swoich rachunków (w tym rachunku za napełnianie basenu). Z kolei nowy minister infrastruktury Tomas Eneroth oskarżony został przez partijną koleżankę o molestowanie seksualne.

REKLAMY ABORCJI, LEGALNA MARIHUANA

Nowy niemiecki rząd podpisał umowę koalicyjną. Wiadomo, co znalazło się we wspólnym dokumencie SPD, Zielonych i FDP. W Niemczech legalny ma się stać dostęp do marihuany – ma być sprzedawana dorosłym w licencjonowanych sklepach (zapis już wywołał protesty niemieckiej policji). Zniesiony ma zostać zakaz reklamowania aborcji. Wdrożony ma zostać Krajowy Plan Działań na rzecz Akceptacji i Ochrony Różnorodności Płciowej i Seksualnej. Minimalny wiek uprawniający do udziału w wyborach federalnych obniżony ma zostać z 18 do 16 lat. ©©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Eurokraci kontra chrześcijanie



JACEK PRZYBYLSKI

Helena Dalli, pochodząca z Malty „komisarka” ds. równości w Komisji Europejskiej, znów trafiła na pierwsze strony gazet. Pod koniec lat 70. pani Helena wygrała konkurs piękności Miss World Malta. W aktorstwie jej nie wyszło, zajęła się więc niestety socjologią i polityką. I ostatnio znów stała się sławna. To ona opracowała zalecenia dotyczące „komunikacji inkluzywnej” i zalecała pracownikom KE, aby przypadkiem nie używali określenia „święta Bożego Narodzenia”. Ten termin, od lat budzący w lewicy trwogę, eurokraci mieli zastępować „inkluzywnym” zwrotem „okres świąteczny”.

W świecie poprawności politycznej to nic nowego. Unijna „komisarka” zaproponowała więc, aby imiona o rodowodzie chrześcijańskim, takie jak Marie i Jean, zastępować „inkluzywnymi” Malika i Jules.

Próbę wymazania z języka Bożego Narodzenia ostro skomentowało wielu polityków, ekspertów oraz papież Franciszek. „W historii wiele dyktatur usiłowało zrobić to samo” – stwierdził papież, wskazując m.in. na nazistów i komunistów. „Jest to pewna moda, laicyzm rozpuszczony w wodzie destylowanej. Ale to się nie sprawdziło” – zauważył, przekonując, że „Unia musi powrócić do ideałów ojców założycieli. Były

to ideały jedności, wielkości. Unia musi uważać, by nie otwierać się na kolonizację ideologiczną. Bo może to doprowadzić do podziałów między krajami i upadku Unii Europejskiej”. Papież podkreślił także, że każdy kraj ma własną suwerenność. „Suwerenność braci w jedności, która respektuje odrębność każdego kraju. I trzeba uważać, by nie stać się propagatorem kolonizacji ideologicznej”.

Po medialnej burzy Helena Dalli musiała przyznać, że Europa nie jest jeszcze gotowa na kompletne wymazanie historii i tradycji. Poinformowała więc o wycofaniu wytycznych. Niestety, pracuje już nad nową wersją. ©©

Stan wojenny opisany twórczością barda

Koncertы poświęcone legendarnemu „bardowi wolności”, czyli dzieło Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego, w ostatnich latach pięknie przypominały jego twórczość. Co roku na scenie spotykali się przedstawiciele kilku pokoleń artystów i przynosili słuchaczy do świata, w którym Gintrowskiemu przyszło żyć i tworzyć.

W tym roku po raz pierwszy Fundacja im. Przemysława Gintrowskiego postanowiła pójść krok dalej. W związku z 40. rocznicą wprowadzenia stanu wojennego powstał film, który – jak mówi jego reżyser, Szymon Gonera – ma przyciągać nie tylko widzów pamiętających czasy komunizmu, walkę o demokrację i towarzyszącą jej twórczość Przemysława Gintrowskiego, lecz także młodsze pokolenia, ludzi urodzonych w wolnej Polsce. – Film w nowoczesny sposób opowiada i o Gintrowskim, i o stanie wojennym. Dodaliśmy sceny fabularyzowane, by widz zastanowił się, jakby się zachował, co by zrobił, gdyby stan wojenny wprowadzono dzisiaj. Jednocześnie w filmie wybrzmiewa też to, że teksty wyśpiewywane przez Gintrowskiego, mimo upływu kilku dekad, nie straciły na aktualności, są uniwersalne – mówi reżyser. – Liczymy na to, że fabularyzowane fragmenty pomogą młodzieży zrozumieć historię. Zdajemy sobie sprawę, że młodym ludziom, którzy dziś na wyciągnięcie ręki mają



– Czterdziesta rocznica wprowadzenia stanu wojennego stała się pretekstem do stworzenia filmu, który opowiada i o historycznych wydarzeniach, i o muzyce, która dzięki Przemysławowi Gintrowskiemu oraz innym bardom wtedy tworzącym im towarzyszyła. Chcieliśmy, by film był swoistym ukłonem w stronę bohaterów tamtych dni. Aby do tego obrazu można było wracać po latach – mówi Aleksandra Gintrowska, współtwórczyni filmu „Burza przed ciszą”, który można będzie zobaczyć 13 grudnia o godz. 21 m.in. na stronie Gintrowski.pl

praktycznie wszystko, trudno wyobrazić sobie życie w realiach stanu wojennego. Stąd pomysł, by w filmie skonfrontować wspomnienia z lat 80. ze współczesnością – dodaje artysta.

Międzypokoleniowy most, coś, na czym Fundacja im. Przemysława Gintrowskiego pielęgnującą pamięć o bardzie tak zależy, został stworzony także w tym filmowym projekcie.

– W filmie można posłuchać wspomnień Krzysztofa Gierałtowskiego, Jerzego Kośnika czy Ewy Błaszczyk, ale wystąpili w nim także przedstawiciele młodszych pokoleń twórców, Michał Szpak i O.S.T.R. Aleksandra Gintrowska i Marcel Sabat są przewodnikami po historii, a m.in. Paulina Chapko i Kamil Wodka, aktorzy znani z produkcji Netflixa, wystąpili w fabularnej jego części – zaznacza Gonera.

Historię stanu wojennego opisaną twórczością Przemysława Gintrowskiego będzie można zobaczyć 13 grudnia o godz. 21 na stronie Gintrowski.pl oraz facebookowej stronie „Gintrowski – A jednak coś po nas zostanie”.

Także wtedy poznamy laureata Nagrody im. Przemysława Gintrowskiego „Za wolność w kulturze”. Dotychczas nagrodę otrzymali: Stanisława Celińska, Jan Polkowski, Antonina Krzysztoń, Ewa Błaszczyk, Franciszek Pieczka, Muniak Staszczuk i Tadeusz Woźniak.

MECENASI

PARTNERZY GŁÓWNI

PARTNERZY





Z Mathieu Bock-Côté, kanadyjskim socjologiem z Quebecu, autorem kilku książek o multikulturalizmie, o dyktaturze politycznej poprawności i o rewolucji „rasjalistycznego” antyrasizmu na Zachodzie rozmawia Olivier Bault

To nowy totalitaryzm



OLIVIER BAULT: W pana książkach, artykułach i wypowiedziach mówi pan wiele o tym, co się dzieje w Stanach Zjednoczonych, jako o źródle ruchów, które dziś rozwijają się w Kanadzie i w Europie, takich jak: rasjalizm, dekolonializm, teoria gender... Czy zatem jesteśmy do tego stopnia zdominowani przez kulturę amerykańską?

MATHIEU BOCK-CÔTÉ: Tak, nasz system wyobrażeń jest dziś skolonizowany przez amerykański sposób widzenia świata. Rozumujemy w kategoriach Imperium. Widać to po sposobie, w jaki wszędzie narzuca się amerykańską kwestię rasową oraz wszystko to, co dotyka multikulturalizmu, któremu towarzyszy diabolizacja narodów historycznych. Amerykańskie uniwersytety mają taką siłę w naszym zglobalizowanym świecie, że ich kategorie myślenia i struktury mentalne stały się czymś dominującym. To na tych właśnie kategoriach opierają się dziś nauki społeczne, filozofia polityczna, a nawet publicystyka. Amerykański wpływ przybiera różne formy w poszczególnych krajach, w zależności od lokalnych realiów.

Ale wydaje mi się, że jesteśmy dziś zamerykanizowani, jak nigdy dotąd.

Z polskiego punktu widzenia, a szerzej dla mieszkańców krajów dawnego bloku wschodniego sposób, w jaki „imperium” amerykańskie narzuca swoją ideologię, jest dużo bardziej skuteczny niż ten używany przez dawne imperium sowieckie.

Na wstępie wyjaśnijmy, że aby uniknąć wszelkiej dwuznaczności, lepiej żyć w imperium amerykańskim niż w imperium sowieckim. Nie należy tego traktować jedną miarą. Tym niemniej w społeczeństwach zachodnich wyłania się nowa forma totalitaryzmu – totalitaryzm różnorodności, którego misją jest przebudowanie wszystkich relacji społecznych, zmiana całego świata pojęć, w którym się poruszamy, a który jest emanacją antropologicznych podstaw naszej cywilizacji, takich jak: mężczyzna, kobieta, naród, stosunek do świata. Ten, kto dziś ma odwagę przypominać, że mężczyzna i kobieta nie są sztucznymi konstruktami społecznymi, ale rzeczywistością zakorzenioną w naszym ludzkim doświadczeniu, ryzykuje w świecie Zachodu, a już z całą pewnością w środowisku uniwersyteckim, iż uznany zostanie za „reakcjonistę” ze wszystkimi tego konsekwencjami: śmiercią społeczną, degradacją obywatelską, dyskwalifikacją medialną, w pewnym stopniu symbolicznym pozbawieniem praw obywatelskich. Jest to nowy totalitaryzm, który

nie potrzebuje tradycyjnych struktur do prześladowania niepokornych właściwych dla totalitaryzmów, co jest oczywiście istotną różnicą. Jeśli jednak definiujemy totalitaryzm jako wolę całkowitego podporządkowania człowieka jedynej ideologii, która ma ambicje przemodelowania całości relacji społecznych, w tym najbardziej intymnych odczuć, oraz która nie pozwala na ocenianie tego, co proponuje, chcąc uchodzić za naukę, to myślę, że mamy w tym wypadku do czynienia z odrodzeniem zapędów totalitarnych.

Czy może pan wytłumaczyć pojęcie „wokizmu”, o którym mówi się tyle w krajach anglosaskich i do którego odnosi się pan często w swoich tekstach i wypowiedziach?

Wokizm to fanatyczna forma dyskursu różnorodnościowego, narzucana innym nadwrażliwość, sakralizacja mniejszościowego punktu widzenia, odrodzenie fanatyzmu wewnątrz liberalnych demokracji. Nie może się on obejść bez powrotu linczującego tłumu, który zbiera się dzięki mediom społecznościowym. Wokizm to obalenie męskości i kobiecości, to demonizacja białego człowieka, to absolutyzacja subiektywizmu, wstręt do samych fundamentów zachodniej cywilizacji. Nie jest to już wcale świat liberalizmu, ale świat fundamentalistycznego progresizmu, dążącego do zanegowania naszej cywilizacji. Wszystko to razem wzięte tworzy wokizm, z jakim mamy dziś do czynienia.

Twierdzi pan, że wokizm całkowicie zdominował uniwersytety, ale także wielkie koncerny, które reedukują swoich pracowników...

Tak, jest to prawdziwy problem. Firmy coraz częściej przyłączają się do promocji tej ideologii w imię uwrażliwiania na różnorodność. Przeobraża się miejsce pracy w miejsce reedukacji ideologicznej w imię pedagogiki otwarcia na różnorodność. Firmy są podporządkowane dominującej ideologii i widać to bardzo dobrze w czasie warsztatów otwarcia na różnorodność, warsztatów poświęconych walce z „systemowym rasizmem” w miejscu pracy. Firmy są ideologicznie skolonizowane przez uniwersytety i ich koncepty.

Ale to, o czym pan mówi, to specyfika amerykańska, prawda?

Tak, ale teraz jest to także specyfika kanadyjska, a wkrótce, wcześniej czy później, stanie się specyfiką europejską. Europejczycy mylili by się, myśląc, że są

odporni na wokizm, nawet jeśli dysponują mentalnymi zasobami, aby mu się przeciwstawić.

Często porównuje się francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona do kanadyjskiego premiera Justina Trudeau. Na jakim zatem etapie dekonstrukcji „woke” znajdują się dziś Kanada i Francja w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi?

Francja opiera się dzięki swojemu genetycznemu kodowi kulturowemu. Kanada, którą często nazywam Wokanada, to kraj entuzjastycznego i dzieciennego wokizmu. To kraj, który dziś całkowicie się redefiniuje, aby stać się pierwszym zachodnim narodem „woke”. Nie budzi to żadnego oporu w Kanadzie angielskiej, podczas gdy francuski Quebec sprzeciwia się tym tendencjom. Istnieje „wyjątek Quebec”, tak jak mówi się o „wyjątku francuskim”, który uwarunkowany jest historią oraz mniejszościową sytuacją mieszkańców Quebecu w Ameryce Północnej, a także faktem, że jest to naród tradycyjnie katolicki, co czyni go bardziej odpornym na to ideologiczne szaleństwo. Dziś, dzięki obronie swojej tożsamości narodowej, języka francuskiego oraz zasady laickości, Quebec znajduje siły, aby opierać się wokizmowi.

A jednak rasjalistyczne ruchy „indygeniczne” czy „dekolonialne”, rozwijające się we Francji i rzekomo walczące z rasizmem „strukturalnym” i kolonialną mentalnością białych Francuzów, są także częścią tej zachodniej kultury woke.

Oczywiście, że tak. Jest to między innymi efekt masowej imigracji i amerykanizacji. Uwarunkowań socjologicznych rewolucji rasjalistycznej, o której mówię w mojej ostatniej książce pt. „Rewolucja rasjalistyczna i inne wirusy ideologiczne” [„La Révolution raciste et autres virus idéologiques”, Paris, Presses de la Cité, 2021 – przyp. red.], należy szukać właśnie w zmianach demograficznych powodowanych masową imigracją.

Gdy prezydent Francji Emmanuel Macron twierdzi, że kolonizacja była zbrodnią przeciw ludzkości, i neguje istnienie kultury francuskiej, mówiąc o „kulturach we Francji”, czy mamy do czynienia z wokizmem?

Nie, to multikulturalizm. W wokizmie jest pewien fanatyczny wymiar, jest to forma historycznego fanatyzmu. Aby skutecznie posługiwać się tym pojęciem, należy unikać jego nadużywania. W przypadku Macrona chodzi o progresizm multi-kulti. Macron jest jednak na tyle

dobrze wykształcony i inteligentny, aby nie popaść w szaleństwo wokizmu. Tym niemniej ów progresizm multi-kulti również oznacza zerwanie z myślą narodową we Francji.

Czy myśli pan, że fakt, iż Polacy pozostają narodem ludzi białych, chroni ich przed rasjalizmem woke?

Ja sam z pewnością nie wypowiadałbym się, używając terminologii rasowej, tak więc sformułowanie „pozostają narodem ludzi białych” to nie mój język. Naród nie powinien być definiowany w kategoriach rasowych, ale w kategoriach kulturowych i historycznych. Powiedziałbym, że rasjalizm znajduje w masowej imigracji podstawę swojego rozwoju. Masowa imigracja ma skutki polityczne, tożsamościowe, społeczne, kulturowe, a te mają wpływ na nasze myślenie o narodzie. Faktem jest, że mamy do czynienia ze zmianą demograficzną społeczeństw spowodowaną masową imigracją, a ta zaczyna mieć widoczne skutki polityczne. Efekt jest zaś taki, że świadomość etniczno-rasowa zaczyna zastępować świadomość narodową. To dlatego kraje, które doświadczyły masowej imigracji, zauważają dziś, że imigracja jest dużo bardziej skomplikowana, niż myślały, i że często jest powierzchowna. Efekt skali jest absolutnie fundamentalny w polityce i problem ten w brutalny sposób daje dziś o sobie znać.

Democracy Perception Index jest międzynarodowym badaniem opinii publicznej przeprowadzanym corocznie od 2018 r. Edycja 2021 przyniosła informację, że USA są dziś postrzegane w Europie jako największe zagrożenie dla demokracji na świecie. Czy myśli pan, że tak jest w istocie?

Wszystko zależy od tego, co przez to rozumiemy. Powiedziałbym po prostu, że imperium amerykańskie, które zrywa mentalne więzi z cywilizacją zachodnią, może pociągnąć nas w przepaść, w którą wpada. Amerykańskie uniwersytety ogarnęło szaleństwo. Instytucje, które kształtują kulturę i gospodarkę, zwariowały. Pęknięcie pomiędzy dwoma brzegami Atlantyku jest wyraźniejsze niż kiedykolwiek.

Mówi pan jednak, że i ta strona Atlantyku podąża w tym samym kierunku...

Tak, ale w Europie istnieje opór, i nie jest to bez znaczenia.

Zatem jeśli wokizm, jak pan mówi, jest ideologią totalitarną, to oznacza to, że Stany Zjednoczone weszły na totalitarną równię pochyłą...

Dawne kraje bloku wschodniego sprzeciwiają się ideologii narzucanej z Brukseli w sposób bardziej zdecydowany, ponieważ mają doświadczenie Związku Sowieckiego

W Stanach Zjednoczonych ujawniają się pewne dążenia totalitarne. Na uniwersytetach mamy do czynienia z totalitaryzmem rasalistycznym, nie ma co do tego żadnej wątpliwości. USA nie są Związkiem Sowieckim, ale jest to dziś naród, który przyjmuje stopniowo logikę totalitarną. Ludzie są tego mniej lub bardziej świadomi, ale myślę, że te zakusy totalitarne są bliskie dużej części amerykańskiej elity.

Także w Partii Demokratycznej?

Przede wszystkim w Partii Demokratycznej, choć tendencje te są obecne także gdzie indziej.

Jak ocenia pan szanse, aby Ameryka opisana przez Tocqueville'a w dziele „O demokracji w Ameryce” odwróciła obserwowany trend? Czy możliwa jest w Stanach Zjednoczonych kontrewolucja? Czy Donald Trump jest jej upadłym przedstawicielem?

Szanse na odwrócenie tendencji są moim zdaniem bardzo małe. W głębi serca jestem przekonany, że Stany Zjednoczone są przegrane, ponieważ ideologia woke jest już u władzy. To ona kształtuje dziś relacje ze światem. Wszystko, co ma z intelektualnego punktu widzenia jakieś znaczenie, funkcjonuje obecnie w świecie tych kategorii. Dlatego sądzę, że Stany Zjednoczone zostały wciągnięte w ideologiczną logikę, z której nie wydają, a mój niepokój jest tym większy, że jako mieszkańcy Quebecu jesteśmy sąsiadami tego kraju. Jeśli chodzi o Donalda Trumpa, to był to raczej awanturnik megaloman, który uosabiał w sposób chaotyczny Amerykę opierającą się dekonstrukcji i nawróceniu na ideologię woke. Ten człowiek zepsuł wszystko. Zabrakło mu pewnej formy podstawowej dyscypliny intelektualnej, która pozwoliłaby mu rządzić w sposób niezależny od własnych emocji i humorów. Mam nadzieję, że jeśli nastąpi konserwatywne odcięcie, to jego twarzą będzie ktoś inny niż Donald Trump. Trump rozhisteryzował swój własny obóz. Jego kadencja prezydencka przypominała raczej ostatni spazm niż odrodzenie. Nie oznacza to jednak, że nie może dojść do

konserwatywnej reakcji. Jednakże trend jest tak bardzo wyraźny w tej chwili, że uważam ją za z góry przegraną w Stanach Zjednoczonych, ale nie musi tak być gdzie indziej.

Bruksela jest mocnym ramieniem imperium politycznej poprawności i postulatów lobby LGBT w stosunkach z tymi państwami członkowskimi UE, które kiedyś należały do dawnego bloku wschodniego. Czy domyśla się pan, dlaczego elity brukselskie są tak bardzo przywiązane do tych kwestii? Czy zostały uformowane przez amerykańską szkołę?

Nie, nie ujmowałbym sprawy w ten sposób. Myślę, że technostruktura europejska potrzebuje ideologii, aby legitymizować swoje działania. Ideologię tę znajduje właśnie w multikulturalizmie, w ideologii gender itd. Dzięki temu czuje, że ma misję przemiany dusz i sumień. Tymczasem jest wiele poważnych powodów, aby się temu przeciwstawić i dostrzec w tym działaniu szaleństwo. Europa traktuje narody, które ją tworzą, jak podbite prowincje, jak spróchniałe ludzkie drewno, jak śmieci historii wezwane do samorozwiązania, aby zrobić miejsce na rozwój i utwierdzenie się różnorodnościowego reżimu. Mówię tutaj o współczesnej idei proeuropejskości, która ma historycznie niewiele wspólnego z cywilizacją europejską. Próba nadania tej cywilizacji politycznego wymiaru, choćby w niewielkim stopniu, mogłaby się powieść bez tej warstwy ideologicznej.

Dawne kraje bloku wschodniego sprzeciwiają się ideologii narzucanej z Brukseli w sposób bardziej zdecydowany, ponieważ mają doświadczenie Związku Sowieckiego, a w ich własnej tożsamości kulturowej, narodowej i religijnej znalazły oparcie, aby dawać odpór totalitaryzmowi. Na Zachodzie myśli się, że to liberalizm i idee praw człowieka stanowią przeszkodę dla totalitaryzmu. To tymczasem bardzo ograniczone podejście i to tylko część odpowiedzi. To, co pozwoliło sprzeciwiać się totalitaryzmowi, to właśnie zakorzenienie w cywilizacji, w kulturze, w historii. Myślę, że kraje Europy Wschodniej oświadczyły tego doświadczyły. Doświadczenie to zostało opisane, trzeba czytać myślicieli z Europy Wschodniej, których spojrzenie na los zachodniej cywilizacji jest unikatem i ważne. Jednak bardziej niż dorobek intelektualny ważne jest egzystencjalne doświadczenie i to ono tłumaczy opór stawiany przez te kraje.

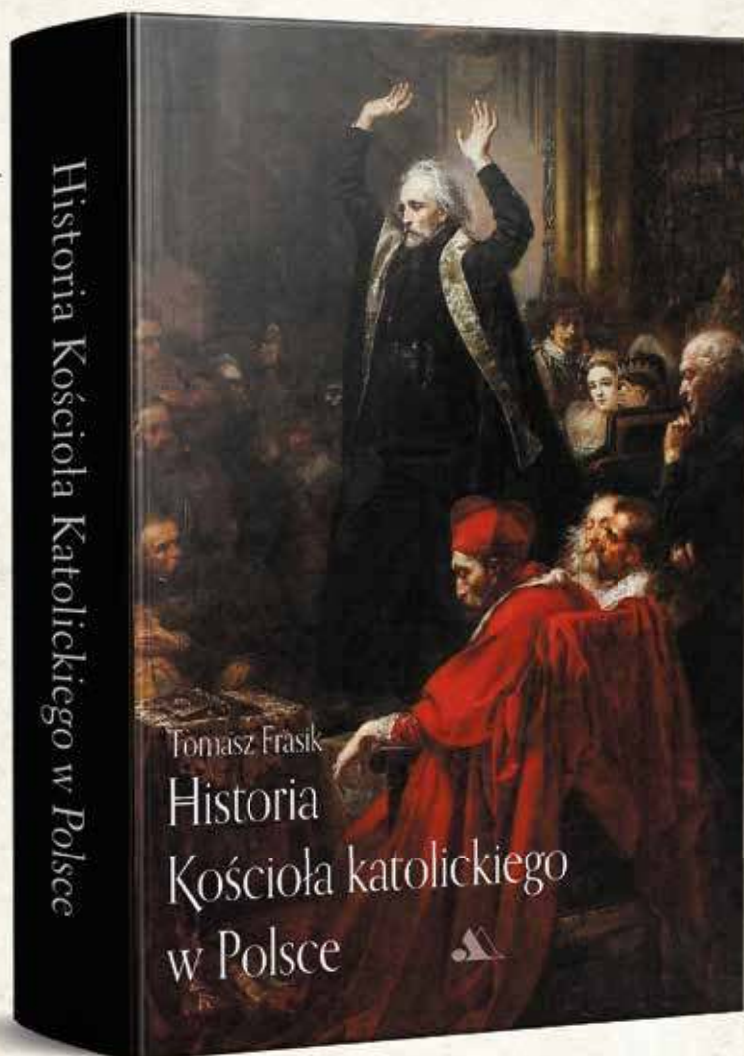
© Wszelkie prawa zastrzeżone

Z francuskiego tłumaczyła Agnieszka Golańska-Bault.

Tomasz Frasik

Historia Kościoła katolickiego w Polsce

s. 760, twarda z obwolutą, kolorowe ilustracje



**Blisko 800 stron
w pełnym kolorze!**

Wielki format 24×33 cm!

**Unikalna panorama
dziejów polskiego
Kościoła!**

Monumentalne dzieło przedstawia dzieje Kościoła katolickiego w Polsce od jego początków do czasów współczesnych. Autor – historyk i publicysta, absolwent Instytutu Historii UJ – opisuje najistotniejsze dla dziejów Kościoła w naszym kraju wydarzenia, omawiając je starannie i kompetentnie oraz ukazując je w szerokiej perspektywie historycznej. Ta całościowa synteza przedstawiona jest w kluczu chronologiczno-tematycznym, a wszystkie poruszane tu zagadnienia wsparto licznymi odniesieniami do danych, które mocno sytuują omawiane fakty w konkretnej rzeczywistości czasu i miejsca.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu



GRATIS!

Do każdego zakupu *Historii Kościoła katolickiego w Polsce* w prezencie książka *Mity i fakty o historii Kościoła*.

Znakomity pomysł na świąteczny prezent!



WYDAWNICTWO AA

Dzieło można zamówić w księgarni internetowej:
www.Religijna.pl lub pod numerem tel. 12 345 42 00

eprasa.pl 7918b13667

Serca i umysły

Fragment książki „Nawalny. Nemezis Putina? Przyszłość Rosji?” autorstwa Jana Mattiego Dollbauma, Morvana Lalloueta, Bena Noble’a, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Zys i S-ka

Władimir Putin wkracza do Sali Gieorgijewskiej Kremla. Ściany tej największej sali Wielkiego Pałacu, zbudowanego dla carskiej rodziny w XIX stuleciu, zdobią sceny wojskowych tryumfów Imperium Rosyjskiego. Stając na podium, Putin patrzy na słuchaczy ze spokojnym, pewnym siebie, pełnym determinacji wyrazem twarzy – i ledwie dostrzegalnym uśmiechem. To, co teraz powie, przejdzie do historii.

„Dzień dobry, szanowni członkowie Rady Federacji, posłowie do Dumy Państwowej, obecni tu wśród nas przedstawiciele Republiki Krymskiej i Sewastopola, obywatele Rosji!” – Putin nie skończył jeszcze tego wstępu, kiedy zaczyna się pierwsza owacja na stojąco. Na wzmiankę o Krymie wszyscy wstają z miejsc, klaskają. Twarz Putina jest nadal spokojna, ale uśmiech stał się szerszy.

Jest 18 marca 2014 roku, Rosja szykuje się do oficjalnej aneksji Krymu. Czy też, jak ujmuje to Putin, „ponownego zjednoczenia z Rosją”.

Aneksja stanowi jawne naruszenie przepisów prawa ukraińskiego i międzynarodowego. Doprowadzi do izolacji Rosji na arenie międzynarodowej i sankcji gospodarczych ze strony państw zachodnich, a następnie równie szkodliwych kontrsankcji. Ale przemówienie dotyczy czegoś innego. Dla Putina i zebranych chodzi tu o historyczną sprawiedliwość i narodową wielkość, wspaniałą przeszłość, która zostaje teraz połączona ze świetlaną przyszłością.

Putin mówi o korzeniach prawosławia, które jednoczą ludy Rosji, Ukrainy i Białorusi, o wielonarodowym charakterze Krymu, który upodabnia go do Rosji, o porcie Sewastopol i jego heroicznej walce z hitlerowskimi Niemcami. „Wszystko na Krymie mówi o naszych wspólnych dziejach i dumie. W sercach i umysłach ludzi Krym zawsze był nieodłączną częścią Rosji”.

Łatwo zbagatelizować to wszystko jako widowisko zainscenizowane przez rosyj-

skich urzędników – parlamentarzystów, wojskowych, służby, przedstawicieli rosyjskiego prawosławia, islamu i judaizmu, chętnie okazujących poparcie dla przywódcy kraju. To wszystko prawda, ale nie cała. Nie ma tutaj znudzonych, pozbawionych wyrazu twarzy podwładnych wysłuchujących jeszcze jednego wykładu Putina, które widzi się często w transmisjach z innych spotkań. Tu z oczu obecnych bije radość.

ZWROT KU EMOCJOM

Wystąpienie Putina oznacza emocjonalny zwrot w kremlowskiej strategii wzmacniania swojej władzy. Pierwsze dziesięciolecie jego rządów upłynęło pod znakiem szybkiego rozwoju gospodarczego i wzmocnienia państwa. Stabilność i wzrost przekonywały ludzi do przywódczej roli Kremla.

Ale protesty Ruchu Walki o Uczciwe Wybory w latach 2011–2012 pokazały, że nie wszyscy przyjmują niepisaną umowę społeczną, w ramach której władze obiecują wzrost poziomu życia w zamian za polityczną spolegliwość. Mimo że w czasie protestów podnosiły się różne głosy, było jasne, że wielu domaga się udziału w podejmowaniu decyzji.

Gdzieś na początku roku 2012 Kreml uznał, że nie jest w stanie zadowolić wszystkich. Zwrócił się ku ludziom, którzy nie rozumieli albo nie popierali protestów, wciąż zadowolonych z obowiązującej umowy społecznej albo zwyczajnie obawiających się zmiany. W ramach próby zjednoczenia tych tak bardzo różnych grup Kreml zabrał się do przebudowy „większości Putina”. Emocje odegrały dużą rolę w tym przedsięwzięciu. Niespodziewana pomoc nadeszła w latach 2013–2014 z Ukrainy.

W listopadzie 2013 r. jej mieszkańcy zaczęli domagać się silniejszych związków z Europą i położenia kresu skorumpowanemu rządowi prezydenta Wiktora Janukowycza. Mimo zaprzeczeń Putina ukraiński Majdan, jego gwałtowne przesilenie i upadek Janukowycza przydały się Kremlo-

wi, wzmacniając emocjonalną siłę haseł rosyjskiego przywództwa.

Chaos w Kijowie, a potem wojna na wschodzie Ukrainy rozbudziły lęk przed przemocą i rewolucją u siebie, w Rosji. Pro Zachodni rząd ukraiński dawał powody do niepokoju o wznowienie ekspansji NATO. Zdaniem wielu Rosja potrzebowała obrony. Ale reakcja – błyskawiczne zajęcie Krymu zgodnie z planem przygotowanym przez kilka tygodni – umożliwiła Kremlowi dodanie do tej mieszanek emocji dumy i radości. W takim duchu Putin nie tylko bronił Rosji, lecz także jeszcze przywracał jej wielkość.

NIE TYLKO PROPAGANDA

Wychodzi na to, że Kreml starannie zaplanował reakcję na problemy wewnętrzne, jak gdyby Rosja wykorzystwała oddziały specjalne do zajęcia Krymu, lojalny parlament do uchwalenia potrzebnych ustaw i państwowe media do wygłoszenia propagandy, wmuszając strategię legitymizacji swoich rządów bierniej i zmanipulowanej ludności. Ale tak samo jak Nawalny po prostu nie używa Rosjan do swoich politycznych celów, tak Kreml nie może im dowolnie robić wody z mózgu.

Władza w Rosji, jak wykazują socjologowie Sam Greene i Graeme Robertson, jest „współkonstruowana”. To bardzo ważna cecha rosyjskiej polityki: mimo poważnych wad formalnych instytucji demokratycznych, z których korzystają obecne władze, rządy Putina opierają się na samym społeczeństwie. Nie wypływają tak po prostu z propagandy i represji, zależą od codziennego wsparcia milionów rosyjskich obywateli. Jedni wyrażają owo poparcie, przesładując nieprzyjaciół Kremla albo chodząc na proputinowskie zgromadzenia. Lecz dla większości to konstruowanie władzy odbywa się w o wiele bardziej codziennych przestrzeniach szkół, miejsc pracy i domów. To dlatego zwolennicy Nawalnego tak często spotykają się z problemami ze strony nie tylko organów urzędowych, lecz także współpracowników, znajomych i krewnych. Te pozorne niepolityczne miejsca podminowane są polityką.

Świadomy, iż władza prezydenta wspiera się na powszechnym poparciu, Kreml systematycznie eksperymentuje z tym, co może dać społeczeństwu w zamian. Jedną z tego rodzaju prób – i to szczególnie skutecznych – był zwrot ku emocjom. Pozytywnych uczuć, jak duma z nowej wielkości Rosji, i negatywnych, jak obawa przed chaosem i dominacją z zagranicy, zaznały milionowe zbiorowości obywateli, budując

emocjonalne więzi zarówno między sobą, jak i z przywództwem.

Co to wszystko ma wspólnego z Nawalnym? Nowa strategia emocjonalna miała zbudować większość – i mniejszość. Świadomie wyłączała tych, którzy chcą pchnąć Rosję na „drogę europejską”: zbliżyć się do krajów zachodnich, okiełznać władzę prezydenta i zmienić Rosję w demokratyczny kraj. Wykluczała także osoby o postępowych poglądach społecznych, podkreślając rosyjskie prawosławie i kojarząc homoseksualizm z „moralnie zepsutym” Zachodem.

W ten sposób Kreml umacniał polaryzację rosyjskiego społeczeństwa, które chciał podzielić na dwa przeciwne obozy: „patriotyczną większość” i całą resztę. Ta strategia nie dotyczyła jedynie Nawalnego, była tylko jasną odpowiedzią na sprzeciw niezadowolonych obywateli zarówno w czasie protestów w walce o Uczciwe Wybory, jak i moskiewskiej kampanii Nawalnego. Reakcją była jednoznaczna: jesteście niewielką, izolowaną mniejszością.

Nowa strategia Kremla zasadzała się na nacjonalizmie. Putin „odzyskał” Krym. Nareszcie „podniósł Rosję z kolan” po upokorzeniu lat 90., gdy zdaniem wielu była podporządkowana Zachodowi. Dlatego Putin zaprezentował się jako główny obrońca narodowych interesów kraju. Co więcej, zaczął być utożsamiany z samą Rosją. Jak ujął to marszałek parlamentu, Władimir Wołodin, „jeśli jest Putin, to jest Rosja, bez Putina nie ma Rosji”.

Był to nacjonalizm szczególny, bo Putin wciąż podkreślał wieloetniczność rosyjskiego społeczeństwa. Mimo to zaskarbił sobie lwią część nacjonalistów, głęboko rozbijając ten obóz, którego spora część żywiła przedtem poglądy opozycyjne. Borys, skrajnie prawicowy radykał z Permu – skazany za podżeganie do nienawiści rasowej i katarycznie sprzeciwiający się „okropnej polityce migracyjnej” Putina – stwierdził, że „za Krym wybaczam Putinowi wiele”.

Nawalny, jak to pokazaliśmy, w zasadzie porzucił nacjonalizm jako publiczną ideologię kilka lat wcześniej, ale wskutek zajęcia Krymu opozycja nie miała czego szukać w tym temacie.

Emocjonalne przeżycia tworzą poczucie wspólnoty i dlatego potrafią podbić ludzkie serca i umysły znacznie skuteczniej niż racjonalne wyliczenia kosztów

i korzyści. Dobrze oddaje to znane rosyjskie powiedzenie o „walce telewizora z lodówką”, zgodnie z którym propaganda może wygrać mimo pogarszających się warunków materialnych.

Ale to powiedzenie jest nieprawdliwe o tyle, że maluje obraz ludzi biernych i łatwych do wprowadzenia w błąd, jak czasem przedstawiają zwolenników Nawalnego media prokremlowskie. Kontrola nad największymi mediami daje olbrzymią przewagę, ale nie umożliwia władzom dowolnej manipulacji. Rządy Putina zależą od tego, czy ludzie przyjmą jego propozycje. W ten sposób władza ta jest potężna, ale i krucha.

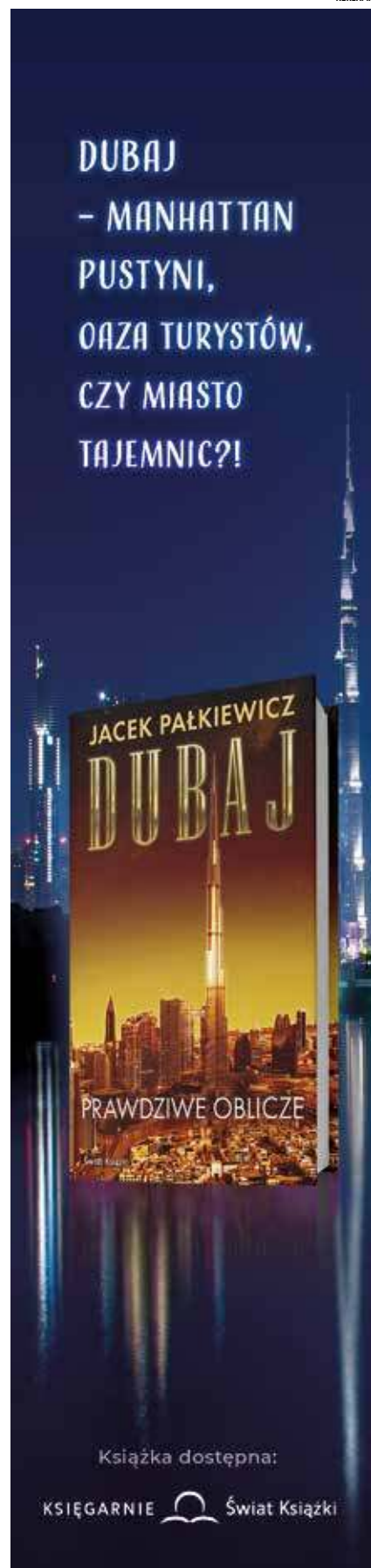
Radość na twarzach ludzi w Sali Gieorgijewskiej Kremla była autentyczna, tak samo jak radość i duma milionów Rosjan w 2014 r. Ale trudno żyć dłużej w tak skrajnych stanach emocjonalnych. Euforia związana z zajęciem Krymu okazała się niezmierznie skutecznym narzędziem wzmocnienia rządów Putina, ale od 2018 r. jego notowania znów spadły z niebotycznych poziomów osiągniętych po aneksji. Spadek poparcia wywołała decyzja o podniesieniu wieku emerytalnego, ale trend utrzymał się wobec niewesołych perspektyw gospodarczych i braku pozytywnych wzmocnień emocjonalnych.

Na tym strategia Kremla się nie kończy. W początkach 2021 r. Nawalny stanął przed sądem nie tylko za złamanie zasad warunkowego zwolnienia, lecz także za domniemane obrażenie weteranów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, jak w Rosji nazywa się drugą wojnę światową. Dziewięćdziesięcioczeroletni były żołnierz wystąpił obok kosmonauty, aktora i innych sławnych Rosjan w promocyjnym filmie państwowej stacji RT, który miał zwiększyć poparcie dla zmian rosyjskiej konstytucji w 2020 r.

W typowych dla siebie, ostrych słowach Nawalny nazwał uczestników filmu „skorumpowanymi lokajami”. Nie wspomniał o samym kombatancie, ale jego obecność w materiale wystarczyła. Wedle aktu oskarżenia Nawalny dopuścił się poważnej moralnej obelgi wobec bohatera wojennego, którą można i trzeba ukarać. Kolejny przykład działania strategii emocjonalnej, tym razem jednak odwołującej się do fundamentów tożsamości wielu Rosjan: pamięci o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. © Wszelkie prawa zastrzeżone



JAN MATTI DOLLBAUM, MORVAN LALLOUET, BEN NOBLE
„NAWALNY. NEMEZIS PUTINA? PRZYSZŁOŚĆ ROSJI?”
ZYSK I S-KA 2021





Z adwokatem Janem Stylińskim, prezesem zarządu Polskiego Związku Pracodawców Budownictwa rozmawia Tomasz Cukiernik

Polityka klimatyczna winduje ceny mieszkań

TOMASZ CUKIERNIK: W ostatnim czasie rosną ceny materiałów budowlanych, co związane jest prawdopodobnie ze wzrostem kosztów ich wytworzenia. To normalne, że w gospodarce rynkowej przedsiębiorcy po prostu przerzucają koszty na klientów, bo nie mogą dopłacać do interesu? Jaka jest skala tego zjawiska?

JAN STYLIŃSKI: Bez wątpienia jesteśmy obserwatorami bezprecedensowego wzrostu cen materiałów budowlanych. Bezprecedensowego, ponieważ wzrosty obejmują w zasadzie każdy materiał budowlany, nie tylko te wykorzystywane głównie w potężnym budownictwie infrastrukturalnym, lecz także te, z których korzystają Polacy jako drobniejsi inwestorzy indywidualni. Zjawisko ma zatem skalę powszechną, ceny materiałów wzrosły zaś od kilkudziesięciu do nawet 250–300 proc. w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy.

Co jest przyczyną tego wzrostu kosztów?

Jest kilka nakładających się przyczyn powodujących wzrost kosztów materiałów budowlanych. Po pierwsze, pandemia i lockdowny zaburzyły łańcuchy dostaw w skali globalnej, co powoduje mniejszą pewność dostaw i mniejszą podaż. Po drugie, skutkiem pandemii są ogromne środki przeznaczane na nowe inwestycje w skali przynajmniej ogólnoeuropejskiej, co zwiększa konkurencję o zasoby, w tym materiały (a w efekcie winduje ceny). Po trzecie, aktywny udział Chin w obiegu globalnym koncentruje się na nabywaniu w różnych częściach globu wielu surowców potrzebnych do produkcji materiałów budowlanych. W szczególności dotyczy to złomu stalowego, masowo wykorzystywanego do produkcji stali budowlanej. Po czwarte, lawinowo rosnące koszty energii

istotnie wpływają na koszt wytworzenia materiałów budowlanych. Jak wiadomo, produkcja materiałów budowlanych jest oraz będzie wysoce energochłonna i jakkolwiek producenci podejmują wiele działań, których celem jest produkcja materiałów z udziałem energii z OZE, to jednak nie wpływa to na zmniejszenie kosztów wytworzenia materiałów. Po piąte, część wytwórców materiałów bądź podmiotów uczestniczących w ich wprowadzeniu na rynek zdaje się wykorzystywać argument ogólnego wzrostu cen, windujących cenniki ponad poziomy wynikające wyłącznie ze wzrostów bezpośrednich kosztów produkcji (surowców).

Jaki udział we wzroście kosztów branży budowlanej ma unijna polityka energetyczno-klimatyczna, w szczególności wzrost cen energii elektrycznej i konieczność zakupu przez producentów materiałów budowlanych uprawnień do emisji dwutlenku węgla?

Polityka klimatyczna ma i będzie miała rosnący udział we wzroście kosztów wytworzenia materiałów budowlanych. Trudno jest w chwili obecnej określić w sposób procentowy udział polityki klimatycznej w takim wzroście chociażby z uwagi na to, że nie każdy materiał budowlany objęty jest takimi samymi zasadami produkcji z uwzględnieniem emisji CO₂. Na przykład produkcja cementu czy stali uwzględnia wprost limity emisji CO₂, aczkolwiek warto podkreślić w tym miejscu, że polskie cementownie mają dziś większy udział energii z OZE wykorzystywanej do produkcji cementu aniżeli średnia z państw UE, co z kolei pozwala korzystać z darmowych limitów emisji. Natomiast w przypadku produkcji gotowych rozwiązań, np. prefabrykatów betonowych, korzystających



FOT. ADBE STOCK

z materiałów bazowych (cement, stal), z jednej strony koszt limitów emisji CO₂ został ujęty w koszcie materiału bazowego, z drugiej zaś strona energia potrzebna do wyprodukowania prefabrykatu również zawiera w sobie koszt limitu emisji CO₂. W efekcie trudno jest wskazać procentowy udział polityki klimatycznej w końcowej cenie każdego materiału budowlanego. Niemniej bez wątpienia zaostrzająca się polityka klimatyczna i rosnące ceny energii będą odzwierciedlane we wzrostach cen materiałów budowlanych w kolejnych latach.

Czy można oszacować, jaki jest procentowy udział kosztów związanych z zakupem uprawnień do emisji CO₂ w aktualnym koszcie wytworzenia poszczególnych materiałów budowlanych, np. ceramiki budowlanej, stali, cementu, aluminium, chemii budowlanej itd.?

Na przykładzie cementu można wskazać, że do jednej tony cementu dodatkowy koszt wynikający z zakupów limitów emisji CO₂ to ok. 20 euro na tonę z tendencją rosnącą do 30 euro w przypadku, gdy koszty zakupu limitu produkcji CO₂ wzrosną do przewidywanych 100 euro na tonę. W odniesieniu do pozostałych materiałów takimi danymi dysponują poszczególni producenci, natomiast nie mieliśmy okazji analizować żadnych danych łącznych. Być może dysponuje nimi Ministerstwo Środowiska i Klimatu.

Jaki to ma wpływ na koszty budów i na ceny oddawanych do użytku mieszkań i domów?

Wzrost cen materiałów budowlanych, który w naszej ocenie będzie miał charakter stały w kolejnych latach – z uwagi głównie na ogromne zapotrzebowanie na materiały co najmniej w skali europejskiej, a także z uwagi na wymogi polityki klimatycznej – będzie oddziaływał istotnie na koszty budowy zarówno infrastruktury, jak i inwestycji kubaturowych (biurowych, mieszkaniowych, przemysłowych etc.). Można powiedzieć, że w przypadku inwestycji budowlanych koszt materiałów i transportu to, zależnie oczywiście od rodzaju inwestycji, 60–70 proc. finalnego kosztu inwestycji. Proszę zatem zwrócić uwagę, że nawet 10-procentowy wzrost kosztów materiałów może oznaczać wzrost kosztów zakupu mieszkania o 6–7 proc. A wzrosty mogą być przecież, i – jak się spodziewamy – będą, znacząco wyższe.

Jakie są jeszcze inne skutki wzrostu cen?

Innym skutkiem wzrostu cen, zależnie od tempa tego wzrostu, może być zmniejszenie płynności finansowej firm wykonawczych. Konieczność wydatkowania znaczących środków na zakup materiałów budowlanych na etapie budowy, z późniejszym ich rozliczeniem, może bowiem powodować konieczność czasowego angażowania większych środków finansowych, aniżeli miało to dotychczas miejsce. Z drugiej jednak strony, jeśli zamawiający (inwestorzy) będą świadomi tak dużych ciężarów finansowych ponoszonych przez wykonawców, być może stanie się to zachętą do stosowania na szerszą skalę zaliczowania robót budowlanych oraz skrócenia terminów rozliczeń, które realnie dziś trwają od sześciu do ośmiu tygodni.

Okres ten obejmuje bowiem nie tylko sam, z reguły 30-dniowy termin zapłaty faktury, lecz także okres ustalania tzw. protokołu przerobowego, który również nierzadko sięga nawet 30 dni.

Poważnym negatywnym skutkiem znacznego wzrostu cen materiałów budowlanych może być również ograniczenie skali



inwestycji – zarówno przez inwestorów prywatnych, jak i publicznych. W efekcie droższe materiały budowlane mogą wpływać negatywnie na dynamikę produkcji budowlano-montażowej, co stanowiłoby poważne zagrożenie dla stabilności systemu inwestycyjnego.

Jaki wpływ na branżę budowlaną będzie miał unijny pakiet „Fit for 55”?

Precyzyjne określenie wpływu pakietu „Fit for 55” na branżę budowlaną jest w zasadzie dziś jeszcze niemożliwe do określenia. Biorąc pod uwagę labilne jak dotąd rozwiązania wchodzące w zakres „Fit for 55”, trudno jest skalkulować wielkość wzrostu cen materiałów budowlanych. Tym bardziej trudno jest oszacować wpływ na objęcie wykonawstwa robót budowlanych systemem limitów emisji CO₂, jeśli w ogóle do niego dojdzie. Nie ulega jednak wątpliwości, że zaostrzenie wymogów środowiskowych w ramach idei obniżenia emisji CO₂ o 55 proc. do 2030 r. (w porównaniu z 1990 r.) będzie istotnie przekładać się na wiele elementów cenotwórczych w budownictwie, które – jak była o tym mowa – jest silnie energochłonnym sektorem gospodarek europejskich. Spodziewamy się zatem wzrostu cen materiałów budowlanych. Z jednej strony ostrzejsze limity emisji będą wymagać zwiększenia liczby nabywanych uprawnień do emisji, z drugiej zaś także inwestycje prośrodowiskowe prowadzone przez przemysł materiałów budowlanych będą musiały być zdyskontowane w cenie wyprodukowanych materiałów. Dodatkowe wymogi – czy to w zakresie limitów emisji w procesie wykonywania robót, czy ewentualnie w nowych obowiązkach stosowania „zielonych” metod wykonywania robót budowlanych (np. elektryczne maszyny budowlane, budowa obiegu zamkniętego, kwestie wodne itd.) – będą wpływać na wzrost finalnych kosztów realizacji inwestycji. Koszty te poniesiemy my, jako nabywcy mieszkań, a także jako podatnicy, finansujący realizację setek inwestycji publicznych, takich jak drogi, koleje, stadiony, szkoły etc.

W jakim zakresie unijna polityka energetyczno-klimatyczna, w tym rosnące ceny energii elektrycznej oraz uprawnień do emisji CO₂, wpływają na konkurencyjność polskich firm branży budowlanej wobec konkurencji unijnej oraz pozaunijnej?

Na powyższe zagadnienie trzeba spojrzeć z dwóch perspektyw –

wykonawcy oraz producenta. Polskie firmy wykonawcze powoli wzmacniają swoją pozycję wobec konkurencji europejskiej. Coraz częściej rodzime firmy wykonawcze wychodzą poza granice Polski i z powodzeniem realizują inwestycje mieszkaniowe oraz infrastrukturalne nawet na tak wymagających rynkach jak rynek norweski czy szwedzki. W ich przypadku wzrost cen materiałów budowlanych na rynkach zachodnioeuropejskich, bez względu na przyczynę takiego wzrostu (polityka klimatyczna, pandemia, zmiana łańcuchów dostaw etc.), stanowi oczywiście czynnik ryzyka, ale w analogicznym stopniu stanowi on czynnik ryzyka dla firm europejskich. Należy jednak podkreślić, że w praktyce rynków zachodnioeuropejskich funkcjonują efektywne mechanizmy waloryzacji wynagrodzenia. W Polsce natomiast nieliczne grono inwestorów stosuje waloryzację wynagrodzenia wykonawcy, ale nawet tam, gdzie jest ona stosowana, ma ona charakter częściowy, to jest obejmuje jedynie część, a nie całość faktycznych wzrostów cen. W efekcie, jeśli porównać ryzyko firmy budowlanej działającej np. w Holandii czy Niemczech z ryzykiem prowadzenia takiej działalności w Polsce, to bez wątpienia działalność w Polsce jest pod względem zmian cen obciążona znacznie większym ryzykiem. Innymi słowy: jeśli wzrost cen materiałów w Europie będzie postępował, to firmy budujące w Polsce będą w gorszej sytuacji kontraktowej i finansowej niż te, które będą prowadzić działalność w większości państw tzw. starej UE.

Polscy producenci materiałów budowlanych będą musieli poszukać środków bądź to na zakup praw do emisji, bądź to na unowocześnienie produkcji materiałów i zwiększenia udziału w produkcji energii z OZE, tak aby ograniczyć wzrost cen materiałów i tym samym poprawiać swoją konkurencyjność na rynkach europejskich. Wiele polskich producentów, jak np. cementownie, już teraz ma znacznie większy udział energii z OZE w produkcji materiałów aniżeli producenci zachodnioeuropejscy. Jednakże tak znaczna redukcja emisji CO₂ będzie wymagać dodatkowych nakładów. W tym miejscu istotną rolę będą ogrywać zwłaszcza publiczne (rządowe i samorządowe) mechanizmy wsparcia (dotacji), bez których redukcja emisji

przy zachowaniu konkurencyjności przedsiębiorcy może być niemożliwa.

Jednocześnie, mając na uwadze różne reżimy środowiskowe w ramach UE oraz poza nią, szczególnego znaczenia nabierze równoważenie szans przedsiębiorców europejskich, objętych restrykcyjnymi zasadami emisji. Bez mechanizmu równoważenia i ograniczania bądź racjonalizowania dostępu firm spoza UE do rynku UE europejscy, w tym polscy, przedsiębiorcy budowlani pozostaną w zasadzie bez realnych szans na bycie konkurencyjnymi.

Co polska branża budowlana może zrobić, by ten negatywny wpływ unijnej polityki był jak najmniejszy?

Branża budowlana powinna budować dobre rozwiązania razem ze stroną publiczną, regulatorem rynku oraz inwestorami. Bez stosowania rozwiązań, które zmniejszą presję cenową na wykonawców, polskie firmy budowlane nie będą w stanie podejmować wyrównanej walki z konkurencją zachodnioeuropejską. Wykonawca robót budowlanych, z reguły pracujący na marżach w granicach 3–10 proc. (dane GUS), nie jest bowiem w stanie przejąć na siebie ryzyka wzrostu kosztów na poziomie kilkudziesięciu procent i prawidłowo nim zarządzać. Nie jest również w stanie w takim warunkach rozwijać się i budować swojego polskiego potencjału. Dobre przygotowanie do zmian wynikających z polityki klimatycznej wymaga zatem z jednej strony wprowadzenia efektywnych mechanizmów waloryzacji wynagrodzenia wykonawcy, ale z drugiej – i to jest dużo bardziej złożone zagadnienie – ustanowienia mechanizmów wsparcia modernizacji przedsiębiorstw produkujących materiały budowlane, tak aby dopracowane procesy produkcji (i dystrybucji) nie wymagały dokonywania zakupów m.in. praw do emisji CO₂. Biorąc pod uwagę, że Polska będzie przez najbliższe lata beneficjentem środków z funduszy UE, postulat szerokiego wykorzystania tych środków do unowocześnienia procesów produkcyjnych wydaje się jak najbardziej zasadny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jan Styliński
jest prezesem zarządu
Polskiego Związku
Pracodawców Budownictwa.

Już 68 proc. pracowników uważa, że skrócenie tygodnia pracy do czterech dni wpłynęłoby pozytywnie na ich zdrowie – wynika z opublikowanego w ubiegłym tygodniu badania zleconego przez Personnel Service. Zdecydowanie za skróceniem tygodnia pracy opowiada się 53 proc. pytanym Polaków w wieku od 25 do 34 lat i 45 proc. w wieku od 35 do 44 lat. Najwięcej zwolenników czterodniowego tygodnia pracy jest zaś wśród zatrudnionych w największych firmach, gdzie już niemal co druga osoba uważa, że taka decyzja pozytywnie wpłynęłaby na ich zdrowie. Za krótszymi godzinami pracy jest jednak jedynie co trzeci pracownik z wykształceniem podstawowym. Wielu przeciwników skrócenia wymiaru pracy jest również wśród osób, które skończyły już 55. rok życia. Przeciwnikami czterodniowego tygodnia pracy jest również 40 proc. osób prowadzących własną działalność gospodarczą.

– To, że za opcją krótszego tygodnia pracy opowiedzieli się przede wszystkim ludzie młodzi i z wyższym wykształceniem, wcale nie dziwi. To właśnie ich cechuje najbardziej elastyczne podejście i gotowość na zmiany. Kluczowy jest również fakt, że osoby po studiach wykonują zwykle prace biurowe, które łatwiej zoptymalizować i wykonać w cztery dni – zauważa Krzysztof Ingłot, ekspert rynku pracy, Personnel Service SA. Wielu Polaków marzy o skróceniu tygodnia pracy, ponieważ należymy do jednych z najdłużej pracujących narodów Europy. Według danych OECD przeciętny Kowalski pracował w zeszłym roku 1766 godzin. O godzinę dłużej niż Polacy pracowali w ubiegłym roku Amerykanie. Średnia dla krajów Unii Europejskiej wyniosła jednak 1513 godzin, tymczasem najkrócej pracującym narodem w Europie byli Niemcy (średnio jeden pracownik w 2020 r. przepracował w tym kraju 1332 godziny).

UDANE EKSPERYMENTY

Pięciodniowy, 40-godzinny tydzień pracy wprowadzono niemal 100 lat temu. Ten system – oznaczający wówczas znaczące skrócenie godzin pracy, bo wcześniej ludzie pracowali po 10–12 godzin dziennie – wprowadził w 1926 r. magnat przemysłu motoryzacyjnego Henry Ford. Od dawna eksperci mówią jednak o zaletach skrócenia tygodnia pracy do czterech dni lub chociaż do 35

godzin. Taka zmiana miałaby przynieść nie tylko korzyści zdrowotne pracownikom, lecz także ich pracodawcom. Analitycy rynku pracy podkreślają bowiem, że z badań wynika, iż bardziej wypoczęty pracownik jest zdrowszy fizycznie i umysłowo, co oznacza, że rzadziej korzysta ze zwolnień lekarskich. To nie wszystko.

Mniej zestresowany i nieprzepracowany podwładny może stać się też dużo bardziej produktywny i kreatywny. Chętniej przychodzi do pracy i rzadziej się do niej spóźnia.

Od kilku lat w bogatszych krajach, takich jak Japonia, Nowa Zelandia, Wielka Brytania, Islandia, Szwecja czy Norwegia, o idei skrócenia nie tylko się dyskutuje, lecz także zaczyna się ją powoli wprowadzać w życie w pojedynczych miastach, firmach, w całych korporacjach lub wśród pracowników sektora publicznego. Już w 2019 r. miesięczny eksperyment z czterodniowym tygodniem pracy – a przy okazji z 30-minutowym limitem trwania pojedynczego spotkania biznesowego i preferowaniem rozmów

Nadchodzą wolne piątki?



Jacek Przybylski

W pogoni za jakością życia na Zachodzie wciąż rekordowo dużo pracujemy. Według OECD przeciętny Kowalski pracował w ubiegłym roku 1766 godzin, a statystyczny Müller o 434 godziny mniej. Z badań wynika jednak, że większość Polaków marzy o skróceniu tygodnia pracy do czterech dni. W niektórych firmach weekend już teraz trwa trzy dni

Pracownik przepracowany często bywa z kolei zbyt zmęczony, wypalony oraz zestresowany, aby móc efektywnie wykonywać swoje obowiązki. W takiej sytuacji, chociaż ku ucieście przełożonych dużo czasu przesiaduje w biurze, wiele z tych godzin jest po prostu zmarnowanych. Skrócenie czasu pracy przy jednoczesnym podniesieniu wydajności pracowników i obniżeniu kosztów działalności ma być paradoksalnie odpowiedzią w krajach, które borykają się z niedoborem rąk do pracy. Z eksperymentów wynika, że czterodniowy tydzień w firmie szczególnie skutecznie „odświeża umysł” pracowników w działach kreatywnych i artystycznych. Dobrze sprawdza się również wśród programistów i informatyków.

on-line zamiast osobistych spotkań – przeprowadził w Japonii amerykański Microsoft. Rezultaty były imponujące. I to nie tylko dlatego, że koszty zużycia energii elektrycznej spadły o 23 proc., a zużytego papieru o 59 proc. Jednocześnie przychód na jednego pracownika wzrósł bowiem aż o 40 proc. względem analogicznego okresu rok wcześniej. Zadowolonych z eksperymentu było zaś 92 proc. pracowników.

Szansę przetestowania skróconego, czterodniowego tygodnia pracy daje już pracownikom wiele firm, w tym duże korporacje. Unilever już rok temu pozwolił zatrudnionym w nowozelandzkim oddziale wybrać opcję skrócenia czasu pracy o jedną piątą bez obniżki wynagrodzenia.

■ Czterodniowy tydzień pracy wprowadziły też wybrane brytyjskie i amerykańskie think tanki.

Udany eksperyment z czterodniowym tygodniem pracy przeprowadziła również Islandia. Z inicjatywy władz centralnych oraz Rady Miasta Reykjavik w dwóch różnych projektach wziął w sumie udział jeden procent aktywnych zawodowo mieszkańców wyspy, czyli nieco ponad 2,5 tys. osób. Z analiz Islandzkiej Organizacji na rzecz Zrównoważonego Rozwoju i Demokracji (Alda) oraz brytyjskiego think tanku Autonomy – który zajmuje się badaniami nad przyszłością rynku pracy i również pozwala własnym pracownikom ograniczać czas pracy do czterech dni w tygodniu – wynika, że nie zauważono spadku poziomu produktywności.

Badania opisały media na całym świecie, ponieważ pierwszy z eksperymentów trwał od 2014 do 2019 r., a drugi od 2017 do 2019 r. Co istotne, wzięli w nich udział nie tylko pracujący za biurkiem urzędnicy, lecz także osoby o nienormowanym czasie pracy, w tym pracownicy przedszkoli, systemu ochrony zdrowia oraz policji. Skrócenie tygodnia pracy rozwiązało wiele obaw związanych z nową formą organizacji pracy i wymusiło m.in. redukcję czasu marnowanego na niepotrzebne narady i poprawę sposobu komunikacji między różnymi działami. Jednocześnie wzrosła satysfakcja wśród zatrudnionych, którzy zyskali możliwość wprowadzenia większej równowagi między pracą a życiem prywatnym. Analitycy podkreślają jednak, że tak dobre rezultaty osiągnięto m.in. dzięki temu, że zatrudnionym, którym zmniejszono liczbę godzin pracy, jednocześnie nie zmniejszono wcześniej wypłacanych wynagrodzeń.

Efekt? W ubiegłym roku ten niewielki wyspiarski kraj zajął 10. miejsce w przygotowywanym przez OECD rankingu państw, w których obowiązują najkrótsze godziny pracy. Już ponad 80 proc. Islandczyków pracuje mniej niż 40 godzin tygodniowo. Część szefów, w obawie przed konsekwencjami zbyt gwałtownych zmian, nie pozwoliła podwładnym od razu na przejście na czterodniowy tydzień pracy, ale np. skróciła im pracę o trzy godziny w tygodniu. W ślady Islandii chcą pójść m.in. władze Szkocji. Również John McDonnell z brytyjskiej Partii Pracy, pełniący funkcję kanclerza skarbu w gabinecie cieni, uważa, że cała



FOT. ADOBE STOCK

Wielka Brytania, Hiszpania oraz inne kraje UE powinny przejść na czterodniowy tydzień pracy.

PANDEMIA WYMUSIŁA ZMIANY

Podczas pandemii debata o zmianie czasu pracy nabrała nowego wymiaru. Wymuszony eksperyment z pracą zdalną pokazał bowiem w wielu firmach, że praca między 9 a 17 to przeżytek, a pracując zdalnie, w o wiele krótszym czasie można osiągać dużo lepsze wyniki.

W styczniu obecnego roku z propozycją wydłużenia weekendu do trzech dni wystąpiła Partia Liberalno-Demokratyczna w Japonii, a więc w kraju, gdzie pracownicy należą do jednych z najbardziej przepracowanych na świecie. Trzy miesiące później sprawą zajęła się rządowa Rada Polityki Gospodarczej i Fiskalnej. W czerwcu rząd w Tokio opublikował zaś

oficjalne zalecenie, aby japońskie firmy zezwalały swoim pracownikom na pracę cztery dni w tygodniu zamiast pięciu. Władze Japonii liczą na to, że efektywność pracowników nie spadnie, a jednocześnie przedłużone weekendy pomogą w rozwiązaniu coraz poważniejszego problemu demograficznego. Krótsze godziny pracy mają skłonić młodych nie tylko do zakładania rodzin.

Dodatkowy wolny dzień w kraju, w którym z przepracowania umiera według szacunków nawet 10 tys. osób rocznie, ma również sprzyjać zachęcaniu Japończyków do wydawania pieniędzy, co z kolei ma pobudzić krajową gospodarkę.

Z innego powodu trzyletni pilotażowy eksperyment polegający na skróceniu tygodnia pracy rozpoczął w maju tego roku również rząd w Madrycie. Władze



czas pracy w inne dni oraz że zwiększy to presję na wyniki. W USA i Kanadzie pilotażowe programy tego typu mają ruszyć w kwietniu 2022 r.

Szefowie w amerykańskiej firmie Salesforce poszli jeszcze dalej i ogłosili, że jej wybrani pracownicy mogą pracować trzy dni w tygodniu, w tym w biurze muszą spędzać od jednego do trzech dni. Resztę czasu mają dla siebie. Tym, którzy pracują zdalnie, firma przyznała 250 dol. dodatku na narzędzia biurowe etc.

MNIEJ PRACY W PRZYSZŁYM ROKU?

Polskie Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii również przygląda się eksperymentom dotyczącym skrócenia tygodnia pracy. Ze względu na nieporównywalnie niższe bezrobocie niż w Hiszpanii – stopa bezrobocia w Polsce utrzymuje się na poziomie 3,4 proc. – rząd w Warszawie nie ogłosił jednak na razie planów wprowadzenia podobnego rozwiązania nad Wisłą. Robią to już jednak firmy z sektora IT, a także agencje kreatywne. Jak informował branżowy portal Wirtualnedia.pl, w ramach testów trzydniowy weekend wprowadziła m.in. krakowska agencja kreatywno-strategiczna Funktional. Test ma potrwać kilka miesięcy, po których zapadnie decyzja, czy taki tryb zostanie utrzymany na stałe.

Szansa na szybkie upowszechnienie skróconego tygodnia pracy w Polsce nie jest na razie zbyt duża. Dla osób, które marzą o dodatkowym wolnym dniu, dobrą wiadomość przynosi jednak kalendarz na przyszły rok. W 2022 r. Polacy będą bowiem pracowali 251 dni, a więc o jeden dzień krócej niż w obecnym. W przyszłym roku czekają nas również łącznie aż cztery długie weekendy. Pierwsza okazja do wydłużenia weekendu pojawi się już 3 i 7 stycznia (po noworocznym weekendzie i po Święcie Trzech Króli). Niezłe będzie też w maju – Święto Trzeciego Maja przypada bowiem we wtorek, a także w listopadzie: pierwszy dzień tego miesiąca to wtorek, a Narodowe Święto Niepodległości przypada w piątek.

Według obliczeń firmy księgowej inFakt najbardziej pracowitym miesiącem dla osób zatrudnionych na etatach będzie marzec, na który przypada aż 184 godzin pracy. Najprzyjemniej będzie zaś w styczniu – w pierwszym miesiącu nowego roku wystarczy bowiem przepracować 152 godziny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

w Hiszpanii w skróceniu tygodnia pracy widzą szansę na obniżenie wysokiego bezrobocia, które wynosi aż 16 proc. Rząd w Madrycie zdecydował więc, że te firmy, które zdecydują się wydłużyć pracownikom weekend, otrzymają finansowe wsparcie. Na pilotaż władze Hiszpanii przeznaczyły 50 mln euro. W drugim i trzecim roku pilotażu związanego ze skróceniem godzin pracy dopłaty spadną jednak do 50 i 33 proc.

Jak informuje „Kurier Wileński”, głośno o czterodniowym tygodniu pracy podczas pandemii zrobiło się również na Litwie, gdzie jednocześnie z rozszerzeniem o jeden dzień weekendu związkowcy postulują również zapisanie w prawie dłuższego urlopu wypoczynkowego (obecnie Litwini mają prawo do wypoczynku w wymiarze 20 dni roboczych rocznie). Oczywiście przy zachowaniu

dotychczasowego poziomu płac. Udany eksperyment w tym zakresie przeprowadziły w Wilnie m.in. sieci ciepłownicze. Okazało się, że mimo skrócenia godzin pracy produktywność firmy wzrosła o 23 proc.

Własny eksperyment związany z ograniczeniem czasu pracy prowadzą również Irlandia, Kanada i Stany Zjednoczone. W pierwszych z tych krajów do projektu zakładającego wprowadzenie od lutego 2022 r. na sześć miesięcy trzydniowego weekendu zapisało się na razie 20 firm. Eksperymentowi z uwagą przyglądają się kolejne przedsiębiorstwa oraz związkowcy. Z sondaży prowadzonych w tym kraju wynika, że zwolennikami czterodniowego tygodnia pracy jest w Irlandii aż 85 proc. zatrudnionych. Przeciwnicy takiego rozwiązania obawiają się z kolei, że wydłuży to

Ubiegłoroczne ferie zimowe dla dzieci okazały się... kolejnym zamknięciem. Czas wolny był, pieniądze na wyjazdy często były (wszak wciąż wszyscy rodzice otrzymują co miesiąc wsparcie z programu „500+”, dostali też bon wakacyjny – 500 zł na każde dziecko, do wykorzystania do 31 marca 2022 r.), ale rząd zamknął branżę turystyczną.

Władze pozwoliły wszystkim Polakom wyjeżdżać do rodzin na święta i tam ze sobą się stykać, ale już nie pozwoliły wynajmować pokoi w hotelach czy pensjonatach. Hotele zostały zamknięte nawet dla wyjazdów służbowych. A to nie wszystko – minister zdrowia zapowiedział wówczas także unieruchomienie stoków narciarskich oraz zakaz przemieszczania się w sylwestra od godz. 19 do 6 rano.

Wszystkie dzieci miały wolne w tym samym terminie i wszystkie mogły jedynie posiedzieć w domach, ewentualnie odwiedzić kuzynostwo. Pozostawały do wynajęcia tylko całe domy, choć i w tym przypadku ryzyko po stronie przedsiębiorców było duże. Często też ludzie nie chcieli ostatecznie ryzykować takich wyjazdów.

W ubiegłym roku, gdy dosięgła nas „narodowa kwarantanna”, byliśmy przed rozpoczęciem programu szczepień. Dziś ten, kto chciał, mógł już przyjąć nawet dawkę przypominającą. Jak więc będą wyglądać zimowe wyjazdy?

IMPREZY WYGASZONE, SYLWESTER DROGI

Od 15 grudnia wchodzą nowe rządowe sankcje. Część z nich przyjmować można z lekkim niedowierzaniem – bo czy ktoś jeszcze ma złudzenia, że kierowca autobusu miejskiego będzie na bieżąco przeliczał na każdym przystanku, czy obłożenie miejsc w pojeździe nie przekroczyło już 75 proc.?

Zmartwieni będą na pewno ci, którzy zimą planowali imprezy. Oficjalnie została zakazana. Kluby taneczne i dyskoteki mają być po 15 grudnia zamknięte, ale... z wyjątkiem sylwestra. Zabawa w ostatnią noc w roku będzie możliwa. Przynajmniej na razie. Być może dlatego akurat zdobyć dziś miejsce na wyjazd sylwestrowy w popularnych lokalizacjach nie jest już łatwo. A przede wszystkim – nie jest tanio.

Jak wynika z raportu analityka HRE Investments Oskara Sękowskiego, ceny



Łukasz Zboralski

Ceny wyższe, siła złotówki niższa, mimo drugiego roku z pandemią – niepewność wciąż ogromna i obostrzenia od połowy grudnia. Jak będą wyglądały w tym sezonie wyjazdy na święta, sylwestra i ferie?

Prawdziwe białe

tegożnego sylwestra w kurortach są nawet o 30 proc. wyższe niż przed pandemią. Obecnie średnia stawka za dobę dla dwóch osób w Zakopanem przekracza 1 tys. zł. Ponad 800 zł trzeba zapłacić średnio w Szklarskiej Porębie, Karpaczu, Świeradowie-Zdroju. Ceny nad morzem dorównują sylwestrowym ofertom w górach. W Sopotcie średnia cena za dobę w tym czasie dla dwóch osób też przekracza 800 zł, w Świnoujściu to wydatek ponad 700 zł.

Polacy są jednak spragnieni zabawy. Sylwestrowe obłożenie obiektów jest już

gigantyczne. W popularnych serwisach rezerwacji on-line w Zakopanem zajętych jest już 97 proc. miejsc. Tak samo jest w Karpaczu (97 proc.), Szklarskiej Porębie (98 proc.), Wiśle (96 proc.), Krynicy-Zdroju (96 proc.), Świnoujściu (95 proc.) czy Sopotcie i Kołobrzegu (po 86 proc.).

Przyczyny? Są jasne. Branża turystyczna – zresztą nie tylko ona, lecz także gastronomiczna i wiele innych – wciąż nie doszła do siebie po lockdownach i poprzednich zamknięciach. Polski sektor turystyczny



szaleństwo

odpowiada za 6 proc. polskiego PKB i mieści w sobie 1,4 mln miejsc pracy. Tymczasem rok temu w listopadzie i grudniu liczba turystów korzystających z obiektów noclegowych spada w porównaniu z rokiem 2019 odpowiednio o 77,4 proc. i 80,4 proc. (dane GUS). Tegoroczne wakacje, które pozornie mogliśmy oceniać dobrze po tłoku w wakacyjnych miejscowościach, też nie dorównały nawet tym sprzed pandemii. Obłożenie bazy noclegowej było mniejsze o 15–20 proc. („Ocena wpływu pandemii koronawirusa na

branżę turystyczną w Polsce”, Karolina Stojczew, Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu, 2021).

Próba nadrobienia strat i wyrwania się z problemów to nie wszystko. Noclegi i zimowe zabawy będą dla nas boleśniej droższe także z powodów wysokiej inflacji – w listopadzie wyniosła ona 7,7 proc.

Gorzej niż w kurortach mogą mieć przedsiębiorcy organizujący sylwestrowe zabawy w innych miejscowościach. Dają już sygnały, że część gości odwołuje swoje rezerwacje i kurczy się możliwość

zarobku – a stawki sylwestrowe są kilkakrotnie wyższe niż imprez organizowanych w innym czasie.

ŚWIĘTA NIE POMOGĄ. A FERIE?

W odróżnieniu od sylwestra nie ma problemu ze znalezieniem pobytów na tydzień świąteczny. W samym Zakopanem w dniu pisania tego tekstu jedynie w serwisach on-line dla czteroosobowej rodziny można było znaleźć blisko 700 wolnych obiektów. Ceny – nawet o połowę niższe niż w sylwestrowym okresie. Taka rodzina lokum na tydzień może znaleźć za niecałe 2 tys. zł. Choć tych ofert nie jest wiele. Większy wybór zaczyna się od kwoty 4 tys. zł.

Jest oczywisty problem – Polacy na święta nie wyjeżdżają tak chętnie. To wciąż czas, który lubią spędzać w rodzinnym gronie, śpiewając kolędy przy ustrojonej choince, a nie oddając się zabiegom oczyszczania skóry w SPA.

Największy niepokój branży – ale też rodziców dzieci szkolnych – budzić dziś może kwestia wyjazdów na zimowe ferie. Nikt z rządu nie jest dziś w stanie powiedzieć, na ile plany czynione dziś okażą się możliwe do zrealizowania. Wręcz przeciwnie – sygnał wysyłany do ludzi tylko niepewność tę potęguje.

– W tej chwili mamy sygnały o tym, że ta fala epidemii powinna być najwyższa w ciągu tygodnia czy kilkunastu kolejnych dni. Jeżeli potem fala będzie stopniowo opadała, to chyba nie będzie żadnych potrzeb ku temu, żeby zmieniać kalendarz roku szkolnego. Natomiast jeśli sytuacja epidemiczna się nie uspokoi, to będziemy mieli poważne wzrosty zakażeń. Wtedy oczywiście trzeba brać pod uwagę podobny wariant, który zastosowaliśmy w roku ubiegłym – powiedział tuż przed mikołajkami w programie „Newsroom” Wirtualnej Polski wiceminister edukacji i nauki Dariusz Piontkowski.

Taka decyzja dla branży turystycznej w Polsce oznaczałaby prawdziwą katastrofę. Dla tych, którzy chcą z dziećmi wypocząć, oznaczałoby to konieczność wyjazdów za granicę. I tu jedyna, w pewnym sensie pocieszająca wiadomość: choć ceny wyjazdów zagranicznych też poszły w górę, to ferie zimowe w Zakopanem wcale nie odbiegają już poważnie cenowo od wyjazdów do Włoch, nie wspominając o Czechach czy Słowacji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska silna słabym złotym?

Narodowy Bank Polski przez długie miesiące, a raczej długie kwartały, zdawał się być zajęty w niemalym stopniu osłabianiem polskiej waluty. Tak, jakby słaba waluta była warunkiem odniesienia przez Polskę jakiegoś niebywałego sukcesu. Czy sukcesem tym miało być to, co się właśnie na naszych oczach dzieje, czyli uczynienie z naszej waluty narodowej, z polskiego złota, jednej z najgorzej sobie radzących walut już nie tylko wśród państw Unii Europejskiej, lecz także nawet wśród rynków wschodzących?

Cóż, jak wiadomo, słaba waluta – podobnie zresztą jak silna – ma swoje dobre strony (na przykład – do pewnego stopnia – wspiera eksport własnego kraju), ale ma też złe. I to jeszcze jak bardzo złe! Przecież gdyby tak nie było, gdyby uporczywe osłabianie własnej waluty było panaceum na gospodarcze kłopoty, gdyby było kluczem do szczęścia narodu, to wszystkie państwa prześcigałyby się nie w czymś innym, lecz właśnie w osłabianiu swoich walut. A jednak tak się nie dzieje, bo słaba waluta na dłuższą metę, a nawet waluta zbyt mocno osłabiona w krótkim czasie to muirowany przepis na kłopoty. Jakie? Wystarczy przyglądać się dziś Polsce, której waluta, złoty, po prostu tonie – jest najsłabsza od kilkunastu lat! – i rejestrować efekty tego procesu. Po pierwsze, w jeszcze większe tarapaty wpadają wszyscy, którzy zadłużyli się w walutach obcych. Po drugie, postępujący w ślad za szybkim słabnięciem złotego

szybki wzrost cen wszystkich produktów i usług z zagranicy jeszcze bardziej nakręca inflację. Po trzecie, szybko rosnące ceny importowanych części do produktów oferowanych na eksport przez polskie firmy sprawiają, że słabnie atrakcyjność tych produktów na zagranicznych rynkach.

Na domiar złego obawiam się, mimo wreszcie (!) ogłoszanych – niestety, wciąż nazbyt ostrożnych – werbalnych zapewnień szefa NBP Adama Głapińskiego i premiera Mateusza Morawieckiego o potrzebie wzmocnienia złotego, że to wcale nie koniec ich projektu „Słaby i jeszcze słabszy złoty”. A obawy te czerpię nie tylko ze słów szefa rządu, który jasno przyznał, że „będziemy robili wszystko, aby złotówka była NIECO silniejsza” (co przysporzyło jej... 3 gr), lecz także z działań władz monetarnych (NBP i RPP) i fiskalnych (rząd), które w stanowczo niedostatecznym stopniu – niedostatecznym, jak na powagę sytuacji – są nakierowane na wypełnianie tych słów, czyli deklaracji o potrzebie wzmocnienia złotego – treścią. Symbolicznym potwierdzeniem tego jest choćby mający się znaleźć w ustawie o obronie ojczyzny zapis o tym, że wzmacnianie polskiej armii, która powinna być finansowana solidnie – przez budżet państwa, ma być finansowane m.in. z wpłat zysku NBP – a ten, jak wiadomo, łatwiej osiągnąć, gdy złoty jest słaby.

Polska silna słabym złotym? Armia silna słabym złotym? Zaiste to naprawdę intrygująca koncepcja. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

PiS w błędnym kole

Na naszych oczach dzieje się coś, co nie miało w Polsce miejsca od lat, jeśli kiedykolwiek miało: finanse i stan gospodarki mogą się stać decydującym czynnikiem w kolejnych wyborach. Traci przez nie partia rządząca, a Polacy przechodzą brutalny i przyspieszony kurs ekonomii, której uczą się na własnych portfelach.

Polacy mogą nie znać teorii, ale praktykę inflacyjną widzą aż za dobrze

Na portalu Klubu Jagiellońskiego Marcin Palade wskazywał niedawno, że od PiS odpływa elektorat korzyści, czyli ten, który przyciągnęły konkretne zyski finansowe. Te zyski zaczynają dramatycznie topnieć w wyniku inflacji, a w dodatku ludzie, którzy zyskiwali w ostatnich latach – wskazuje Palade – zaczęli mieć aspiracje. Te aspiracje stają się, po pierwsze, coraz mniej realne właśnie z powodu inflacji, a po drugie – jeśli udaje się je w jakimś stopniu spełnić – ludzie dostają po głowie retorykę dojeżdżania „bogaczy”, w której rządzący gustują. W wyniku wejścia w życie Polskiego Ładu straci wielu drobnych przed-

sibiorców i mikroprzedsiębiorców, a także – przede wszystkim – prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą.

Wyborcy mogli nie czytać książki Henry’ego Hazlitta „Inflacja – wróg publiczny numer jeden”, czują jednak „drożyznę” we własnych kieszeniach i szukają winnych. Do świadomości przebijają się, ile razy Adam Głapiński lekceważył inflację oraz że w cenie paliwa ogromną część stanowią podatki (swoją drogą – czy też mają państwo wrażenie, że na ulicach jest mniej samochodów, co może być właśnie związane z cenami benzyny?). Polacy mogą nie znać teorii, ale praktykę inflacyjną widzą aż za dobrze. I nie wystarczy im opowiadać, że „gdzie indziej też jest drożej”. Rozbudzono oczekiwania, które teraz są drastycznie gaszone. To zawsze kończy się źle.

PiS przez lata doprowadził do tego, że jego ponadstandardowy elektorat, pozwalający wygrywać wybory, został uzależniony od dopieszczenia transferami. Transfery przyczyniły się znacząco do inflacji, która teraz ten sam elektorat od PiS odsuwa. Żeby ją choć trochę wygasić, trzeba by też wygasić transfery, co w sytuacji rosnącej inflacji byłoby tym bardziej bolesne. To błędne koło, z którego PiS nie bardzo ma jak wyjść, choć trudno stwierdzić, czy jego liderzy już to zrozumieli. ©©

1/2 LITRA PIWA ZAWIERA 25 GRAMÓW
CZYSTEGO ALKOHOLU ETYLOWEGO

NAWET TAKA ILOŚĆ SZKODZI ZDROWIU KOBIETY
W CIĄŻY I JEST NIEBEZPIECZNA DLA KIEROWCÓW

NA FAJRANT ZAWSZE DOBRZE
JEST USIAŚĆ Z SULEWSKIM!

Św. Mikołaj



Piwo jakiego nie znasz!

www.browarsulewski.pl

TEST „DO RZECZY”: KAMERA IP Z LAMPĄ EZVIZ LC3

Elegancki wygląd, połączenie zewnętrznej lampy z kamerą IP w jednym urządzeniu, szeroki kąt widzenia, wbudowana pamięć 32 GB i łatwość użytkowania – to największe zalety urządzenia do monitoringu chińskiej firmy Ezviz.

Przed wyjazdem na święta warto zadbać o bezpieczeństwo domu lub mieszkania. Stosunkowo tanim rozwiązaniem są kamery IP pozwalające na obserwowanie tego, co dzieje się wokół nieruchomości z dowolnego miejsca na ziemi.

Sporę wielkości urządzenie (o długości 28 cm, szerokości 12 cm i głębokości 8,6 cm) wygląda prosto i elegancko. Wbudowana lampa pozwala oświetlić całkiem spory obszar przed domem. Całe urządzenie jest zaś przystosowane do naszych warunków atmosferycznych (IP65).

Kamera umieszczona pod lampą oferuje maksymalną rozdzielczość na poziomie 2560 x 1440. Szału nie ma, ale jak na tę cenę, to w dzień jakość jest naprawdę przyzwoita. Na pochwałę zasługuje też stosunkowo szeroki kąt widzenia (157 stopni), który można ręcznie korygować 10 stopni w lewo i w prawo lub 15 stopni w dół lub w górę.

Nocą urządzenie umożliwia obserwację terenu na ok. 10 m. Nagrania i zdjęcia przechowywane są na wbudowanej pamięci o pojemności 32 GB. Gdy algorytm oparty na sztucznej inteligencji wykryje ruch lub zidentyfikuje sylwetkę człowieka, automatycznie wysła powiadomienia na smartfona użytkownika.

Funkcja działa również w ciemności – kamerę można ustawić też tak, aby po wykryciu ruchu w nocy automatycznie włączała światło. Lampa o maksymalnej jasności 700 lumenów może uruchamiać się też i wyłączać automatycznie o wybranych porach dnia. Urządzenie pozwala również ustawić moc oświetlenia, co pozwala zmniejszyć zużycie energii.

Ezviz LC3 pozwala również słyszeć, co dzieje się dookoła i mówić przez głośniczek, co ułatwia komunikowanie się np. z kurierami i wydawanie im dokładnych instrukcji, gdzie zostawić długo oczekiwane prezenty. Na wszelki wypadek urządzenie jest też wyposażone w syrenę o głośności 100 dB.

Kolejny plus testowanego modelu to łatwość montażu, konfiguracji i obsługi. Bez trudu może się tego podjąć osoba, która wcześniej nie miała wiele wspólnego z elementami inteligentnego domu. Gadżet współpracuje również z inteligentnymi asystentami.

Wady? Po pierwsze, rozpoznawanie ludzkich sylwetek czasem działa bardzo dobrze, a czasem bardzo źle. W gorszym oświetleniu, aby wywołać alarm o wykryciu ruchu lub nawet osoby, wystarczy intensywnie padający śnieg lub podświetlony przez lampę owad lecący tuż przed obiektywem. Trzeba wówczas w aplikacji zmniejszać czułość urządzenia, co skutkuje ograniczeniem fałszywych alarmów, ale urządzenie w tym trybie może nie dostrzec



w porę intruza. Po drugie, Ezviz LC3 łączy się z Internetem tylko poprzez wi-fi. Nie ma opcji PoE (Power over Ethernet), co dla niektórych może być istotnym ograniczeniem.

Mimo tych minusów model LC3 to ciekawy kompromis dla osób, które szukają niezłej zewnętrznej kamery IP dyskretnie wbudowanej w ładną lampę z czujnikiem ruchu w atrakcyjnej cenie. Tę zewnętrzną lampę z funkcją monitorowania otoczenia można obecnie kupić za 499 zł. © ©

Jacek Przybylski



TESTER CZYSTOŚCI

Asus PureGo PD100 to nowy gadżet, który naprawdę może ułatwić zdrowe odżywianie. Niewielkie urządzenie pozwala szybko sprawdzić, czy warzywa i owoce są już dokładnie umyte i nie mają już na sobie żadnych pestycydów i innych szkodliwych chemikaliów. Model PureGo PD100 należy włożyć do wody, w której trzymamy też przygotowaną do spożycia porcję warzyw i owoców. Specjalny wskaźnik pokazuje, czy są już one gotowe do podania na stół czy jednak należy jeszcze raz dokładnie je umyć. Urządzenie działa banalnie prosto: jeśli światelko świeci się na zielono, to wszystko jest w porządku, jeśli na pomarańczowo lub czerwono, to znaczy, że chemikalia wciąż są obecne na warzywach i owocach. Gadżet współpracuje również z dedykowaną aplikacją, która automatycznie zapisuje wyniki analiz. Według producenta model potrafi rozpoznać większość pestycydów stosowanych w Stanach Zjednoczonych. W USA Asus PureGo PD100 został wyceniony na 199 dol., czyli równowartość 808 zł.

DROGI DRON OD SONY

Japoński koncern wprowadza do sprzedaży swój pierwszy dron dla profesjonalistów. Bezzałogowiec z logo Sony potrafi latać z prędkością nawet 90 km/h i posiada system umożliwiający stabilizację nagrywanego obrazu nawet w wietrznych warunkach. Do urządzenia można podpiąć bezlusterkowe aparaty fotograficzne Sony. Wówczas czas pracy niewielkiego drona na jednym ładowaniu wynosi nieco ponad 10 minut (bez żadnego obciążenia bezzałogowiec może latać przez ponad 20 minut). Wysyłka zamówionych dronów rozpocznie się 24 grudnia. Za Airpeak S1 trzeba zapłacić 8999 dol., czyli równowartość 37,6 tys. zł. W zestawie znajdują się dwie baterie, dwa zestawy śmigieł oraz kontroler. © ©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

Tereny po centrach handlowych zyskają nową odstonę!



Urszula Hofman

Piotr Uściński, podsekretarz stanu w Ministerstwie Rozwoju i Technologii, odpowiadający za kwestie związane z budownictwem, zagospodarowaniem przestrzennym i mieszkalnictwem, ogłosił niedawno, że jego resort pracuje nad kolejnym narzędziem, które ma przyczynić się do zwiększenia dostępności mieszkań dla Polaków.

Przedstawiony przez ministra koncept miałby polegać na możliwości przekształcania terenów, które zatraciły swoją pierwotną funkcję usługową czy też handlową, w tereny, które zostaną przeznaczone pod wielorodzinne budownictwo mieszkaniowe. Dzięki takiemu rozwiązaniu możliwe byłoby przekształcenie starych, wielkopowierzchniowych centrów handlowych – których lata świetności przypadały na przełom XX w. – w nowoczesne, ekologiczne projekty mieszkaniowe. Przykładem dużej sieci handlowej, która straciła na znaczeniu w związku z boomem na dyskonty i rozwojem e-commerce, jest brytyjskie Tesco. Z upływem czasu okazało się, że wielkie, monofunkcyjne molochy są nierentowne i konieczne będzie ich stopniowe wygaszanie.

Nie należy zapominać, że duża część parków handlowych była lokalizowana w atrakcyjnych częściach miasta. Rewitalizacja takiego obszaru i zamiana jego funkcji pozwolą na ponowne przyłączenie go do tkanki miejskiej, po latach niełaski związanej z jego wcześniejszym prze-



Patryk Kozierkiewicz
(PZFD)

znaczeniem. Z takiego obrotu spraw zadowolona będzie przede wszystkim lokalna społeczność.

Podobną sytuację zaobserwować możemy w przypadku usług najmu, które zostały skupione w zagłębiach biurowych, takich jak popularny warszawski „Mordor”. Po latach wiemy już, że przewidziana w tamtym rejonie monokultura biurowa zupełnie nie przystaje do miejskich realiów. Mieszkańcy Warszawy skarżą się, że zagłębie biurowe generuje korki, brakuje niezbędnych usług czy oferty kulturalnej, a po godzinach pracy hula tam wiatr.

Umożliwienie przekształcenia takich terenów byłoby zatem idealnym rozwiązaniem. Nowe projekty, powinny natomiast zostać realizowane w myśl idei „mixed-use” oraz „miasta 15-minutowego” – zakładających pomieszczenie funkcji usługowych, biurowych i mieszkaniowych. W ten sposób mieszkańcy mieliby dostęp do wszelkiej niezbędnej infrastruktury, jednocześnie sprzyjałoby to tworzeniu się więzi społecznych.

Trend lokalizacji zabudowy usługowej, biurowej i mieszkaniowej w niedalekiej odległości doskonale widoczny jest np. w Poznaniu, gdzie miasto przeznaczyło olbrzymie tereny wokół galerii handlowej Pośnania na tereny zabudowy mieszkaniowej. Nieruchomości sprzedawane są na przetargach przez miasto i stanowią łakomy kąsek dla wielu firm deweloperskich. Tereny przy ulicach Niemena i Anny Jantar zakupiło m.in. konsorcjum Grupa Inwest,

które z powodzeniem realizuje kolejną już inwestycję – Nova Łacina.

Z kolei instrument przekształcania terenów pousługowych czy pohandlowych na tereny mieszkaniowe mógłby stanowić część pakietu rozwiązań antyinflacyjnych oraz prorodzinnych. Miasta zamiast „rozlewać się” na olbrzymie obszary, mogłyby cechować się bardziej spójną zabudową. Zwiększając podaż gruntów, w dłuższej perspektywie przyczyniamy się bowiem do wzrostu generowanych inwestycji, podniesienia dostępności pracy na lokalnych rynkach oraz – co najistotniejsze w obliczu rosnącej inflacji – ustabilizowania cen mieszkań i podniesienia poziomu ich dostępności. Już teraz szacuje się, że w naszym kraju brakuje od 1,5–2 mln do średniego poziomu UE. Średnia liczba mieszkań na 1000 mieszkańców w Polsce wynosi bowiem 393, podczas gdy w UE są to 463 mieszkania. Sytuacja rysuje się równie ponuro w przypadku średniej liczby mkw. dostępnych w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Statystyki mówią o najgorszym, obok Rumunii, wyniku w UE.

Mamy szczerą nadzieję, że rozsądnie przeprowadzona reforma przyniesie oczekiwane rezultaty, a za kilka lat w miejscu starych biurowców i centrów handlowych pojawią się nowoczesne, energooszczędne projekty mieszkaniowe, wpisujące się w potrzeby mieszkańców i redefiniujące krajobraz miasta.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD.



Program, który ratuje wzrok



**Z prof. Markiem Rękasem, konsultantem krajowym
w dziedzinie okulistyki**

rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Jak wielu chorych na cukrzycę ma cukrzycowy obrzęk płamki? Czy z tego powodu można stracić wzrok?

PROF. MAREK RĘKAS: W Polsce ok. 3 mln osób choruje na cukrzycę. Zgodnie z wytycznymi światowymi, europejskimi, a także polskimi chorzy na cukrzycę powinni być raz w roku badani przez okulistę. Nie jest to jednak realne ze względu na zbyt małą dostępność do specjalistów, dlatego postuluje się, żeby w proces diagnostyczny włączyć telemedycynę. U 14–17 proc. chorych na cukrzycę rozwijają się powikłania dotyczące narządu wzroku, w postaci cukrzycowego obrzęku płamki.

Płamka jest najbardziej wyspecjalizowaną i wrażliwą częścią siatkówki. Drobne naczynia krwionośne odżywiające siatkówkę są podatne na szkodliwe działania podwyższonego poziomu

glukozy oraz innych zaburzeń metabolicznych. Ściana naczyń z czasem ulega osłabieniu i zaczyna przeciekać. Krew lub jej niektóre składniki wydostają się poza naczynie, co skutkuje krwawieniami, wysiękami i obrzękiem siatkówki. Jeśli obrzęk wystąpi w płamce, to taki stan określany jest jako cukrzycowy obrzęk płamki (DME). Niektóre komórki siatkówki obumierają i zmiany stają się nieodwracalne.

Jak objawia się choroba?

Płamka odpowiada za widzenie centralne, m.in. barw, ostrość wzroku, widzenie kontrastu. Pierwszymi objawami cukrzycowego obrzęku płamki są pogorszenie ostrości wzroku, falowanie, łamanie się linii prostych. Obrzęk płamki powoduje z czasem utratę centralnej części widzenia, pojawia się ciemna plama

w środku pola widzenia, podobne jak w przypadku AMD (zwyrodnienie płamki żółtej związane z wiekiem). DME bardzo często dotyczy jednak młodych pacjentów: 40 proc. nie ma skończonych 40 lat życia.

Czy postęp DME da się zahamować?

Po pierwsze, konieczne jest dobre leczenie cukrzycy – wyrównanie metaboliczne. Jeśli chodzi o leczenie okulistyczne, to polega ono głównie na podawaniu zastrzyków z leków zwanych inhibitorami czynnika wzrostu śródbłonnki naczyniowego (anty-VEGF). To te same leki, które już od lat są stosowane w AMD. W przypadku DME często konieczne jest również stosowanie steroidów w postaci iniekcji do gałki ocznej. Leczenie jest też kojarzone z laseroterapią.

W pierwszym roku leczenia pacjent zwykle dostaje osiem–dziewięć zastrzyków do gałki ocznej. W kolejnych latach liczba iniekcji zmniejsza się, nawet do jednej w roku. W przypadku AMD widzenie nie może się poprawić, może co naj-

wyżej się ustabilizować, ponieważ jest to choroba zwyrodnieniowa. W przypadku DME, jeśli uzyskamy poprawę, to dobre widzenie może się utrzymywać nawet do końca życia. To ważne, ponieważ pacjentami często są młodzi ludzie. Dzięki leczeniu mogą pracować, normalnie funkcjonować, nie przechodzą na rentę.

Nieleczone DME powoduje całkowitą utratę wzroku?

Tak, jeśli dojdzie do trwałego uszkodzenia siatkówki. Wczesne podjęcie leczenia i likwidacja obrzęku płamki może ocalić widzenie.

Leczenie iniekcjami do gałki ocznej jest skuteczne?

Tak, jeśli zostało podjęte odpowiednio wcześniej. W Anglii objęcie pacjentów z cukrzycą opieką i wdrożenie leczenia spowodowało, że w ciągu trzech lat praktycznie zlikwidowano ślepotę z powodu DME. O jedną trzecią zmniejszyła się też konieczność wykonywania skomplikowanych, kosztownych i mających wiele powikłań zabiegów witrektomii z powodu powikłań cukrzycy.

Od lipca wprowadzono w Polsce program leczenia DME. Jak on będzie wyglądać?

Do 1 lipca br. leczenie cukrzycowego obrzęku płamki nie było leczeniem regularnym, a tylko takie daje możliwość poprawy widzenia do pełnej ostrości wzroku. Obecnie taką możliwość gwarantują zapisy programu lekowego. U pacjenta z DME zaczynamy leczenie od podania pięciu iniekcji dogałkowych bewacyzumabem. Ten lek podajemy off-label (poza wskazaniami) w okulistyce, jednak jest on bardzo szeroko stosowany w tym wskazaniu. Jeśli leczenie jest skuteczne, to je kontynuujemy. Jeśli nie, to lekarz prowadzący zgłasza pacjenta do zespołu koordynacyjnego, który decyduje, czy jest zasadna zmiana leku na terapię drugiej linii, w której stosuje się leki oryginalne. Jednym z warunków jest to, że pacjent ma ustabilizowaną cukrzycę. Około 10 proc. pacjentów z różnych powodów nie może otrzymać w drugiej linii leku anty-VEGF, w takim przypadku w drugiej linii leczenia można zastosować steroid (deksametazon) w implancie, podawany w postaci iniekcji do gałki ocznej. Ten lek podaje się raz na pół roku. Jeśli leczenie anty-VEGF w drugiej linii jest nieskuteczne, to w trzeciej stosuje się deksametazon w implancie.



Małgorzata Pacholec, dyrektor Instytutu Tyflogicznego Polskiego Związku Niewidomych, prezes Stowarzyszenia Retina AMD Polska:

Pracuję od 35 lat w Polskim Związku Niewidomych. Przez wiele lat cukrzyca była na pierwszym miejscu wśród przyczyn, z których pacjenci tracili wzrok. Dziś sytuacja jest inna, ponieważ są lepsze leki przeciwcukrzycowe, jest lepszy dostęp do specjalistów, cukrzyca jest bardziej wyrównana. Poprawił się też dostęp do terapii laserowej, nadal jednak u chorych na cukrzycę często występują powikłania dotyczące wzroku. Program leczenia DME jest bardzo potrzebny, zabiegaliśmy o niego jako stowarzyszenie od pięciu lat, mając świadomość, że terapia przynosi bardzo dobre efekty i świetnie sprawdziła się w przypadku AMD. Cukrzyca to ciężka choroba, która odbiera sprawność poszczególnych narządów. Chcieliśmy, żeby nie odbierała pacjentom wzroku, dlatego tak zabiegaliśmy o ten program. Dla wielu pacjentów będzie on oznaczał możliwość widzenia.

Gdzie pacjenci mogą szukać ośrodków, które prowadzą takie leczenie?

Warto szukać informacji o ośrodkach na stronach NFZ. Pacjenci są już włączani do terapii. Część konkursów ogłoszonych przez NFZ dla szpitali na prowadzenie tego programu już została rozstrzygnięta, część z różnych względów musi być powtórzona. Z przykrością muszę powiedzieć, że niektóre kliniki okulistyczne w ogóle nie przystąpiły do konkursów, nawet w dużych miastach. Można by postawić pytanie: Czy jeśli oddział okulistyczny nie chce wykonywać takich zabiegów, to czy w ogóle powinien istnieć? Leczenie zaćmy, AMD, DME to podstawa organizatyki, mam nadzieję, że te oddziały przystąpią do konkursów i leczenie będzie dostępne we wszystkich ośrodkach w Polsce.

Program leczenia DME został uznany za jeden z największych sukcesów 2021 r.: jest kompleksowy, a terapia ratuje wzrok...

To prawda, w dodatku mamy możliwość zastosowania najnowocześniejszych leków. Oczywiście zawsze początkowo są problemy organizacyjne, mamy jednak już doświadczenie w leczeniu AMD. Warto mówić o tym, że jest już możliwość takiego leczenia w ramach NFZ, nie trzeba tego robić w prywatnych klinikach.

Wcześniej mieliśmy bardzo dziwną sytuację: raporty pokazywały, że liczba chorych na cukrzycę rośnie, a liczba osób z cukrzycowym obrzękiem płamki... maleje. Powodem było to, że znaczna część pacjentów leczyła się prywatnie, ponieważ brakowało finansowania programu. Teraz już jest.

Mamy szansę powtórzyć za trzy lata sukces Anglii? Chorzy na cukrzycę nie będą tracić wzroku?

Ten program z pewnością wielu chorym pomoże. Nie będą tracić wzroku, nie będą musieli iść na rentę, koszty ZUS też będą mniejsze. Takie działania mają długotrwały sens.

Głównym problemem pozostanie więc wczesne rozpoznawanie cukrzycowego obrzęku płamki?

Mam nadzieję, że program będzie dopełniany przez wczesną diagnostykę. Najlepiej rozpocząć leczenie jak najszybciej, gdy tylko pojawia się obrzęk płamki. Wytyczne mówią, żeby chory na cukrzycę co roku był badany przez okulistę, jednak w praktyce jest to nierealne. Można jednak wspomóc się telemedycyną, co już praktykuje się w wielu krajach. Najprostszym sposobem jest zatrudnienie w poradni diabetologicznej okulisty, który np. raz w tygodniu ogląda zdjęcia dna oka wykonane przez diabetologa lub lekarza rodzinnego. Takie zdjęcia można też okuliście przesłać za pomocą telemedycyny. W niektórych stanach USA funkcjonują specjalne autobusy, które jeżdżą po mniejszych miejscowościach, technicy wykonują zdjęcia dna oka, a inteligentne oprogramowanie decyduje, czy jest podejrzenie DME. Jeśli tak, to wykonuje się dokładniejsze badania i dopiero po potwierdzeniu pacjent jest kierowany do okulisty. Telemedycyna jest przyszłością diagnostyki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Marek Rękas – kierownik Kliniki Okulistyki Wojskowego Instytutu Medycznego, konsultant krajowy w dziedzinie okulistyki.

Dlaczego nie odczulamy w przychodniach?



FOT. ADDBESTOCK



Katarzyna Pinkosz

Jest teraz bardzo dobry czas na rozpoczęcie odczulania, jednak z powodu kolejnej fali COVID-19 to mocno utrudnione, gdyż w Polsce immunoterapię w kierunku jadu owadów prowadzi się głównie w szpitalach. Eksperci i pacjenci chcieliby, by można ją było przeprowadzać także w poradniach alergologicznych. Tak jak w innych krajach Europy

Użądlenie przez osę, pszczołę czy szerszenia zwykle kończy się bólem i miejscowym obrzękiem. Niestety nawet do 20 proc. osób jest uczulonych na jad owadów błonkoskrzydłych, a ok. 8 proc. ma reakcję uogólnioną, tzw. systemową. – To np. pokrzywka, obrzęk tkanek podskórnych, nudności, wymioty, biegunka, czyli objawy ze strony skóry i przewodu pokarmowego. Najbardziej jednak obawiamy się objawów ze strony układu oddechowego i krążenia, takich jak duszność, tachykardia, czyli przyspieszone bicie serca, zawroty głowy, zaburzenia świadomości, znaczne osłabienie, spadek ciśnienia

krwi. To wstrząs anafilaktyczny, który zagraża życiu i wymaga pilnej interwencji: podania adrenaliny i innych leków, które łagodzą objawy i ratują życie – tłumaczy prof. Marek Jutel, prezydent Europejskiej Akademii Alergologii i Immunologii Klinicznej (EAACI).

Osoby, które miały reakcje uogólnione, a w niektórych przypadkach także silne reakcje miejscowe, powinny być odczulane (jeśli badania potwierdzą, że przyczyną była reakcja alergiczna). To wręcz konieczne u osób, które przeżyły wstrząs anafilaktyczny, gdyż taka sytuacja może się powtórzyć, a nie zawsze będzie możliwe udzielenie natychmiastowej pomocy i po-

dania adrenaliny. – Wstrząs anafilaktyczny to zagrożenie życia i jedno z najbardziej traumatycznych doświadczeń. Pojawia się lęk przed powtórzeniem sytuacji, która może całkowicie zmienić życie. Wiele osób obawia się nawet wyjść na dwór czy wyjechać poza miasto – przekonuje dr Katarzyna Korpołewska, psycholog społeczny. Do użądlenia może dojść także w mieście, a bardzo trudno przez cały czas nosić ze sobą zestaw przeciwwstrząsowy z adrenaliną.

IMMUNOTERAPIA: JEDYNE LECZENIE PRZYZYNOWE

Jedynym sposobem wyleczenia alergii na jad owadów jest odczulanie, czyli immunoterapia. – To działanie profilaktyczne, które w dalszej perspektywie ratuje życie: zabezpiecza przed wystąpieniem objawów, które nie zawsze udaje się opanować – dodaje prof. Jutel. Są różne schematy odczulania, polegają one najpierw na podawaniu wzrastającej dawki alergenu, aż do maksymalnej, którą później – w celu podtrzymania efektu i „nauczenia” organizmu tolerancji – podaje się przez trzy do pięciu lat.

W Polsce co roku ok. 2–3 tys. osób jest poddawanych terapii alergenowej w kierunku jadu owadów. – Ta liczba jest zdecydowanie za mała, powinno to być co najmniej kilkanaście tysięcy osób, biorąc pod uwagę to, jakim ryzykiem jest powtórne użądlenie – podkreśla prof. Jutel.

– Świadomość pacjentów, że powinni się odczuć, jest różna. Niektórzy nie są o tym przekonani, często jednak nie decydują się na podjęcie immunoterapii dlatego, że nie widzą możliwości dojeżdżania co kilka tygodni przez kilka lat do ośrodka prowadzącego leczenie – mówi Grzegorz Baczewski, p.o. prezes Fundacji Centrum Walki z Alergią. Jeśli pacjent chce skorzystać z możliwości immunoterapii w ramach NFZ, to musi zdecydować się na jej prowadzenie w jednym z trzydziestu kilku ośrodków szpitalnych. – Jeśli na odczulanie przyjeżdża co miesiąc, to oznacza to 12 dni wolnych w roku; a w ciągu pięciu lat: 60 dni. To dwa urlopy w ciągu 2,5 roku. Poza tym nie wszyscy mają taką pracę, żeby za każdym razem móc wziąć urlop. Do tego trzeba jeszcze doliczyć koszt dojazdu. Dlatego wiele osób nie decyduje się na odczulanie, choć ryzykują przez to życie – dodaje prof. Krzysztof Kowal, przewodniczący Sekcji Immunoterapii Swoistej Polskiego Towarzystwa Alergologicznego. Immunoterapię można też prowadzić w poradni alergologicznej, jednak w takim przypadku pacjent musi płacić za lek, gdyż nie jest on refundowany.

Dostęp pacjentów do możliwości odczulania znacznie pogorszył się w czasie epidemii COVID-19: część miała wcześniej zakończone leczenie, niektórzy (zwłaszcza starsi, z chorobami współistniejącymi) sami nie zgłaszali się na wizyty, obawiając się zarażenia koronawirusem. Zmniejszyła się też liczba nowych pacjentów włączanych do leczenia. – Teraz, w czasie czwartej fali COVID-19, mamy podobną sytuację, wszystkie przyjęcia planowe do szpitala są bardzo ograniczane, praktycznie nie włączamy nowych pacjentów do immunoterapii. To niedobrze, bo właśnie teraz, kiedy owady nie żądają, powinniśmy zacząć odczulanie, by przeprowadzić pacjentów przez pierwszą fazę, żeby już zabezpieczeni weszli w sezon, kiedy istnieje ryzyko użądlenia – zaznacza prof. Krzysztof Kowal.

TANIEJ DLA SYSTEMU

Profesor Kowal podkreśla, że odczulanie w szpitalach to pewnego typu „zaszłość historyczna”. – Obawialiśmy się

reakcji niepożądanych, przede wszystkim wstrząsu anafilaktycznego. Bezpieczniej było więc prowadzić odczulanie w szpitalu, by szybko udzielić pomocy pacjentowi. Obecnie mamy dużo bezpieczniejsze preparaty do odczulania, typu depot. Alergen uwalnia się z nich wolniej niż z preparatów wodnych starszego typu, dlatego można je bezpiecznie stosować także w trybie ambulatoryjnym. A są równie skuteczne – mówi prof. Kowal.

Eksperti zwracają uwagę, że w wielu krajach już od lat immunoterapia jest prowadzona nie tylko w szpitalach, lecz także w poradniach alergologicznych. W Austrii o tym, czy odczulanie odbywa się w szpitalu czy w przychodni, decyduje lekarz wspólnie z pacjentem. – Od ponad 20 lat stosujemy preparaty typu depot, których skuteczność jest podobna do skuteczności preparatów wodnych. Pacjenci mogą wybierać pomiędzy leczeniem w szpitalu oraz w trybie ambulatoryjnym. Zwykle wolą być leczeni w poradni. Jeśli lekarze prowadzący mają doświadczenie w prowadzeniu odczulania, nawet niewielkie, to jest ono bezpieczne – mówi prof. Gunter Sturm, przewodniczący Grupy Roboczej ds. Nadwrażliwości na Jad Owadów Europejskiej Akademii Alergii i Immunologii Klinicznej.

Odczulanie w poradniach ambulatoryjnych oznacza oszczędności dla systemu ochrony zdrowia: leczenie w szpitalu jest dużo droższe. – Analizy farmakoekonomiczne pokazują, że jeśli weźmiemy pod uwagę fazę inicjującą immunoterapii oraz fazę podtrzymującą, która trwa pięć lat, to procedura odczulania prowadzonego w trybie szpitalnym kosztuje ok. 63 tys. zł za jednego pacjenta. W przypadku odczulania w opiece ambulatoryjnej, do czego konieczna jest refundacja leku, koszt wyniósłby ok. 20 tys. zł. To 43 tys. zł oszczędności; gdyby w ten sposób mogło być leczonych 1 tys. pacjentów, to mielibyśmy ok. 43 mln zł oszczędności, co pozwoliłoby odczulić trzy razy więcej osób. Skorzystałby system ochrony zdrowia, skorzystałby pacjent, którzy mieliby możliwość leczenia bliżej miejsca zamieszkania, nie musieliby co miesiąc zwalniać się z pracy; zmniejszyłyby się więc też koszty pośrednie, jak je określamy w farmakoekonomice – mówi prof. Marcin Czech, prezes Polskiego Towarzystwa Farmakoekonomicznego.

CZEKAJĄ NA DECYZJĘ

Stworzenie możliwości prowadzenia immunoterapii w przychodniach alergo-

logicznych jest też ważne z epidemicznego punktu widzenia. – W szpitalu pacjent zawsze jest w większym stopniu ekspozowany na czynniki zakaźne, nie tylko na SARS-CoV-2. Dlatego jeśli hospitalizacja nie jest konieczna, a leczenie może być bezpiecznie prowadzone w przychodniach, to należy je tam prowadzić – dodaje prof. Marcin Czech.

Eksperti chcieliby mieć możliwość wyboru terapii dla pacjenta, podobnie jak w innych krajach. – W Polsce mamy znakomitych alergologów, cenionych w Europie i na świecie, którzy świetnie poradziłby sobie z prowadzeniem odczulania w poradniach alergologicznych. Umiejętności lekarzy byłyby wykorzystywane, a leczenie szpitalne powinno być zarezerwowane dla pacjentów, u których istnieje większe ryzyko reakcji anafilaktycznej, albo dla tych, którzy czują się bezpieczniej w szpitalu. Decydemt o poradzilibym, żeby nie obawiali się podjąć decyzji, gdyż na pewno zmiany odbywałyby się stopniowo, a część pacjentów nadal byłaby odczulana w szpitalach – podkreśla prof. Kowal.

Fundacja Centrum Walki z Alergią wielokrotnie zwracała się do Ministerstwa Zdrowia z prośbą o zmiany, występowała też z interwencjami do posłów. – Otrzymujemy odpowiedzi, że sprawa jest w toku, jednak to trwa już dwa lata, a my ciągle czekamy. Czemu dalej czekać, skoro ta decyzja jest tak potrzebna, by ułatwić życie pacjentów i przynieść oszczędności dla systemu? Dobro chorego powinno być najwyższym prawem – mówi Grzegorz Baczewski.

Zdaniem prof. Marcina Czecha problemem jest bezwładność systemu ochrony zdrowia i jego „silosowość”. – Z punktu widzenia zarządzania bardzo sensowne jest przesunięcie opieki nad pacjentem do mniej kosztownych części systemu, takich jak AOS. Opieka specjalistyczna jest znacznie tańsza niż hospitalizacja – podkreśla prof. Czech. Lekarzom bardzo zależy na tym, żeby decyzje zapadły jak najszybciej. – Chcielibyśmy jak najwięcej osób odczulić właśnie teraz, bo wiele dramatycznych sytuacji zdarza się wiosną. Mamy jednak związane ręce: z powodu pandemii pacjenci mają ograniczony dostęp do szpitali, a nie możemy im pomóc w warunkach ambulatoryjnych, bo nie ma takiej refundacji. To bardzo frustrujące, gdy nie możemy wykorzystać naszej wiedzy i chęci, by pomóc – mówi prof. Jutel.

PYSZNOŚCI Z TEGO, CO ZALEGA, CZYLI ZERO WASTE

– Od 2016 r. powstało w Polsce ponad 60 jadłodzielni, czyli miejsc do bezpłatnej wymiany jedzenia każdego z każdym. Tutaj każdy może przynieść i każdy może się poczęstować bez względu na zasobność portfela. W Toruniu wpadliśmy na pomysł stworzenia książki kucharskiej na potrawy z wykorzystaniem pozostałości z szafek i lodówek w naszych domach – opowiada „Do Rzeczy” Michał Piszczek z toruńskiej jadłodzielni (facebook.com/jadlodzielnia.torun). – Do projektu zaprosiliśmy mieszkanki i mieszkańców naszego miasta, a także szefów kuchni i kucharzy – dodaje.

Jako jeden z pierwszych na ten apel odpowiedział Krzysztof Pielas – pasjonat kuchni, od sześciu lat gotujący dla sieci Manekin. Specjalizuje się w daniach na bazie mąk z różnych gatunków zbóż oraz w przygotowywaniu mięs i wędlin w różnych stylach. Jedną jego z ulubionych opcji kuchni zero waste, która umożliwia „posprzątanie lodówki”, jest focaccia.

Starter:

- zakwas z mąki pszennej pełnoziarnistej – 50 g
- woda – 125 g
- mąka pszenna pełnoziarnista – 65 g

Zakwas rozpuścić w letniej wodzie, dodać mąkę pszenną pełnoziarnistą, odstawić pod przykryciem na ok. 8–10 godz.

Ciasto właściwe:

- starter – 240 g
- mąka pszenna chlebowa (typ 650, 720) – 450 g

- otręby pszenne – 30 g
- sól morską drobną – 6 g
- woda – 315 g
- oliwa extra virgin – 30 g
- drożdże suche – 2 g

Do startera wlać wodę, wysypać drożdże, mąkę, otręby oraz sól. Mieszać z użyciem robota lub ręcznie drugim końcem drewnianej łyżki do czasu, kiedy ciasto robi się gładkie. Ciasto pozostawiamy w temperaturze otoczenia na ok. 4 godz. Po tym czasie odgazowujemy ciasto, składamy, lepimy kulę, zagniatając je do środka, zwilżamy oliwą i wkładamy do temperatury kontrolowanej (lodówka) na 12–24 godz. Wyrośnięte i schłodzone ciasto rozkładamy na formę wyłożoną pergaminem i wysmarowaną oliwą (zostawiamy na 1 godz. pod przykryciem). Na wierzchu układamy składniki, które chcemy wykorzystać, i skrapiamy oliwą. Ja użyłam: łupin kopru włoskiego, zmęczonych pieczarek i selera naciowego, kiełbasy, która została mi z żurku, zalegających w lodówce oliwek i marynowanego chilli oraz cebuli czerwonej. Wykorzystałam też zalegającą sałatę lodową do krótkiego pieczenia z kminem rzymskim, solą himalajską i kurkumą. (200 stopni, 8 min). Po upieczeniu sałatę posoliłam i skropiłam sokiem z cytryny. Focaccię pieczemy ok. 30–35 min w 190 st. C.

Jeśli nie macie zakwasu, to można zrobić wersję na samych drożdżach (ciasto jest nieco uboższe w aromaty). ☺☺

oprac. raw

Krzysztof Pielas

FOT. ARCHIWUM KRZYSZTOFA PIELASA



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Żarcie najważniejsze

Współczesny styl życia wygenerował nieznane wcześniej schorzenia. Nie mówię o depresji, syndromie ciągłego zmęczenia, tym bardziej o COVID. W końcu COVID to nie schorzenie, tylko ciężka choroba, siła wyższa i szersza... Mam na myśli choroby psychosomatyczne, takie jak anoreksja czy bulimia, związane z obsesjami współczesnych: urodą, młodością, sukcesem. No i tym, że prowokują je sami chorzy. Po prostu za dużo dzisiaj kręci się wokół jedzenia.

Ideałem piękna jest szczupłość, tymczasem świat tyje na potęgę. Media wszelkiego rodzaju – od magazynów poprzez telewizję aż do mediów społecznościowych – zarzucone są tematami kulinarno-gastronomicznymi. Na przyjęciach, o ile takowe jeszcze istnieją, ludzie gadają o dietach, o zdrowych produktach, o restauracjach, o winach. Żarcie najważniejsze i nie dzieli tak, jak polityka.

Wykupiłam właśnie prenumeratę dziennika „New York Times”. Tygodniowy dostęp do wszystkich treści kosztuje 50 centów (notabene żadnej polskiej gazety nie można zaprenumerować tak tanio). Z jednym wyjątkiem: przepisy kulinarne. One do

głównego pakietu się nie wliczają, kosztują dodatkowe 75 centów, o połowę więcej, niż płaci się za treści polityczne, społeczne, sportowe, wszystkie. Żarcie najdroższe! Ta relacja cenowa jest najkrótszą recenzją hierarchii wartości zachodniego, dobrze sytuowanego czytelnika.

Niektórzy mówią i myślą o jedzeniu tak dużo, że popadają w ortoreksję, jedną z najnowszych zdobyczy człowieka XXI wieku. Tę jednostkę chorobową zidentyfikował w roku 1997 amerykański (jakże by inaczej) lekarz Steven

Bratman.

Od tej pory powstało parę książek

szczegółowo opisujących ortoreksję – obsesję zdrowego żywienia, nieustanną potrzebę kontroli, czy każdy kawałek jedzenia czyni nas zdrowszymi i piękniejszymi. Planowanie posiłków pod kątem ich wartości zdrowotnych, obmyślanie przepisów, rezygnacja z czegokolwiek, co mogłoby naruszyć dobrostan ciała, lęk przed zjedzeniem czegoś niezdrowego, wiara w detoksy, śledzenie kolejnych zmieniających się informacji o osiągnięciach nauki. Wreszcie poczucie winy, jeśli zjadło się cukierka. Oto objawy tej nowej religii. Wydaje mi się, że znam przynajmniej dwie osoby, które kwalifikowałyby się do leczenia tej przypadłości. Żyć, żeby jeść, czy jeść, żeby żyć? Oto jest pytanie. ☺☺



FOT. ADOBE STOCK



LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Po COVID-19, Zdrowy Kręgosłup, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

tel. 54 416 70 00
www.podtezniami.pl

Pobyty: 03.01 - 27.02.2022r.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie* *możliwa dopłata

Turnus Świąteczny: 20.12 - 27.12.2021r. Turnus Noworoczny: 27.12.2021 - 03.01.2022r.

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek

★ ŚWIĄTECZNY PORADNIK PREZENTOWY ★



**JACK REACHER
POWRACA!**

NOWY TOM
NAJPOPULARNIEJSZEJ
NA ŚWIECIE SERII SENSACYJNEJ.



**MISTRZOWSKA BIOGRAFIA
BOGA FUTBOLU!**

WSZYSTKO, CO MUSICIE
WIEDZIEĆ O LEGENDZIE I SYMBOLU
ŚWIATOWEJ PIŁKI NOŻNEJ.



**MORDERSTWA
NA PEŁNYM MORZU.**

NIEZWYKŁY DUET
DETEKTYWÓW, I DEMON, KTÓRY
BYĆ MOŻE NIE ISTNIEJE...



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Morskie salwy pod Helem

Bitwa pod Oliwą, stoczona 28 listopada 1627 r. w Zatoce Gdańskiej, nie była pierwszą ani jedyną, w której brała udział polska flota. Już bowiem w czasie wojny ze Szwedami o Inflanty okolice Gdańska stały się terenem walk, z których największą było zapomniane dziś morskie starcie pod



FOT. DOMENA PUBLICZNA



I RZECZYPOSPOLITA

RYS. PEGAZ

Helem. Rozegrało się na wodach zatoki, po południowej stronie Mierzei, mniej więcej między

Helem a Juratą. Dziś jest to teren znany z plaż, raj dla amatorów nurkowania, zwłaszcza że znajdują się tutaj liczne wraki z drugiej wojny. W 1606 r. miał tutaj miejsce ciężki, artyleryjski bój pomiędzy flotą polską i szwedzką.

Już od początku walk w Inflantach Szwedzi starali się zablokować Gdańsk i utrudnić handel, który był podporą Rzeczypospolitej. Mało kto wie, że w sierpniu 1603 r. flota pod dowództwem adm. Jacoba Gotberga wysadziła desant na Kępie Oksywskiej, pustosząc okolice miasta, a rok później dwukrotnie zaatakowała flotyllę kupieckie płynące do Rygi i powracające do Gdańska. Jak podaje Edmund Kosiarz, „z 72 statków załadowanych towarami uratowano niewiele jednostek, a 21 statków uprowadzono do Parnawy”. Niebawem Szwedzi zaatakowali Wisłoujście, starali się też wprowadzić całkowitą blokadę Gdańska.

Przeszkadzał im w tym usilnie starosta pucki Jan Weyher, który pozyskiwał kaprów i uzbrajał cywilne statki w Pucku i Gdańsku. Już w 1605 r. rozpoczął własną akcję, zdobywając kilka kupieckich galeonów. Szwedzi wpadli we wściekłość i postanowili rozgromić jego flotę. Pierwszy raz próbowali zaatakować i zniszczyć kaprów Weyhera latem, ale ich jednostki schroniły się w Gdańsku. Jednak samo pojawienie się flotylli starosty sprawiło, że adm. Gotberg miał się na baczności i zrezygnował z kolejnych prób wysadzenia desantu. Wzmocniwszy siły, postanowił zniszczyć siły Weyhera. W październiku 1606 r. pojawił się znowu pod Gdańskiem na czele 19 okrętów wojennych.

Tym razem Weyher był zdecydowany, by wydać bitwę Szwedom. Zawiadomiony o ich nadejściu wyposażył 12 własnych jednostek i uformował z nich szyk torowy – jeden okręt za drugim – przy południowym brzegu Mierzei Helskiej. Jednocześnie na lądzie, z przodu i z tyłu ugrupowania, znalazły się zamaskowane baterie dział i piechota, które ogniem miały zapobiec próbom oskrzydlenia polskiego szyku.

Wpływający do zatoki Szwedzi od razu dostrzegli przygotowanego do walki przeciwnika. Gotberg, ufając w siłę swych dział, nakazał zatem opłynąć Hel od południa i zrównując się z szykiem Weyhera, zmiażdżyć jego okręty w walce artyleryjskiej. Jakież jednak było jego zdumienie, kiedy pomimo przewagi – 19 okrętów szwedzkich na 12 polskich – kaprzy i marynarze Weyhera odpowiedzieli równie morderczym ogniem. Dziś możemy przypuszczać, że starosta być może kazał wzmocnić swe statki, przenosząc na pokład działa z Pucka i Gdańska.

Zaskoczeni Szwedzi próbowali opłynąć szyk przeciwnika

od strony lądu, wówczas jednak odezwały się ukryte w zasadzce działa z Mierzei Helskiej. Ostatecznie po dłuższej wymianie ognia adm. Gotberg zrezygnował z prób zarówno zniszczenia wroga, jak i wysadzenia desantu. Dał sygnał do odwrotu, starosta pucki zaś nie podjął pościgu wroga, obawiając się jego przewagi.

Zwycięstwo w bitwie pod Helem było jednym z pierwszych sukcesów powstającej i ciągle rozbudowywanej polskiej floty. Starosta Weyher znalazł się później w komisji królewskiej zajmującej się budową floty wojennej w Gdańsku, a od 1623 r. w Pucku. Wcześniej dał się poznać jako niestrudzony organizator działalności kaperskiej, zaszkodził Szwedom tak bardzo, że próbowali nawet zamordować go skrytobójczo.

Mierzeja Helska, przy której stoczono bitwę, jak pokazują najdawniejsze mapy, różniła się znacznie od dzisiejszej. Przede wszystkim nie była skrawkiem lądu, ale raczej ciągiem wysepek, oddzielonych płytkimi cieśninami niedostępnymi dla pełnomorskich statków. Było to miejsce niebezpieczne, łatwo osiadały tu na mieliźnie lub rozbijały się jednostki płynące do Gdańska. Tak w XVII w., jak później wybrzeże usiane było szczątkami rozbitych żaglowców. Zapewne już wówczas miejscowi rybacy budowali sobie z nich domy – co poświadcza „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego w XIX w.”. „Domy niskie, małe, ale schludne – podaje – szczytem ku ulicy zwrócone, z małymi swoimi okienkami do okrętów podobne; po większej też części są z resztek rozbitych tu okrętów pozostawiane. Nieraz w tych drzwiach ociężałych rozpoznasz ster okrętowy, tam ów chlewik to kosz masztowy”. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Demons, czyli demos demonstrujący

Cud zdarzył się niedawno. Oficjele i publiczni dziennikarze zaczęli argumentować, że wprowadzenie obostrzeń, a zwłaszcza przymusu szczepiennego, wyprowadzi Polaków na ulice, tak jak już to się dzieje w innych krajach. Przepraszam, a w jakich innych krajach? Przecież oficjalnie o żadnych wielotysięcznych demonstracjach przeciwko covidowej polityce władz na ulicach całego świata to my nic nie wiemy. Bo ci sami, którzy się dziś powołują na to jak na oczywistość, do tej pory przemilczali ten fakt. Parę milionów ludzi przeszło się w tej sprawie, parę miast spłonęło, parę osób zginęło, a media i politycy zajmowały się trzema tęczowymi nastolatkami, które kucnęły na rondzie z nieortograficznym napisem.

Czemu nagle taki zwrot? Myślę, że PiS się orientuje, iż opozycja chce, by on sam własnymi rękoma wyprowadził ludzi na ulice, głównie przymusem szczepiennym. I władza mówi oficjalnie i wprost, że tę gierkę przejrzała. Ale ma to nieciekawe skutki. Głównie takie, że przy tej narracji okazuje się, że szczepionkowi płaskoziemcy, w rzeczywistości ludzie, którzy mają wolę, by nie eksperymentować z preparatem na sobie i najbliższych, są we wcale licznej grupie, która może doprowadzić do zamieszek. To ważna konstatacja, bo wcześniej wmawiano im, że są samotnymi odstępcami w ogólnonarodowej zgodzie.

Mieli być zatem nieliczni i jednocześnie groźni – ot, jak każdy wróg publiczny. A tu proszę, dużo nas.

Po drugie władza... podpowiada, co miałby robić ten nagle rozrośnięty tłumek. Ja wiem, że władza jest po sporych badaniach, które wypadły na tyle słabo, iż minister Niedzielski musiał się zwinąć z własną ustawą testującą akceptację covidową rękoma wmanipulowanych w to przedsiębiorców. Ale teraz niezaszczepiona część suwerena dowiedziała się o tym, że możliwy jest uliczny dym. I ma potwierdzony sygnał, co ma robić, gdy dojdzie do sądnego dnia przymusu szczepień. W Austrii eksperyment powszechnego przymusu ziścił się w lutym 2022 r. i wszyscy zobaczą, czy i jak temat „wchodzi”. Na razie wycofała się tam z polityki z połowa rządu, co nie rokuje dobrze dla covidowych ultrasów. U nas ten eksperyment rozłożono na przymus szczepień od marca 2022 r. medyków, mundurowych i nauczycieli. To też próba, jak „wejdzie”, zanim się to przeniesie na wszystkich. I pobańdania, co naród na to.

Ruch jest ryzykowny, bo jak się rzekło wyżej, naród wie – od władzy – co ma robić, gdy przyjdzie TEN dzień. Po drugie – władza występuje z obowiązkiem szczepień wobec najbardziej wrażliwych dla niej grup, bez których nie uciągnie w pandemii. I co? Nad białoruską granicę pojedzie teraz mobilny szczepionkobus? ☹☹



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Sam tego chciałeś, „reakcyjny bucu”

Wczerwcu na Uniwersytecie Jagiellońskim tzw. Dział ds. Bezpieczeństwa i Równego Traktowania – „Bezpieczni UJ” – skierował do studentów ankietę, w której respondenci mieli podać swoją płeć: kobieta, mężczyzna, transkobieta, transmężczyzna, niebinarna...

Grupa organizacji prorodzinnych, zaniepokojona takim przejawem ideologizacji uniwersytetu, wystosowała do rektora UJ pytania sprawdzające podstawy naukowe, przejrzystość finansową i stosowane zasady etyczne. Pytano m.in.: ile kosztuje roczne utrzymanie zatrudnianego aktualnie osiem osób działu „Bezpieczni UJ”? Z jakich źródeł finansowane są ten dział i współorganizowane przez niego akcje, jak np. „Wsparcie dla osób transpłciowych/niebinarnych”? Jakże inne komórki o charakterze równościowym działają w ramach UJ? Które wydziały realizują przedmioty i programy gender/queer lub oparte na standardach „antydiskryminacyjnych”, na przeciwstawieniu sobie grup z definicji „słabszych” oraz „dominujących” (a więc na neomarksistowskim podziale klasowym)? Jakże przygotowanie i doświadczenie naukowe mają osoby opracowujące program „Bezpieczni UJ”? W jaki sposób subiektywna autoidentyfikacja płciowa i seksualna łączy się bezpośrednio z procesem zdobywania wiedzy na UJ i dlaczego te

grupy są wyróżniane na tle ogółu społeczności studenckiej?

Proszono o przedstawienie raportów naukowych, które wskazują, że płeć biologiczna przestała istnieć, a subiektywna autoidentyfikacja lub poczucie tożsamości jest w stanie zmienić obiektywną rzeczywistość. Na te kilka pytań rektor nie kwapił się odpowiedzieć. Odmowę uzasadnił brakiem istotnego interesu społecznego. O tym, że pytania o zasadność instytucjonalizacji i finansowania ideologicznych radykałów są w interesie społecznym, rektor UJ przekonał się teraz na własnej skórze. Na początku grudnia grupa transaktywistów stanęła przed jego gabinetem z transparentem: „Rektor jest reakcyjnym bucem”. Studentom nie spodobały się bowiem poglądy dr Magdaleny Grzyb (ideowej feministki) i temat wykładu: „Gdy ginie kobieta, gdy ginie mężczyzna”.

W treściach prezentowanych przez dr Grzyb aktywności doszukali się transfobii, a ponieważ rektor stanął w jej obronie, też oberwał. Tak się kończy hodowanie potwora. Wcześniej czy później zacznie kąsać. Jak widać, genderowe szaleństwo na dobre dotarło już do Polski i zaatakowało uczelnie. Na wszystkich znaczących naszych uniwersytetach działają już odpowiedniki (NIE), „Bezpieczni UJ”. Niestety, nie ma co się łudzić, że władze innych uczelni wyciągną wnioski z tej awantury. ☹☹

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Wojna kamienic, a Michnik kocha!

Wmieście stołecznym Warszawie pokłócili się ze sobą kamienice i ze sobą walczyły! Tak, tak, proszę Państwa, tak, tak. Właściwie to nie były kamienice, tylko pustostany. A właściwie nie pustostany, tylko squaty, czyli jednak takie pustostany, w których ludzie szlachetni, młodzi i niegarnący się do roboty, w tradycyjnym rozumieniu roboty. Ta ostatnia ich cecha zdaje się jest najważniejsza. Jedna kamienica ma na imię Syrena, a druga Przechowalnia. Jeżeli czegoś nie pomyliłem, to w obu mieszkają transanarchiści czy coś. I osoboosoba wołana Dima (nie przesądzamy płci) została wyrzucona z jednej kamienicy bez kurtki przez społeczność za agresję i kogoś jednak osoboosoba Dima kopnęła.

Konsekwencje wyrzucenia były srogie. Kamienica Przechowalnia zrobiła staro-polski zajazd na kamienicę Syrena i ją zajęła swoimi, czyli Dimą też. Policja wezwana nie bardzo wiedziała, co robić, bo tam nikt nie ma prawa mieszkać. Wszyscy jednak czytali Twittera, żeby wiedzieć „o co kaman” (tak się mówi młodzieżowo). Kolektyw Pyry informował na TT o sytuacji na froncie: „UWAGA, NA SYRENIE ATAK MACZYSTÓW Z PRZYCHODNI! SĄ OSOBY RANNE! W środku pozostają działaczki feministyczne, latają mołotowy, petardy i cegły. Na naszych soszjach już ludzie z Rozbratu życzą Syrenie

i Stop Bzdurom wszystkiego najgorszego, ale wasze nie-doczekanie, smalce”. Niestety, nie udało się ustalić, kim są „smalce”, ale może napiszę Państwu w następnym odcinku. Zobaczymy.

Tymczasem wyszło na jaw, że Adam Michnik kochał Wojciecha Jaruzelskiego. Na TT „Magazyn Śledczy Anity Gargas” opublikował kompromitujący filmik, na którym włany wyraźnie Michnik (ja tam nikomu nie wypominam), trzymając za rękę generała, szepcze do kamery: „Ja go kocham, ja go kocham”. I: „Dla mnie generał to jest polski patriota. Zawsze nim był”. Filmik był zapowiedzią programu, ale już on sam zrobił piorunujące wrażenie. Jeżeli facet uważa przez jakiś czas za opozycjonistę mówi o komunistycznym zbrodniarzu, którym Jaruzelski był ponad wszelką wątpliwość, że go kocha, a tamten zawsze był polskim patriotą, to kryzys „Gazety Wyborczej”, której Michnik szefuje do tej pory, jest poważniejszy, niż myśleliśmy...

Echem poodbijała się na TT konferencja wiceministra sportu Łukasza Mejzy. Sam Mejza był niezły, ale show skradł mu człowiek na wózku. Na wózku inwalidzkim przyjechał, w czasie swojego osobistego przemówienia wziął i wstał, a następnie usiadł. Tego Mejzy to się czepiają bez sensu, chociaż może rzeczywiście powinien złożyć dymisję w Ministerstwie Sportu. Widziałbym go w Ministerstwie Zdrowia... ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Bydłęta poza szopką

Małgośka – mówią mi – nie szanujesz przeciwników, którzy przywykli do hołdów środowiskowych, nie kumasz hierarchii, a w ogóle to za delikatna jesteś na polityczne dzienikarstwo, bo to sport dla facetów, i to takich, którzy sobie sierpowym przywalą, a potem pójdą na wódkę.

Ja oczywiście szanuję adwersarzy, ale tylko tych, którzy sami siebie szanują, to znaczy nie mówią jak założyciel Nowej Konfederacji Bartłomiej Radziejewski: „Konserwatyzm to tylko część mojej osobowości”, przekonując nas, że można być w połowie w ciąży. W dni nieparzyste jest przy nadziei i zachęca do czytania Horubały, a w dni nieparzyste jest przy nadziei, że barbaria od ośmiu gwiazdek zmieni Polskę na lepsze, i wysyła apele: „Nie idźcie pod kościoty, którymi się zaśłania Kaczyński, idźcie lepiej pod siedziby PiS”.

Owszem, pasjonuje mnie strategia szefa thinkzine'u (jak określa się NK), bo kiedyś mówiono, że „pokorne cięły dwie matki ssie”, a dziś to raczej: symetryzujące cięły. Śledzenie umizgów Radziejewskiego i przypomnianie mu faktów stało się moim hobby.

Jakież było jednak moje zdziwienie, gdy ten semi-konserwatysta, zamiast odpowiedzieć na mój zarzut fałszowania roli Niemiec w procesie federalizacji, odpisał mi publicznie: „Mam nadzieję, że oddaje się Pani Partii za dobre staw-

ki. Robienie tego za frajer musiałoby być doszczętnie upadające”. I te haniebne, seksistowskie insynuacje robi facet, który w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” publicznie przyznał, że owszem, są „konformistyczni przez zakopanie w pieluchach i kredytach” oraz że „zostali wychowani w warunkach ścisłego klientelizmu w życiu publicznym”. Czyli przyznaje, że sami są podatni na zepsucie i drobny handel wymienny idei, ale to swoje grzechy projektuje na Bogu ducha winną kobietę, która pracuje w tygodniku wolnych ludzi i którą stać na to, aby zachowywać bezkompromisowość poglądów.

To tylko założyciele biedathinkzine'ów muszą płodzić dwuznaczności i – jak pisał Lec – „Trzymać język za zębami – w pogotowiu”, aby móc wyżywić ludzi, zwłaszcza gdy czytelników niewiele, a subskrybentów jeszcze mniej. Mój problem polega na tym, że w publicystyce oczekuję jednakowych reguł – jak na strzelnicę. Wchodzę i liczy się celność moich trafień, a nie to, czy ramiona, które trzymają glocka 17, mają na sobie koronkowy biustonosz. Owszem, ja też piszę ostrym piórem, bo nauczyłam się we Francji, że najpiękniejszy styl, kursywa angielska, powstaje pod najstrzejszą stalówką, idealnie pochyloną w prawo. I tylko trzeba umieć kontrolować dukt pisma, czego i Radziejewskiemu życzę. ©©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Orzeł i Rzeszka

Nowa koalicja rządowa w Niemczech ogłosiła program. Jeden z istotnych jego punktów zapowiada budowę „federalnego, europejskiego państwa związkowego”. Chodzi o stworzenie ponadnarodowego imperium, które zapewni większą skuteczność europejskiej współpracy w międzyimperialnej grze (z Chinami, ze Stanami Zjednoczonymi czy z Rosją), a zarazem pomoże przetrwać dziedzictwo państw narodowych i ich „niesłusznych” tożsamości.

W takim europejskim superpaństwie będzie jednak naturalne centrum narodowe, czyli niemieckie. Naturalne? Skoro Niemcy są w środku, mają największą w Europie gospodarkę, a także czują się „moralnym mocarstwem”, to naturalne. I basta! Tym bardziej że dzięki sprawnie przeprowadzonej przez gdańskiego pupila kanclerz Merkel akcji brexitu w instytucjonalnej strukturze Europy nie ma już Wielkiej Brytanii. Ta swoją siłą ekonomiczną (drugą po Niemczech) i sceptycyzmem wobec praw Berlina do przewodzenia dawała wcześniej szansę Francji (trzeciej w tej hierarchii sił), by szukać ewentualnie alternatywy dla niemieckiej dominacji. Teraz alternatywy nie ma. I o to chodzi. Europa ma być jak średniowieczne Święte Cesarstwo Rzymskie – uniwersalna i ponadnarodowa, ale z Królestwem Niemieckim w centrum. Tylko król Niemiec mógł być w nim cesarzem. Nie wszystkim się to podobało. „Kto uczynił Niemców sędziami narodów?” – pytał już 861 lat temu Jan z Salisbury, odnowiciel europejskiej myśli politycznej, autor „Politicus”. Angielskiego intelektualistę, sekretarza bp. Tomasza Becketa, jakoś uwierał taki stan rzeczy, w którym cesarz Fryderyk Barbarossa traktuje całą europejską Christianitas jak niemiecki

folwark. Podobnie zresztą nie podobał się ten stan rzeczy jego polskiemu uczniowi, mistrzowi Wincentemu. I tak to jakoś zostało w angielskiej i w naszej intelektualno-politycznej tradycji. W niemieckiej natomiast przetrwało, jak widać, pojęcie Europy jako Rzeszy. Tym właśnie terminem nazywano owo cesarstwo, od średniowiecza do 1806 r., a potem, już w innej formie, same Niemcy, kiedy stworzył II Rzeszę kanclerz Bismarck. III Rzesza, powołana do istnienia przez Adolfa z Austrii, przetrwała tylko 12 lat. Pamięć ludobójstwa i największej wojny, którą wywołała pod hasłem zjednoczenia Europy pod przewodnictwem Berlina, na czas pewien skompromitowała pojęcie Rzeszy. Ale jednak, jak widać, nie samą ideę.

Kiedy Jarosław Kaczyński odpowiedział na program nowego rządu nad Sprewą przestroga przed IV Rzeszą, niedouczeni dziennikarze zareagowali odruchowym u nich oburzeniem na prezesa PiS: Jak śmiało porównać do państwa Hitlera naszych naturalnych nauczycieli, terapeutów, przewodników na drodze do wolności i demokracji!

Na takie odruchy nie ma rady. Warto natomiast zastanowić się nad poważniejszym głosem, który wzbudza ów lament najsilniejsze media (pozostające własnością koncernu Ringier Axel Springer) zaprosiły do skomentowania owego „PiS-owskiego weta” wobec programu nowej koalicji berlińskiej. Udzielono owego głosu publicyście historycznemu, który konsekwentnie od lat krytykuje w swoich pracach stracone podobno szanse polskiej współpracy z Rzeszą, każdą – nawet tą III. Nie jest więc dziwne, że i tym razem wypowiedział się tak, jak Axel Springer sobie życzył. A więc: 1. Tylko Federacja Europejska może „konkurować z imperiami nowego świata”; 2. „W każdej spółce najważniejszy

głos ma właściciel. W przypadku Europy są to Niemcy”; 3. Polska jest za słaba, by blokować pomysły Berlina na Europę, musi zatem się mu podporządkować; 4. Skoro mamy konflikt z Rosją, to obronimy się tylko razem z Niemcami. To jest realizm.

Czy rzeczywiście? Przypomnijmy, że Chiny importują z Niemiec dokładnie tyle towarów, ile... Polska i Węgry? Za ok. 105 mld dol. Tak jest, te dwa, „nic nieznaczące” kraje ze środkowej Europy mają jednak znaczenie dla niemieckiej gospodarki. Oczywiście jest ono w rzeczywistości także bez porównania większe od Rosji... Przynajmniej w świetle obrotów handlu zagranicznego Niemiec. Można zatem ową sytuację tak przedstawić, że Berlin nie powinien jednak całkiem lekceważyć stanowiska Warszawy czy – szerzej – stolic Europy Środkowej. I można, tak jak rozmówca koncernu Springer, powiedzieć, że Polska jest całkowicie zależna od Berlina i w związku z tym powinna tylko korzystać z okazji, by siedzieć cicho. Trzeba jednak dodać wtedy, że do utrzymania imperialnej pozycji Niemiec w Unii, wobec Francji także, konieczne jest zachowanie ich całkowitej dominacji nad tym, co nazywa się w Berlinie Mitteleuropą. W takiej konstrukcji Polska może istotnie tylko czekać na rozkazy. Trzeba też uczciwie zauważyć, że kiedy Berlin uzna wobec bardziej „asertywnej” polityki Putina (bez porównania silniejszego militarnie od „Rzeszy”), iż trzeba się kontrolą nad Mitteleuropą podzielić, to nie zawaha się tego zrobić. Tak jak to robił już tyle razy w historii i tak jak manifestuje tę gotowość współcześnie, zwłaszcza gdy rządzą kanclerze z SPD. Czy realizm nie nakazuje zauważać i takich doświadczeń? Wesołych świat! ©©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Moja Mama wymieniła złotówki na dolary i wpłaciła je na nasze wspólne konto w banku PKO SA – żebym jej pokupował różne rzeczy w USA. Bank zabrał jej część tych pieniędzy! Złodziejstwo, którego w Polsce już nawet nikt nie kwestionuje.

Gdyby mój bank w USA ośmielił się brać prowizję od przynoszenia forsy do banku, to bym zmienił bank, opowiedział sąsiadom, co tam się dzieje, i byłoby po banku. Prowizja od wpłaty?! Wredny pomysłu na okradanie ludzi. I od tego powinno być państwo, by takie numery były ustawowo zakazane – jako wyłudzenie. Ale państwo samo wyłudza, a nawet rabuje. Zastaniają się dobrem wyższym typu „500+”. Popatrzmy na to z bliska. Co jest (było) celem tej zapomogi? Chodziło o to, by wpłynąć na zwiększenie przyrostu naturalnego – ludzie mają za mało forsy i dlatego nie robią dzieci. Co za bzdura!!! Wystarczy rozejrzeć się dookoła, po Polsce, po świecie. Wszędzie jest tak, że im więcej forsy, im wyższy poziom życia i dochodu, tym mniej dzieci, a im więcej biedy, tym więcej dzieci. Najgorsze pijaki i bumelanty mają zawsze całą chmurę dzieci, rodzą jedno za drugim, a bogate fircyki im więcej mają forsy, tym mniej chęci na potomstwo. Po latach władza przyznała się, że „500+” nie spełniło swego zadania, ale... czy zlikwidowali ten kosztowny zasiłek? Nie! Zasiłek zostaje i tworzymy nowe.

Mało kto kwestionuje samą ideę prowizji od przyniesienia pieniędzy do banku. W tych sprawach jesteśmy jak wytresowane barany, którym jest wszystko jedno, bo „od



FOT. W. CEJROWSKI/UTD/ARND BRONKHORST

beczenia ze złości świat się nie zmienia”. A ja uważam, że to zależy od tego, ile osób beczy naraz. I co wspólnie beczą. Da się obalić tyrana, choć... jest to trudne.

Kolejne idee, których stado już nie kwestionuje, to podatek VAT, podatek od emerytury, akcyza, podatek solidarnościowy, podatek od darowizny. Teraz po kolei:

Podatek VAT. Podatek powinien być jeden – od tego zaczniemy. Jeden podatek od dochodu i jeżeli już raz zapłaciłem dochodowy, to nie jest moralne, aby nakładać na ten sam dochód podatki po raz kolejny. To tak jak z karaniem za przestępstwo – nie wolno karać kilka razy za to samo. Dlatego podatek VAT jest niemoralny i nielegalny.

Podatek od emerytury – wiadomo, że granda, bo najpierw siłą zabierali ci pieniądze na składkę emerytalną, potem z oporami oddają jedynie marny kawałek tej forsy (umrzesz, zanim wypłacą emerytura zrównoważy kwotę wpłaconych składek), ale zanim ją dostaniesz, biorą podatek za to, że ci wypłacają swoją własną forszę, którą najpierw bawili się wiele lat.

Akcyza – nieważne na czym, każda jest niemoralna, bo to trzeci, a czasem czwarty (gdy naliczono cło) piętrowo ustawiony podatek na tej samej flaszce burbona lub benzyny.

Podatek solidarnościowy. Są dwie skale podatkowe, ale gdybyś zarobił za dużo, to... po zapłaceniu normalnych podatków z najwyższego progu zapłacisz jeszcze jeden naliczony od tego samego

dochodu. Za komuny to się nazywało „domiar”. Za komuny służyło niszczeniu klasy średniej (badylarzy i prywaciarzy), teraz służy temu samemu.

Podatek od darowizny. Twój kolega zarobił forszę, zapłacił od tego wszystkie podatki, a potem resztę tej forsy podarował tobie. Gdy tylko dostaniesz taki prezent, władza zażąda podatku od ciebie. Za co? Podatek od przyjęcia prezentu? Przecież to jest ta sama forsa, nic nie przybyło, nie ma żadnego dochodu. Jakim więc prawem władza nakłada 20-procentowy podatek od prezentu? Gdyby kilka kolejnych osób podarowało sobie tę samą forszę, to ostatnia z obdarowanych zostanie z niczym.

Kolega św. Mikołaj podarował ci teczkę pieniędzy, zapłaciłeś podatek. To, co ci zostało, decydujesz się przekazać biedniejszemu od siebie, a on kolejnemu i tak dalej – każdy z was oddawał w prezencie te same pieniądze i za każdym razem władza zabierała sobie kawałek, aż do opróżnienia teczki z forsy. **PRZECIEŻ TEN SYSTEM TO GRANDA!**

Podobną grandą jest Nowy Ład. W sieci znajdują Państwo kalkulatory, które pozwalają wpisać kwotę twojego rocznego przychodu i policzyć, ile podatku płacisz teraz, a ile zapłacisz w Nowym Ładzie. Wpisałem 200 tys. To nie jest przychód bogacza, lecz stolarza prowadzącego jednoosobowy zakład – niecałe 17 tys. „urobku”

miesięcznie. Tacy ludzie zostaną przez Nowy Ład ograbienni na tysiące złotych. A jeśli ktoś prowadzi trochę większy zakład i zatrudnia kilka osób (miejsca pracy!), to wtedy przychód w jego zakładzie wynosi milion rocznie i to znowu nie jest przychód bogacza, choć milion brzmi dumnie, ale przecież są koszty i podatki, i pensje kilku zatrudnionych, więc w kieszeni zostaje średnia krajowa. Ci ludzie dostaną w plecy domiarami liczonymi w dziesiątkach tysięcy.

Za komuny kochaliśmy Polskę, a PRL była znieciercierowana. Polska Rzeczpospolita Ludowa to absolutnie nie było to samo co Polska. Nie w naszych sercach, nie w naszych rozmowach. Polska była Polską, a PRL to byli „oni” – żli, ruscy, antypolscy. Byliśmy pod jasno zdefiniowaną okupacją sowiecką, a prawdziwa Polska żyła pod spodem, pod tym ruskim buciorom.

A dziś? Dziś taki jasny podział nie istnieje i dlatego coraz więcej Polaków odczuwa niechęć do własnego kraju. Nadal w rozmowach są „my” i „oni”, ale ci „oni”, czyli władza, to już nie są obcy, nasłani, tylko teraz to są nasi. Nasza własna władza, która zachowuje się podobnie jak tamta obca.

Polska przestała być matką, a stała się macochą – takie oto myśli naszły mnie w rocznicę stanu wojennego.

Wtedy nie mieliśmy wpływu na władzę – oni wybierali się sami, mianowali się sami, a naród nie miał nic do gadania, choć był zachęcany, by chodzić na wybory. Dziś jest tak samo. Wyrodna oddzielona od narodu władza sama dla siebie. Jak za czasów, gdy Urban mówił, że „rząd się wyżywi”, nawet gdyby cała reszta zdychała z głodu. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

ŚWIĄTECZNE KSIĄŻKI

PRACA ZBIOROWA – „WOLNE ŻARTY.
HUMOR PO CHRZEŚCJAŃSKU 2.0”
MONIKA KAROLCZUK
„POLSKIE TRADYCJE ŚWIĄTECZNE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

189,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 201 zł

~~390 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 7918b13667



ROAMER

OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY

